

Rónka Matti

Mężczyzna o twarzy mordercy

Przełożył Sebastian Musielak

Tytuł oryginału fińskiego TAPPAJAN NAKÓINEN mies

Copyright © by MATTI RÓNKA, 2002. Published in agreement
with STILTON LITERARY AGENCY

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2011

Copyright © for the Polish translation by SEBASTIAN MUSIELAK, 2011

Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej FiLi-Finnish Literature Exchange
fili - Finnish Literature Exchange on tukenut taman kirjan kaantamista

Przedmowa Autora do polskiego wydania

Na terenach Rosji - do niedawna jeszcze Związku Radzieckiego, a teraz znowu Rosji - zawsze mieszkali Finowie i narody im pokrewne.

Karelowie to naród zamieszkujący obszary za wschodnią granicą Finlandii. Po fińskiej wojnie domowej, która wybuchła w 1917 roku, do Rosji zbiegło wiele osób walczących po stronie przegranych, czyli czerwonych. W czasach Wielkiego Kryzysu, w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku, tysiące Finów z wielkimi nadziejami wyjeżdżało do Związku Radzieckiego, by tam budować robotniczy raj. Ludzie przenosili się tam nawet ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, rozczarowani ciężkim losem imigrantów w dotkniętych kryzysem społeczeństwach.

Ingria zajmuje pobrzeże Zatoki Fińskiej, wąski skrawek lądu na północny wschód od Petersburga. Finowie osiedlili się tam w siedemnastym i osiemnastym wieku, kiedy Szwecja dążyła do ugruntowania swojej władzy i pozycji kościoła luterańskiego na wschodnich rubieżach. W wyniku tej polityki pod samym Petersburgiem, późniejszym Leningradem, powstała fińska dwustutysięczna Ingria, gdzie mówiono i śpiewano po fińsku, w niedziele chodzono do luterańskich kościołów, a w dni powszednie wszystko robiono trochę inaczej niż w Petersburgu, na fińską modłę.

Po nastaniu Związku Radzieckiego Finowie, tak jak wszystkie inne mniejszości narodowe, popadli w poważne tarapaty. W czasach stalinowskich czystek byli wysyłani do obozów pracy przymusowej. Rozdzielano rodziny, ludzi zsyłano w głąb Rosji.

Druga wojna światowa zapisała kilka kolejnych gorzkich kart w historii Ingrów. Gdy Ingridę opanowali Niemcy, mieszkańców przesiedlono do Finlandii. Ingrowie pracowali na roli i w fabrykach, pojawiły się wcale liczne małżeństwa mieszane z Finami, adoptowano osierocone dzieci... Ingrowie, którzy na froncie dostali się do niewoli, wstępowali w szeregi armii fińskiej, do specjalnie utworzonego Batalionu Ugrofińskiego.

Ingrom złożono milczącą obietnicę, że w granicach Wielkiej Finlandii będą mieć zabezpieczoną przyszłość.

Jednak Finowie przegrali wojnę i musieli przystać na bardzo surowe warunki pokojowe.

Jednym z nich było bezzwłoczne przekazanie wszystkich obywateli ZSRR. Ponad sześćdziesiąt tysięcy Ingrów załadowano do pociągów i wywieziono za wschodnią granicę,

wśród nich dziesiątki dzieci, które już zostały zaadoptowane przez fińskie rodziny. Niektórzy zostali lub uciekli do Szwecji, posługując się sfalszowanymi dowodami tożsamości. W Związku Radzieckim Ingrów czekał ciężki los. Zostali rozrzućeni po całym kraju, ale stopniowo przeprowadzali się bliżej rodzinnych stron. Wielu osiedliło się w rosyjskiej Karelii, niektórzy w Estonii, jeszcze inni wrócili do Ingrii.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego Mauno Koivisto, ówczesny prezydent Finlandii, oświadczył, że Finowie ingryjscy mają prawo do repatriacji - mogą wrócić do kraju i otrzymać fińskie obywatelstwo.

Z tej możliwości skorzystało około trzydziestu tysięcy Ingrów. Wielu nie miało już żadnych związków ze współczesną Finlandią, nie znali nawet języka. Po początkowej fascynacji zarówno Finlandię, jak i samych repatriantów dotknęły typowe problemy imigracji: bezrobocie, wykluczenie, podejrzliwość, tęsknota za domem.

Główny bohater tej książki, Viktor Gornostajew, urodził się i wychował w Związku Radzieckim. Jego ojciec był Ingrem, zaś rodzina matki uciekła do ZSRR po fińskiej wojnie domowej. Viktor przeniósł się do Finlandii i przyjął dawne nazwisko rodowe - Karppa (co po fińsku znaczy „gronostaj”, stąd jego rosyjskie nazwisko „Gornostajew”, od rosyjskiego gornostaj).

Matti Rónka

Pakila, Helsinki

Kobieta wypowiedziała do lustra swoje imię: „Sirje”.

Poruszała ustami przesadnie, jakby się przedstawiała głuchemu. Potem natłuściła jeszcze wargi i znów zaczęła je gimnastykować, to ściągając w ciup, to znów wciągając do wewnątrz. Była szatynką, kobietą niemal piękną. Spotykający ją mężczyźni nie wiedzieli, czy lepiej nazywać ją dziewczyną, czy kobietą, choć była już w tym wieku, że mogła śmiało prenumerować „Kobietę i Dom”. „Kodin Kuvalehti” - najpopularniejsze czasopismo kobiece w Finlandii

Sirje rozczesała jeszcze gładkie, niezbyt długie włosy, zupełnie niepotrzebnie. Po setnym pociągnięciu szczotką uznała, że wystarczy, i przykryła je zieloną chustką z cienkiej wełny. Zapięła płaszcz od góry do dołu, wspięła się na palce, potem przeniosła ciężar ciała na obcasy i znów stanęła na palcach; pogrążona w myślach otwierała i zamykała głośno torebkę w rytm kołysania.

Wreszcie westchnęła, lekko i bez skargi, nasunęła na dłonie ciasne rękawiczki, wpychając je po kolei między palce, i ruszyła do wyjścia. W drzwiach raz jeszcze przelotnie zerknęła w lustro, ignorując zupełnie przestronny

hol i tak dobrze znane wnętrze domu, nie starając się nawdychać go na zapas, nie wyęzając słuchu, by wyłować ciche tykanie zegara w salonie czy pomruk chłodziarek w kuchni.

Nie, Sirje uśmiechnęła się tylko do lustra kącikiem ust, jakby przyszło jej do głowy coś zabawnego lub poczuła drobną satysfakcję. Ostrożnie przycisnęła drzwi do futryny, aż zgrzytnął zatrzask, poczuła, jak suche powietrze centralnie ogrzewanego domu ustępuje przed napierającym z zewnątrz wilgotnym chłodem, i po wydeptanym, skrzypiącym śniegu przeszła przez podwórze i wyszła na ulicę.

Kesalahti Robota Jury była prosta. Miał pilnować, tylko pilnować. Tak mu przykazał Karpow i Jura obiecał, że będzie pilnować. Może to było jednak za proste dla niego. Może nawet Jura wolałby robotę bardziej wymagającą.

Do hali wtaszczonego kontenera budowlanego, który miał służyć za biuro, i tam właśnie Jura miał siedzieć - siedzieć, pić z termosu czaj, jeść chleb, konserwy i czekoladę.

„I możesz palić papierosy, tego towaru masz w bród, bylebyś tylko nie puścił z dymem całej hali”, zażartował Karpow. Dziwny szef. To burczał coś pod nosem i parskał po fińsku - z czego Jura oczywiście nie rozumiał ani słowa - to znów opowiadał po rosyjsku niepojęte

żarty, śmiał się za dużo i tak jakoś inaczej. Poza tym gdzie taka hala, blachy i beton, mogłaby się spalić.

- Jak coś się będzie dziać, Jura, zaraz do mnie dzwoń. Ale pamiętaj, masz pilnować, cały czas pilnować, dzień, noc i wieczorem też.

Karpow powtarzał w kółko to samo i Jura miał już go serdecznie dość:

- Tak, tak, jasna sprawa...

Oczywiście Jura przysnął. I gdy się obudził, od razu zrozumiał, że sprawy zaszły dość daleko, i to w złym kierunku. W środku hulało mroźne powietrze, zaspany Jura czuł je na skórze.

Brama hali jest otwarta, wydedukował Jura, choć tryby pracowały mu ciężko jak koła zębate w skrzyni biegów ziła wyrwanego z zimowego snu, z trudem mielące klejowaty olej. Czy olej jest substancją amorficzną? Jurę zdumiała ta myśl, jego ostatnia, jak się okazało; skąd on zna takie słowo?

Nawet w dzieciństwie nie marzył o karierze kosmonauty ani nauczyciela, ani nawet maszynisty czy bogatego gangstera. Zawsze się znajdą szybsi, silniejsi i bystrzejsi od niego, i Jura dobrze o tym wiedział. Wystarczyło mu, że mógł regularnie solidnie pojeść i tego popić, od czasu do czasu mógł sobie pociupciać, a w nocy miał się na czym położyć i czym przykryć w ciepłym pomieszczeniu. Przez ostatnie kilka lat Karpow o to wszystko dbał, całkiem zresztą przyzwoicie, więc Jura nie robił wielkich planów.

Ale nawet on zakładał, że pożyje dłużej niż dwadzieścia sześć lat. Tylko że tamtej nocy perspektywy na przyszłość wyglądały kiepsko, bardzo kiepsko. Metr od niego stał mężczyzna, rosły gość w czapeczce oraz niebieskiej wiatrówce Adidasa, i wyciągał ramię w jego stronę. W ręce, pięćdziesiąt centymetrów od jego czoła, trzymał czarny pistolet.

Pomieszczenie było czyste, przestronne i jasno oświetlone, choć pierwotnie przeznaczone było na magazyn lub warsztat. Wygładzone i zeszlifowane ściany pomalowano na biało, szare regały z blachy robiły solidne wrażenie, a betonowa, wysprzątana posadzka skłaniała się pod nienagannie równym kątem ku studzienkom odpływowym.

Przy stołach krytych melaminowymi blatami pracowało pięciu mężczyzn w kitlach i jedna kobieta. Ważyli woreczki z białym proszkiem, zaciskali zatrzaski i owijali plastik w aluminiową folię. Pracowali jak automaty na taśmie, sprawnie i bez słowa.

Po pomieszczeniu przechadzał się mężczyzna może nieco za sztywno wyprostowany, instruował i wydawał rozkazy. „Zanieście te kartony z komórkami tam, panowie, wyczyśćcie tamto opakowanie, ale ostrożnie z tym proszkiem, ostrożnie jak z bombą”.

Mężczyzna nie był młody ani wysoki i nie mówił głośno, ale przywykł do wydawania rozkazów i robił to chętnie. A jego pracownicy lubili robić, co im kazał. Wiedzieli, że szef to człowiek rozsądny i mądry, a nawet przebiegły. Do tej pory też nie zawiedli się na nim, co w tej branży zdarzało się nader rzadko. Wielu innych szefów oszukiwało lub zdradzało wspólników, wielu decydowało się

niepotrzebnie na szaleńcze ryzyko - i wielu się ubabrało we własnym towarze.

Ale nie on. Ich szef handlował nie tylko kobietami i metalami kolorowymi, ale także bronią, paszportami i wizami. I często podkreślał, że to zwykła działalność gospodarcza, biznes jak każdy inny, sprzedaż towaru. Jego żona, jego broń i jego dokumenty były poza obrotem.

Narkotyków nigdy nie próbował i nawet mu nie przyszło do głowy, że kogoś może to dziwić. Czasem wzdychał do siebie, że wolałby kraść pieniądze albo coś, czego nie ma, a sam potrzebuje. Nieszczerze lubił handel kobietami sado-maso, hormonami rozdymającymi mięśnie i narkotykami, od których człowiekowi mąciło się w głowie. Ale to właśnie dawało mu pieniądze, i to sumy o wiele większe niż z drobnej gangsterki.

Transport, pakowanie i skład, kompletna logistyka z Afganistanu do Rosji, a stamtąd do Tallina i dalej do Finlandii, cały ten długi łańcuch sunął po dobrze naoliwionych trybikach płynnie i bez hałasu. I opium z dalekich makowych pól po odpowiedniej obróbce stawało się

tu czystą, doskonałą heroiną. Drobny, wyprostowany jak drut mężczyzna był dumny ze swojej firmy.

Anna Gornostajewa pomacała palcem ziemię w doniczce i podlała pelargonie. Mówiła cicho, choć przyznawała z uśmiechem, że usta służą jej dziś już tylko do jedzenia. Ale nie miała do pogawędek innych partnerów poza kwiatami i zdjęciami, w starym domu nie było już kota, psa, ani nawet myszy, na szczęście.

Poprawiła firanki i wygładziła dłonią wyszywane obrusy, na których nie było ani jednej fałdki, zastanowiła się, czy nie wytrzepać dywanów, choć dobrze wiedziała, że nie ma na nich odrobiny kurzu. No, ale przecież muszę dzisiaj posprzątać, pomyślała, życie musi mieć swój porządek i rytm, człowiek musi się czegoś trzymać.

Zaczerpnęła gorącej wody z dużego garnka na piecu, dołała do niej kubeczek zimnej z wiadra, zwilżyła wyblakły lniany ręcznik, służący jej od niedawna za szmatę, i zaczęła ścierać nieistniejący kurz ze zdjęć w izbie.

- Niilo Nikołaj, mój Kolja - popieściła fotografię męża. - Po co włączysz mi do snów, trzymaj się od nich z daleka - upomniała go czule i odstawiła ramkę z powrotem na komodę.

Mężczyzna na zdjęciu miał prosty nos i twarz czystą nawet bez retuszu. I te oczy, one pierwsze jej się zawsze przypominały nawet i bez zdjęcia, oczy niewinnego leśnego drapieżcy.

Te same ciężkie oczy powielone na zdjęciach synów, też w mundurach. Połysk daszków wojskowych czapek i sztywność grubych uniformów powtarzały się w niezmienionej formie przez dziesięciolecia. Klapy przystrojone rzędami orderów, u ojca najdłuższe, w gwiazdach czuło się głęboką, uroczystą czerwień, choć zdjęcia były czarno-białe.

Anna Gornostajewa nie mogła narzekać. Przeżywszy tyle lat, przywykła już do samotności, polubiła ją nawet, choć czasem zaskakiwały ją niepokojące zawroty głowy lub dziwne bóle w piersiach. Teraz też była niespokojna, lecz nie wiedziała dlaczego.

Synowie zazwyczaj dzwonili, martwili się o nią. „Tylko nie rąb sama drzewa, nie włącz na drabinę, a w ogóle to kiedy, dobra kobieto, zaczniesz wreszcie używać tych grzejników elektrycznych?”. Pouczali ją jak małe dziecko, własną matkę. Pewnie, robili to z dobrego serca, ale przecież nie mogła tego wszystkiego brać na poważnie, tym bardziej że była kobietą rozsądną, która widziała wojnę i to wszystko, co przyszło po niej. Annuszka nie mogła się nie uśmiechnąć.

Ale chyba nie napytali sobie jakiej biedy, zmartwiła się. U Aleksieja w Moskwie wszystko powinno być w porządku, miał w końcu dobrą żonę, dużego już syna, a i w pracy wszystko układało się po jego myśli. Viktor z kolei już od dziecka sam dbał o swoje sprawy. Finlandia to przecież zupełnie obcy kraj, ale tam go ciągnęło, więc pojechał. I zawsze ją zapewnia, że mu tam dobrze.

Tylko się niepotrzebnie nie zamartwiaj, przykazuje sobie Anna. Myślał kogut o niedzieli, a w sobotę łeb mu ścięli. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem... Do głowy zaczęły się jej zaraz cisnąć kolejne przysłowia, aż musiała się otrząsnąć i rozkazać sobie na głos: „przestań już pleść!”.

Odkurza teraz nagrody Viktora: małe, lśniące puchary, łyżeczki [Nagrody za zwycięstwa w zawodach narciarstwa biegowego juniorów.] i okrągłe medale na tasiemkach. Coś jej strzyka w lewej ręce. Źle spałam, czy co, albo mnie przewiało, pomyślała Anna Gornostajewa.

jeden

Dostrzegłem faceta już z daleka. Sadził niskimi dwukrokami na ukos przez plac, obrawszy najwyraźniej azymut prosto na moje biuro. Brakowało mu tylko kompasu w rękę, a mnie lampionu na stole. Opuściłem nogi z blatu i zmrużyłem oczy, aby lepiej zobaczyć ciemną,

bezbarną postać. Pod światło plac porażał jasnością. Prześwietlony widok przypominał spłowiałą fotografię z rodzinnego albumu: „tutaj razem na rynku w Agadirze”.

Wielu moich zleceniodawców czai się najpierw na rogu albo w wąskim parczku - piasek, kilka ławek, parę drzew - i dopiero po chwili bierze okrężny kurs na biuro. To ludzie w futrzankach i posepnych paltach, którym trzeba pomóc wypełnić wnioski o przyznanie obywatelstwa lub napisać sprawozdanie z wykorzystania dodatku mieszkaniowego. Więc im pomagam.

Mogą to też być Finowie, kierowcy tirów i monterzy chłodziarek, bo z czasem ich piętnaście lat młodszym żonom brzydą jednorodzinne więzienia gdzieś pod Helsinkami, a wtedy Irina czy Natasza bierze dzieci pod pachę i jedzie odwiedzić rodzinę. Gdzieś pod Wierchojańskim. Więc namierzam uciekinierów.

Zdarzają się też płatnicy, którzy bez żenady zajeżdżają pod moje biuro na Hakaniemi [Skupiona wokół dużego placu o tej samej nazwie wschodnia część centrum Helsinek.] mercholami albo

beemkami. Zostawiają auta z włączonym silnikiem na zakazie, przykazując siedzącej w środku panience w skórzanej miniówce pilnować włochatych kostek na lusterku wstecznym. To są biznesmeni, którym zatrzymano, deportowano lub odwieziono do szpitala środki produkcji. Niekiedy potrzebują też kuriera lub zaufanego człowieka jako rękojmi warunków umowy. Mam uczciwą gębę.

Ale ten klient był inny. Nie zdążyłem jednak ocenić go dokładniej, bo nagle był już w środku, po prostu bez pukania pokonał dwa stopnie dzielące chodnik od mojego biura.

- Viktor Karppa...

Zdanie urwało się w połowie bez znaku zapytania, zawisło w suchym powietrzu niczym strzępek chmury.

- To ja.

Skinąłem głową, postanowiłem być rzeczowy i taktowny. Mężczyzna był ubrany z nudną elegancją: proste, ciemnoszare spodnie, czarne półbuty, w gazetach reklamowane jako „rozsądny wybór”, i zielona marynarska kurtka, która z pewnością nigdy nie zaznała morskiej bryzy. Kaszkiet i rękawiczki przełożył do jednej dłoni, a płaską aktówkę postawił na podłodze i oparł sobie o nogi. Były wojskowy, ale z której formacji? Przedsiębiorca na urlopie?

Prawnik z klubu biznesu czy inspektor z ratusza?

Po cichu liczyłem, że to kolejny klient. Ze społeczeństwem starałem się mieć do czynienia jak najmniej. Ze strony organów państwa sprawę do mnie mogła mieć tylko policja, a ta zazwyczaj nie przychodziła w pojedynkę. Na operacyjnego supola był za stary, a i na ulicy nie dostrzegłem rozbijającego skromnego volkswagena golfa. [Supo (skrót od Suojelupoliisi) - fińska tajna policja, zajmująca się m.in. kontrwywiadem.]

- Aarne Larsson - przedstawił się. - Jak rozumiem, załatwia pan najróżniejsze sprawy.

Głos zachrząścił mu w suchym gardle jak zmarznięty śnieg pod nartami. Jednak pod względem merytorycznym zdanie było na tyle trafne, że zaniechałem uściśleń.

- Mam kłopot, przykrą sytuację... a mówiąc wprost, zaginęła mi żona.

Larsson lustrował moje stanowisko pracy. Jego spojrzenie zatrzymało się na encyklopedycznej Historii Finlandii i czerwonych grzbietach piątej i szóstej części serii „Stopnie Wiedzy”. Pożałowałem, że pochopnie oddałem do biblioteki pierwszą część biografii Saarikoskiego. Wywarłbym pewnie na Larssonie inteligentne wrażenie, gdyby leżała na widoku.

- Mniemam, że mógłby mi pan pomóc... poprzez swoje kontakty. Tak się bowiem składa, że moja żona urodziła się w Estonii. Przeniosła się do Finlandii dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych - powiedział niechętnie, acz rzeczowo. - Przypuszczam, że ma pan rozległą siatkę obejmującą imigrantów z obszaru byłego Związku Radzieckiego - sformułował kolejną wypowiedź, po czym jego szare spojrzenie znieruchomiało na mojej

twarży. Nie umiałem rozstrzygnąć, czy w tym przypuszczeniu zabrzmiało oskarżenie, czy podziw, postanowiłem więc milczeć.

Larsson usiadł na lepszym z dwóch krzeseł przeznaczonych dla moich klientów. W jaskrawym słońcu przedwiośnia na linoleum dojrzewały plamy, które niczym nie dawały się usunąć. Poprzednim najemcą pomieszczenia był lokalny oddział związku zawodowego i kiedy się

zorientowałem, że biurko przewodniczącego i szafy z segregatorami wycisnęły w wykładzinie wiekiste piętna, zdecydowałem się je odkupić. Na dokładkę dostałem kilka innych biurowych wykopalisk. Podeszwy setek petentów wytarły wykładzinę w jednym miejscu, na zawsze pozostawiając na niej czarne krechy.

Patrzyłem w oczy Larssona z uczciwą obojętnością i czekałem. Cisza nagłośniała tykanie stojącego na moim biurku chińskiego budzika. Radio podawało grzecznie prognozę pogody dla Bałtyku. Zacząłem mówić, gdy spiker dotarł do Gotska Sandón.

- Może zrobimy tak, że zreferuje mi pan pewne podstawowe fakty. Wtedy zobaczę, czy będę mógł panu pomóc. Oczywiście traktuję całą sprawę jako poufną. Nie wykorzystam tych informacji w żaden sposób, nawet gdyby nie został pan moim klientem - odczytałem z pamięci swoje credo i otworzyłem notatnik.

Wypunktowałem wydarzenia i informacje wprowadzające - mój rozmówca niemal mi przerwał. Chyba z góry przyjął, że to on będzie rozdawał karty. Trzasnął zamek otwieranej teczki, Larsson podał mi starannie zapisaną kartkę w przezroczystej koszulce.

- Sądzę, że znajdzie tu pan aż nadto faktów - stwierdził i wydobyl okulary.

Uważnie przeczytałem wygładzone linijki. Larsson nie był urzędnikiem, miał antykwarjat na Stenbacka. [Stenbackinkatu - ulica w dzielnicy Tóóló, na zachód i północny zachód od centrum Helsinek.]

- Niedaleko siedziby Fińskiego Sokoła... Ale to dla pana chyba zbyt dawne czasy...

- Chodzę tam czasem popływać - pozwolił mi powiedzieć.

- Wyspecjalizowałem się w literaturze historycznej, w ruchach politycznych, i w zasadzie nie handluję prozą ani tą dzisiejszą literaturą - ciągnął niewzruszony moim wyznaniem, dopowiadając słowa we właściwym momencie, jak gdyby wyczytał z mojej siatkówki, w którym miejscu jego listy właśnie się znajdują. W jego komentarzu nie było złośliwości ani pogardy, lecz wyraźnie komunikował, że ceni sobie fakty, a nie fikcję.

Z jego daty urodzenia obliczyłem, że ma już sześćdziesiątkę na karku, podczas gdy jego zaginiona bez wieści żona Sirje, której imię zobaczyłem wtedy po raz pierwszy, ma lat trzydzieści pięć. Byli małżeństwem od sześciu lat, nie mieli dzieci. Larsson był już wcześniej żonaty, ale się rozwiódł. Jego pierwsza żona i nastoletni syn mieszkali w Lahti.

Larsson podał także dokładnie miejsce zamieszkania. Przywołałem w pamięci siatkę ulic Pakili, pojedynczy numer w adresie wskazywał, że mieszkał w willi. [Pakila - głównie willowa dzielnica w północnej części Helsinek.]

W spisie nie zabrakło także domku letniskowego w Asikkali, dalszych krewnych i mało znaczących kontrahentów. Kartka była gotową, przepisaną na czysto notatką, jaką normalnie sam musiałbym sporządzić.

Pochylił się raz jeszcze i wyjął z teczki białą kopertę, a z niej fotografię. Po raz pierwszy wydał mi się zażenowany.

- Tutaj ma pan Sirje, z zeszłego lata...

Ująłem zdjęcie. Szatynka patrząca prosto w obiektyw, odgarniająca właśnie z policzka potargane przez wiatr włosy. Usta w półuśmiechu. W tle kamienista plaża i grzywy fal. Sirje miała ładną twarz i ciemne oczy patrzące trochę nieufnie, ale było w nich więcej pokory niż tupetu czy arogancji.

Zaskoczył mnie obraz z przeszłości, przełamał zaporę mojego skupienia, wypełniając umysł wyraźnymi doznaniem. Wyspa na Ładodze, igliwie na ścieżce, szary piasek plaży, nagie uda

dziewczyny - wszystko świeże i ostre, jakby wyjęte z chłodni uczuć i wrażeń i szybko rozmrożone. Musiałem zabić te wspomnienia, nim się dookreślą, nim się zbiją w trójwymiar, skoordynują w umyśle w spójną czasoprzestrzeń i ścisną pierś tęsknotą. Zmusiłem się do powrotu do fotografii Sirje i do Aarnego Larssona.

- Piękna kobieta.

Zdziwiłem się, wydał mi się zawstydzony i zadowolony zarazem. Odłożyłem zdjęcie na blat i raz jeszcze zacząłem czytać jego listę.

- Kiedy pańska żona zaginęła lub kiedy pan to spostrzegł? Czy zaginęła, bo coś się wydarzyło? Czy kontaktował się pan z policją?

- Sirje zaginęła szóstego stycznia. Byłem w antykwariacie. Wyszła z domu w ciągu dnia, nic mi nie mówiąc, nie zostawiając żadnej informacji. I nie zabrała ze sobą rzeczy. Czekałem do wieczora, zadzwoniłem do znajomych, do jej rodziny w Tallinie, wreszcie zawiadomiłem policję. Ale niczego nie ustalono, nikt jej nigdzie nie widział. Ani w hotelach, ani na granicy, ani na promach, ani na lotniskach. Nigdzie. Przepadła jak kamień w wodę.

Larsson mówił, jak gdyby powtarzał przygotowane wcześniej oświadczenie. Siedział spokojny i wyprostowany, tylko głos mu się łamał.

- Na tym policja zakończyła dochodzenie. Chodziłem do nich, żądałem działania, ale oni się tylko uśmiechali krzywo. Dano mi do zrozumienia, że nie zamierzają się wysilać dla jakiejś Estonki. Nikt tego na głos nie powiedział, ale można to było wyczytać między wierszami - w głosie Larssona brzęknęła napięta struna. - Niech przestępcy sami załatwiają swoje sprawy między sobą. To jest ich myślenie. Ale ja wiem, że Sirje nie wplątała się w żadne szemrane interesy. I dlatego przyszedłem do pana. Mam nadzieję, że ją pan odnajdzie.

Larsson dostrzegł, że moje spojrzenie zatrzymało się na jej danych osobowych. Przy pierwszym czytaniu pominąłem je. Reakcja policji stała się nagle zrozumiała.

- Zgadza się. Panieńskie nazwisko Sirje brzmi Lillepuu. Jaak Lillepuu to jej brat - potwierdził Larsson.

Giennadij Ryżkow pomachał zdjęciem Sirje i pokiwał głową.

- Siostra Jaaka Lillepuu? Nie znałem jej. Ale ja się nie bawię w Estoneczki i w ogóle słabo je znam. Ta się na pewno po Helsinkach nocą nie kręciła.

Wyjąłem mu zdjęcie spomiędzy palców i odłożyłem do teczki. Ryżkow zapalił papierosa, strzepnął starannie popiół do okrągłej, miedzianej popielniczki z wypukłą reklamą piwa na dnie. Otrzymałem ją z dobrodziejstwem inwentarza odziedziczonym po związkowych biuralistach. Łańcuch na przegubie Ryżkowa kołysał się zgodnie z ruchem papierosa, złoto połyskiwało też w ustach, na dwóch palcach i zegarku.

- Ale tę bym chętnie przeleciał. Przyparty do muru mógłbym jej dać - oświadczył. - Jest tylko ten jeden mały szkopał. Siostry tego Lillepuu nawet bym palcem nie tknął. Ani żadnej jej koleżanki.

- Nie wygaduj takich świństw o żonie mojego klienta. Poza tym, Gienia, przytyło ci się. Masz albo dobrą pamięć, albo bujną wyobraźnię, gdy mówisz o dawaniu. Chyba że bierzesz próbki towaru i testujesz jakość. Za darmo ci już żadna nie da - z szefem mogłem się przekomarzać jak ze starszym bratem.

Ryżkow palił bez słowa, po czym wstał i zrobił kilka kroków, przeciągając się jak stukilowy kocur. Brakowało tylko, żeby zamruczał. Przez pas przelewał mu się piwny brzuch. Ryżkow był jednym z tych, którzy za młodu mogą jeść, na co tylko mają ochotę, ale w wieku średnim nagle wyskakują im okrągły brzuch, choć sylwetka pozostaje smukła.

Ryżkow podszedł bliżej i spojrzał na mnie czarnymi, głębokimi oczami, które nigdy nie jaśniały. Przestraszyłem się, że może źle oceniłem granicę jego poczucia humoru. Po Ryżkowie nigdy nie było widać, w jakim naprawdę jest humorze. Mówił zawsze takim

samym, spokojnym głosem, trzywyrazowymi zdaniami, a jego twarz miała zawsze identyczny, kamienny wyraz.

- To wtedy seks się dla mnie skończy. Jak już się skończy darmocho. - Ryżkow się prawie rozgadał, zgasił papierosa i poprawił zamszową kurtkę. Ziewnął, na brodzie ciemniał mu zarost. Miałem wrażenie, że nigdy się nie wysypia.

Załatwiałem dla niego różne sprawy. Przerzucałem auta z Helsinek do Wyborga i Petersburga, przywoziłem do Finlandii kobiety do pracy, wynajmowałem mieszkania i kupowałem towar na jego firmy. Wypłatę dostawałem zawsze na czas i Ryżkow zawsze dotrzymywał słowa. Ale nie potrafiłem go rozgryźć, nigdy nie miałem do niego pełnego zaufania.

Zresztą to słowo brzmiało mi trochę nazbyt uroczyście. Nawet do oszusta można mieć zaufanie, jeśli się go dobrze pozna i będzie wiedzieć, gdzie może skrewić. A ja o Ryżkowie wiedziałem tylko tyle, że pochodzi z Moskwy. Nie mówił nigdy o rodzicach, nie wspominał rodzeństwa ani domu, nie opowiadał o szkole ani o wojsku. Próbowałem go podpytywać, ale zbywał mnie milczeniem. I nie wiedziałem, co Ryżkow myśli o mojej ciekawości i o mnie w ogóle. Teraz odniosłem wrażenie, że waży w myślach zaginięcie Sirje Lillepuu i wyciąga swoje wnioski.

- Dwadzieścia lat bez zmian. O wadze mówię - dodał, widząc, że nie od razu zrozumiałem. Podał mi rękę na pożegnanie, wybierał się do swojej restauracji na Rozjeździe, a potem samochodem do Petersburga. [Erottaja - niewielki plac w samym centrum Helsinek.] Nie zapytałem w jakiej sprawie.

Stanął jeszcze w drzwiach i odwrócił się do mnie. Bawił się kluczykami, potrzącał je palcem. Trójramienny celownik na długim złotym łańcuszku wyglądał jak krzyż na różańcu.

- Posłuchaj mnie dobrze, chłopaku z miasteczka. Musisz być teraz cholernie ostrożny. Mieliśmy kiedyś z Jaakiem na pieńku, aleśmy się dogadali. To była paskudna sprawa, bardzo gruby kaliber. Lillepuu to zupełnie inna waga niż karelski alfonsi i wioskowe żuliki. Nie pamiętam, żeby Ryżkow kiedykolwiek mnie ostrzegął.

Odwróciłem tabliczkę wiszącą na łańcuszku za szybą drzwi i zamknąłem biuro. Podczas mojej nieobecności tabliczka zachęcała do skontaktowania się ze mną telefonicznie i podawała stosowny numer komórki. Obrąłem kierunek na halę targową i zszedłem po schodach do metra.

Ryżkow zagonił mnie do swoich spraw. Zadanie wyglądało niewinnie i właśnie dlatego byłem poirytowany. Miałem wyjąć jakąś torbę z przechowalni i zawieźć ją na Tóóló. Nie zapytałem, dlaczego Ryżkow sam tego nie robi.

Wysiadłem na dworcu głównym i unikając spojrzeń świrów i młodych Somalijszczyków, ruszyłem przejściem podziemnym w stronę ruchomych schodów, którymi wjechałem do holu dworca. Przy kiosku stała grupka młodzieńców. Chłopcy patrzyli na mnie wilkiem o ułamek sekundy dłużej niż trzeba. Po ich skruszonych minach poznałem, że przynajmniej trzech przyjechało z Ingrii.

Wiedziałem, że narzekają na nich rodzice i krewni, że podejrzewają ich o wyłudzenie telefonów komórkowych, kradzieże kieszonkowe, bójki i pokątny handel narkotykami.

Zauważyłem, że chłopcy mieli za modne, bufiaste spodnie, za markowe bluzy do snowboardu, za drogie, pokraczne buty i za małe telefony. Wszystko w nich było „za” w świetle tego, co wiedziałem o pracy, zarobkach i zasiłkach ich rodziców.

Zawsze starałem się trzymać z dala od tego całego bałaganu i tym razem nie miałem ochoty na zabawę w wychowawcę młodzieży. Nasze spojrzenia przecięły się i minęły, nie kiwnąłem im głową i nie uniosłem dłoni, tylko ruszyłem wprost do przechowalni. Podąłem kwit i dostałem czarną torbę. Na boku miała napis „Diadora”. Zarzuciłem ją sobie na ramię jak

własną i między Sokosem [Duży dom towarowy w centrum Helsinek.] i pocztą zszedłem w przejście podziemne na przystanek tramwajowy.

Musiałem czekać prawie dziesięć minut. Stałem się nie wyróżniać ani wzrostem, ani ubiorem, ani swoją sportową torbą. Nadjechała trójka, kupiłem bilet. Wiedziałem, że dziesięcioprzejazdowy karnet bardziej się opłaca, ale nie chciałem zostawiać niepotrzebnie śladów swoich tras. Stałem z tyłu i wysiadłem, gdy mineliśmy Halę Sportową i głośnik zapowiedział w obu urzędowych językach, że następny przystanek to ulica Salli. [Sallikatu (szw. Salligatan) - ulica na Tóóló.]

W bocznej kieszeni torby znalazłem klucz, którym otwarłem żelazną furtkę i wszedłem z bramy na klatkę schodową. Napółpiętrze znieruchomiałem. W kamienicy było cicho, mroczno i duszno. Oczekałem najpierw trzy minuty, potem kolejne trzy. Nikt za mną nie wszedł. Wjechałem windą na piąte piętro i zszedłem na czwarte. Na tabliczce odczytałem nazwisko Kyllónen, pod spodem na drzwiach widniała nalepka: ZA reklamy dziękujemy. Zakręciłem staromodnym dzwonkiem, ale nikt nie otworzył. Bo i nie powinien. Uchyliłem drzwi. Niewielka kawalerka była umeblowana, lecz nikt w niej nie mieszkał.

Zajrzałem do łazienki i lodówki: obie były tak samo puste i tak samo ciepłe.

Położyłem torbę na tapczanie, a klucze na zlewie we wnęce kuchennej. Nie wiedziałem, co jest w torbie, i nie chciałem wiedzieć. Mogły w niej być hormony do dystrybucji w siłowniach, czerwone majtki i sztuczne penisy, wypełnione paszporty, niemal cokolwiek. Ryżkow solennie przysiągł mi na swoją matkę, że w środku nie ma narkotyków ani ludzkich szczątków, i to mi wystarczyło. Lżejsze świństwa mogłem jeszcze nosić.

Wystraszyła mnie własna komórka. Wyświetlacz poinformował, że dzwoni Ruuskanen - znajomy handlarz z komisju przy Trzeciej Ramie. [Kolmas keha - obwodnica Helsinek.] Załatwiłem go szybko. Jakiś klient z Rosji chciał kupić jego bezcłowego merca, więc potrzebowali tłumacza i pisarza do wypisania papierów. Obiecałem przyjechać, umówiliśmy się i zakończyłem rozmowę. Zlustrowałem jeszcze mieszkanie, sprawdziłem przez judasza, czy na klatce nikogo nie ma, i wyszedłem.

Nie wróciłem przez Mannerheima [Mannerheimintie - duża ulica prowadząca z centrum miasta mniej więcej na północ.], tylko zszedłem do Sportowej [Urheilukatu.] i udałem się do Hali. Na miejscu dawnego boiska powstawał nowy stadion piłkarski. Przystanąłem obok placu budowy. Przy ogrodzeniu zebrał się konwent emerytów prychnających z pogardą na dzisiejszych budowlańców.

Za szkłem przy wejściu siedział strażnik o wyglądzie zapaśnika. Rzuciłem mu, że idę tylko pogadać z kolegą,

więc łaskawie skinął głową i nie zażądał zwyczajowej dyszki za wstęp. Głupio zrobiłem. Trzeba było po prostu przejść obok niego z rzeczowym, nic nie mówiącym wyrazem twarzy, a nie zniżać się do głupich tłumaczeń, i otwierać usta tylko w razie konieczności.

Na boisku do siatkówki toczył się nieustający mecz, pod koszem dwóch młodzików próbowało ograć wirtualnych obrońców, na piętrze pocili się pingpongiści i bokserzy. W środku zawsze czułem się dobrze. Atmosfera miejsca, jego odgłosy i zapachy obiecywały powysiłkową ekstazę, Hala była jak monopolowy dla podchmielonego pijaka z apetytem na więcej. Poza tym przypominała mi sale gimnastyczne leningradzkiego awuef u. Spływające z wysokich okien, tężejące na jasnych ścianach światło zapowiadało wiosnę, w głębi wielkiej przestrzeni drobniutkie gimnastyczki powtarzały jakiś układ w takt niesłyszalnej muzyki, stuk urządzeń niósł się przez całą salę i odbity od ścian nabierał prędkości.

Anatolij Stiepaszyn wyciskał sztangę w leżeniu. Czekałem bez słowa. W końcu usiadł i wstał, sięgnął po ręcznik i wytarłszy nim twarz, zawiesił go sobie wokół szyi. W milczeniu podał mi rękę i napił się wody z butelki. Odszedłem parę kroków od ławeczki, Stiepaszyn ruszył za mną. Miejsce pod sztangą zajął jakiś wytatuowany facet w spodniach od dresu.

- A Tolja na sali na pogaduszkach - uśmiechnąłem się do Stiepaszyna. Mogłem mu spojrzeć na czubek głowy. Ze skóry wybijała czarna jeżowata szczecina. Nic nie powiedział, nie odwzajemnił uśmiechu.

- No dobra, a teraz poważnie: potrzebuję kilku informacji. Jak dobrze znasz Jaaka Lillepuu, a przede wszystkim, czy wiesz coś o jego siostrze, Sirje Lillepuu? Babka trochę po trzydziestce, żadna ścierna, wyszła za Fina, niejakiego Larssona.

Mówiłem cicho po rosyjsku, ale imiona starałem się wymawiać wyraźnie. Stiepaszyn pociągnął kolejny łyk z butelki i zapatrzył się na młodzieńką gimnastyczkę w głębi sali. Po serii salt dziewczynka grzotnęła kolanami o ziemię i Tolja aż się zgarbił.

Znałem go jeszcze z moich leningradzkich czasów. Anatolij był całkiem niezłym gimnastykiem i po dyplomie krążył z cyrkiem od Mińska po Ułan Bator, od Kiszyniowa po Omsk. Zjeździł cały Kraj Rad z akrobatami, magikami, zonglerami, niedźwiedziami i psami, robił za podporę ludzkiej piramidy, stał na wiórach z wymalowaną twarzą, choć gębę miał zawsze smutną i nawet nie trzeba go było charakteryzować na klauna.

W Finlandii miał niemal porządną pracę. Zajmował się trenerką w siłowniach Ryżkowa oraz prowadził lekcje ruchu i akrobacji dla aktorów teatralnych. Pochodził z Tallina, z rosyjskiej rodziny. W czasach studenckich nie chciał w ogóle mówić po estońsku ani fińsku, może z wyjątkiem paru słów. Trzy lata w Helsinkach zmieniły go. I wiedziałem, że Anatolij zna tutejszych Estończyków.

- Jaak Lillepuu, zły człowiek - powiedział dobitnie. Spojrzał mi w oczy i powtórzył jeszcze po fińsku: - Bardzo zły człowiek! Ale siostry nie znam. Pamiętam, że kiedyś ją widziałem, i moim zdaniem nie ma nic wspólnego z interesami Jaaka. Ale syn rodzonej matki to syn rodzonej matki. Jaak wcześniej wstąpił na tę drogę. Zdążył swoje odsiedzieć jeszcze w radzieckim więzieniu.

Pokazałem mu zdjęcie Sirje.

- Tak, to ta kobieta... Ale jak powiedziałem, w zasadzie nic o niej nie wiem. Dlaczego cię interesuje?

- Babka nawiała z domu, od męża i próbuję ją odszukać.

- Mogę popytać. Ale nie licz na wiele. Będę musiał być bardzo ostrożny.

Podziękowałem mu, wyszedłem z Hali i skierowałem się w stronę przystanku tramwajowego. Choćbym nawet nie uzyskał od Stiepaszyna żadnych konkretnych informacji, po mieście niedługo się rozejdzie, że szukam Sirje Larsson, vel Sirje Lillepuu.

W nocy miałem taki sen:

Dom, Sortavala, popołudnie. Stałem przed radioodbiornikiem. Pudło jaśniało lakierowanym drewnem, kropkami światła i nazwami radiostacji na szkle, nagrzane cewki i lampy świeciły i pachniały jak żadna inna maszyna w naszym domu. Plama słońca naświetlała chodnik, w powietrzu wirował kurz. Matka z książką przy piersi kiwała się powoli w bujanym fotelu.

Wróciłem właśnie ze szkoły, widziałem to, tornister stał na ziemi, na szyi miałem jeszcze pionierską chustę. Do pokoju wszedł ojciec w zielonkawym uniformie, moje palce pamiętały kształty baretek, gruby mundurowy materiał, papierosy w kieszeni. Nie przytulił mnie, byłem już przecież dużym chłopakiem, nie zdjął nawet czapki, tylko kazał matce iść ze sobą, fuknął na nią głosem, którego nie pamiętam. „Papa, nie, papa, nie!” krzyknąłem i przestraszyłem się. Przecież umarli nie mogą rozkazywać, pomyślałem sobie, matka się obróciła i spojrzała na mnie. Miała czarne okulary, jak niewidomy w starym filmie.

Obudziłem się i wlepiłem wzrok w sufit - śnieżnobiały. F 157 - przypomniał mi się kod koloru i dopiero po chwili oprzytomniałem i zdałem sobie sprawę, gdzie jestem. Czerwone cyfry na wyświetlaczu radia pokazywały 04:55.

Może mnie zbudził roznosiciel gazet? Było jeszcze ciemno, Hakaniemi z mrukiem budziło się ze snu. Obróciłem się na bok, nasunąłem poduszkę na ucho i zacząłem sobie wmawiać:

„Masz jeszcze trzy godziny, masz jeszcze trzy godziny”.

Czułem, że lada chwila zasnę, ale wtem coś mnie znów wyszarpnęło z objęć Morfeusza. Przypomniałem sobie swój sen i matkę w czarnych okularach. Żałowałem, że śpię zupełnie sam.

™ Poprosiłem Larssona o zgodę na przejrzanie przedmiotów należących do jego żony. Numer telefonu do sklepu znalazłem w przygotowanym przez niego dokumencie.

„Antykwariat Naukowy Larsson, czym mogę służyć”, usłyszałem po niecałych dwóch sygnałach w słuchawce. Umówiliśmy się na szóstą wieczorem.

O piątej pięćdziesiąt byłem na Pakili, szukając jego domu po stronie Dolarówki. Pamiętałem, że drugą połowę dzielnicy uważano za uboższą i nazywano Rublówką. Jak na moje oko obie połowy wyglądały identycznie - jak przyczółek fińskiej klasy średniej: powojenne drewniane domy o dwuspadzistych dachach, do których dobudowano później skrzydła, zielone podwórza, tu i ówdzie wieloboczne bryły z cegły i upchane na niewielkich działkach szeregowce.

Krótki podjazd do domu Larssona wznosił się od rogu ulicy. Wyjechałem spod biura swoim volvo. Była to już nastoletnia brązowa dwieścieczterdziesiątka - samochód eleganckiego papcia i statecznej matrony w futrze.

Mnie wystarczyło, że auto było niezawodne i nie rzucało się w oczy. Kupiłem je w komisie Ruuskanena, który nie mógł się nachwalić nieseryjnej turbosprężarki: „Stary, ten wóz ma odejście jak szczupak spod trzciny”.

Nie byłem wędkarzem, ale domyśliłem się, o co mu chodziło: auto ma przyspieszenie.

Wypadało, oczywiście,

mocno się potargować, nie zostawiając suchej nitki na stanie pojazdu, a gdy uzgodniliśmy wreszcie warunki umowy i dobiliśmy targu, wspomniałem Ruuskanenowi o słynnych petroskojskich przeglądach technicznych

i śrubokrętach, którymi nie bada się wytrzymałości ramy pojazdu, tylko konstrukcję nośną sprzedawcy. [Petroskoi - używana przez Karelów i Finów nazwa Petrozawodzka.]

Ruuskanen zapewnił, że zna pojęcie szerokiej gwarancji. I na razie byłem z volviaka zadowolony.

Wjechałem przez otwartą bramę i zatrzymałem się przy schodach, choć widziałem, że podjazd i wyjeżdżone ślady prowadzą dalej, za dom. Domyśliłem się, że garaż jest po stronie spadku, w piwnicy. Śnieg z drogi i ścieżek był starannie odgarnięty i uformowany; kąty i formy nadawałyby się do podręcznika geometrii. Larsson mnie usłyszał. Już czekał w drzwiach.

Każdy dom i każde mieszkanie ma swój zapach. Zapach domu Larssona był chłodny, z cytrynową nutą wosku do podłóg lub płynu do mycia, wspomnieniem po fajkowym tytoniu i śladem lakieru do mebli lub łazienkowego silikonu. Zapamiętałem go. Wyobrażałem sobie pewnie, że znajdę i rozpoznam Sirje właśnie po zapachu.

Gospodarz szybko oprowadził mnie po domu, obiecując w razie potrzeby służyć wszelką pomocą i radą, po czym zostawił mnie samego w salonie. Powiedział, że wraca do swoich zajęć w piwnicy, gdzie ma pracownię. Obiecałem rozejrzeć się spokojnie i gruntownie, nie nadużywając jednak jego zaufania.

Salon przeszedłem szybko. Mało wygodne meble, na oko gustawiańskie, dwa małe stoliki, na jednym szachownica, na drugim paczka wysuszonych marlboro i popielniczka, puste wazony. Na ścianach niewesołe obrazy, zimne, fińskie pejzaże i dwie naprawdę martwe natury z kwiatami. Podniosłem klapę pianina i wystukałem jedną ręką dawny sygnał czasu moskiewskiego radia.

- W lesie nawet nie drgnie liść... - Larsson mnie wystraszył. Niepostrzeżenie wrócił na górę i stanął w drzwiach salonu. Zmieniłem melodię na Pieśń o Moskwie. Kompozytor tego motywu był zresztą prawdziwym siepaczem Stalina. Pianino nie jest nastrojone.

- Możliwe, nie orientuję się. Myślę o Tichonie Chrennikowie, bo pianino trzyma strój - odpowiedziałem bezstronnie, ale Larsson z teczką w ręku wyszedł już do holu i wrócił do pracowni.

Na parterze poza salonem i przedpokojem znajdowała się kuchnia, stanowiąca eleganckie połączenie staromodnych kafli, kredensów i przestrzeni z nowoczesnymi urządzeniami. Za kuchnią był pokój, może dla niegdysiejszej służącej. Miał własną, małą łazienkę i oddzielne wejście. Pomieszczenie przerobiono na pokój gościnny, ale na łóżku pod kapą nie było pościeli. Szafy stały puste, tylko na dnie jednej leżała roczna sterta czasopisma „My Kobiety”. Obejrzałem nalepkę z adresem, gazety przychodziły na Sirje Larsson. Półki w szafach starannie wyłożono błyszczącym papierem w żółte kwiaty. Odkręciłem kran w łazience, zacharczał i po chwili parsknął rdzawą wodą. Goście na noc musieli być w tym domu zjawiskiem nadzwyczaj rzadkim.

Z salonu prowadziły jeszcze jedne, drewniane drzwi. Otworzyłem je i po zapachu poznałem, że to gabinet Aarnego Larssona. Ściany od góry do dołu zastawione były półkami. Pośrodku stare, solidne biurko. Na nim zwykły komputer, stojak na książkę i korytko z przyborami do pisania. Przy stole współczesny biurowy fotel, a obok niego na podłodze czarne, skórzane pantofle. W pokoju panował półmrok, okno wychodziło na wschodnią stronę. Roztaczający się z niego widok był senny i czysty jak niedzielne popołudnie w małym miasteczku. Nietrudno było sobie wyobrazić spacerujące po ulicy pary w identycznych wiatrówkach i sąsiadów zasłaniających okna, by słońce nie przeszkadzało w oglądaniu ulubionego serialu lub wyścigu formuły jeden.

Ja jednak nie patrzyłem w okno, lecz na wyklejony białymi kasetonami sufit. Na samym środku wisiało dwupłatowe śmigło samolotu - klejone z pięknych warstw ciemnobrązowego drewna, lśniące od lakieru. W piascie widniał elegancki, skromny znak: niebieska swastyka na białym tle.

Wychowałem się wśród ludzi radzieckich i nauczyłem się widzieć pewne sprawy tak, a nie inaczej - i kładziono mi je do głowy tak często, że wywołują u mnie prosty odruch, jak uderzający w kolano młoteczek neurologa. Na widok hitlerowskiego hakenkreuzu aż odskoczyłem, choć dobrze wiedziałem, że swastyka na piascie śmigła to dawny symbol fińskich sił powietrznych, a nie Trzeciej Rzeszy.

Nie pasjonuje mnie historia wojen i nie jestem miłośnikiem lotnictwa, dałem więc spokój śmigłu i przystąpiłem do oględzin regałów. Dobór tytułów nie był już dla mnie tak szokujący, ale było jasne, że śmigło i zainteresowania gospodarza mają ze sobą wiele wspólnego.

Książki traktowały głównie o historii politycznej, drugiej wojnie światowej, Niemczech i ZSRR. Księgozbiór stanowił klasykę zaplutej reakcji, choć nie byłem do końca pewien współczesnego znaczenia tego epitetu. Po plecach przebiegały mi ciarki, a przed oczami ćmiło, jakbym zaglądał do iskrzącej po zwarciu skrzynki bezpiecznikowej, ale byłem przekonany, że te książki i swastyka nie mają żadnego związku ze zniknięciem Sirje.

Udałem się na piętro. Hol przechodził płynnie w drugi salon. Znajdował się w nim zwyczajny, jasny komplet wypoczynkowy - nie potrafiłem rozstrzygnąć: Ikea czy Asko [Licząca już prawie sto lat fińska sieć meblarska.] - telewizor, wieża, stojak z winylami i płytami kompaktowymi, kilka metrów literatury pięknej, na ścianach dwa modernistyczne obrazy.

Małżeńska sypialnia była biała i współczesna, tapeta na ścianach miała kolor szaro-błękitny. Przyszło mi na myśl, że w takim pokoju śpi się rześkim i lekkim snem; nie było w niej nic posepnego, choć znajdowała się nad złowróżbnym gabinetem Larssona.

Na toaletce leżało kilka drobiazgów Sirje Larsson. Grzebień, szczotka do włosów, dwie pomadki i tusz do rzęs, kilka opasek do włosów. W szufladzie znalazłem parę dodatkowych kosmetyków, podpaski i tampony, suszarkę, jakieś gazety, hotelowe buteleczki szamponu i mydełka.

Na stole obok telefonu stał podłużny kalendarz. Na niektórych stronach dostrzegłem jakieś notatki. Aarne Larsson raz albo dwa razy w tygodniu chodził na jakieś zebrania. Małym, okrągłym charakterem pisma zapisano raz w tygodniu „Sirje aerobik”, podobnie regularnie, we wtorkowy wieczór o osiemnastej, powtarzał się wpis „malowanie”. W pustych rzędach i na marginesach kartek widniały rysunki kwiatów, psów i koni.

W kalendarzu nie zapisywano numerów telefonów ani terminów spotkań z przyjaciółmi. Nie znalazłem w nim klocków, z których mógłbym złożyć obraz życia człowieka.

Larsson pochylał się nad starą książką, siedział na wysokim stołku, całkowicie pochłonięty szyciem skórzanego grzbietu. W pracowni stały metalowy stół roboczy, pralka, deska do prasowania i maglownica, niska zamrażarka oraz regały z segregatorami i rocznikami czasopism. Obejrzawszy to wszystko, zacząłem się uprzejmie przyglądać pracy nad książką, lecz nie przychodziło mi do głowy nic sensownego.

- Był pan w moim gabinecie - Larsson wybawił nas z milczenia. Nie patrząc na mnie, skinął głową w stronę sufitu. - Interesuję się historią, wspólnotą ugrofińską i podobnymi sprawami. Niektórzy się dziwią, a dawniej to się nawet ze mnie śmiali. Ale pan akurat dobrze mnie rozumie, w końcu zaznał pan na własnej skórze sowieckiego knuta. I nie dał pan z siebie zrobić Ruska, tyle o panu wiem. - Zdania Larssona wyraźnie się wydłużyły.

- No tak - próbowałem utrzymać neutralny ton. Lustrowałem piwnicę, zajrzałem do magazynków i do zimnej sauny. W piwnicy były również kotłownia i garaż. Larsson jeździł saabem 9000 w kolorze szary metalik. - Nie znalazłem w zasadzie żadnych dodatkowych informacji o pańskiej żonie, żadnych telefonów przyjaciół, żadnych notatek. Zdaje się, że interesuje się malarstwem, chodzi na jakieś zajęcia?

- Kurs na uniwersytecie ludowym. Sirje lubi olej, już nie pamiętam, który to jej kurs, ma chyba trochę do tego smykałkę - odpowiedział. - Miała tam jakichś... znajomych - podjął po chwili. - Ale poza tym Sirje nie ma tu przyjaciół. Jeździła natomiast często do Tallina, do rodziców, bywało nawet, że dwa razy w miesiącu. Ale ja nie miałem nic przeciwko temu, absolutnie nic - dodał głośniejszym głosem i spojrzał na mnie przez rogowe okulary. Do mojego biura przyszedł w okularach w metalowych

oprawkach, te były już pewnie stare, zdegradowane do funkcji okularów roboczych.

- Musiałby pan też pewnie spytać, czy Sirje miała wrogów. Choćbym się bardzo starał, nikt nie przychodzi mi na myśl. Raz dostaliśmy przykry list, anonim, w którym ktoś nazywał żonę estońską dziwką, a mnie starym dziadygą, ale to było dawno temu i nie sądzę, aby miało jakiś związek ze zniknięciem Sirje. To na pewno dzieło jakiegoś głupkowatego sąsiada albo fanatycznego nacjonalisty.

- Czy ma pan ten list?

- Nie, był w zwyczajnej białej kopercie, napisany na maszynie, bez podpisu. Wyrzuciliśmy go. - Larsson pokręcił nieznacznie głową.

Podziękowałem mu za pomoc i podałem dłoń. Wycofałem samochód na ulicę, przejechałem dwieście metrów i wróciłem na piechotę. Oparłem się o latarnię i zacząłem obserwować nieistniejące życie ulicy. Gdybym był palaczem, popalałbym teraz papierosa. Okna domu Larssona rzucały stabilne światło, z sąsiedniego domu wyjechało tyłem czarne audi i szybko przyspieszając, ruszyło w stronę Północnej [Tuusulanvayla - nazwa odcinka autostrady prowadzącej z centrum Helsinek na północ na lotnisko w Vancie.], ale poza tym ruch był zerowy.

Zastanawiałem się nad sąsiadami Larssonów. Ich dom mieścił się na rogu ulicy, na działce po przeciwnej stronie stał niewielki, jednopiętrowy szeregowiec, a obok niego bliźniak, i wejście do połówki A wychodziło na dom Larssona.

Podszedłem do dębowych fornirowanych drzwi i nacisnąłem przycisk dzwonka. Usłyszałem odległe ding dong i szczekanie psa. Drzwi otwarła czterdziestoletnia

blondynka ładnie przyobleczona w dżinsy, bluzę i perfumy. Była boso, paznokcie miała ciemnoczerwone.

- Dobry wieczór, Jari Kesonen z firmy Jurister. Wyjaśniam tu u sąsiadów pewną sprawę. Czy mógłbym zająć pani chwilkę i zadać kilka pytań? - przedstawiłem się i zapytałem, pokazując kobiecie zalaminowany identyfikator ze swoim zdjęciem, który potwierdzał, że nazywam się Jari Kesonen i pracuję w Kancelarii Adwokackiej Jurister.

Firma istniała naprawdę i była w Helsinkach właścicielem mieszkań i samochodów, lecz nie zajmowała się problemami prawnymi, a co najwyżej ich przysparzała. Jurister działał najaktywniej w szufladzie biurka Giennadija Ryzkowa. A identyfikator sam sobie zrobiłem. Marjatta Nyqvist na nic mi się nie przydała. Wysłuchiła mnie z ciepłym uśmiechem, zaprosiła do środka i posadziła na jasnej sofie o ostrych brzegach. Zrelacjonowałem sprawę z grubsza i zgodnie z prawdą. W sumie naciągnąłem jedynie swoje personalia i firmę, ale to dlatego, że fiński nibyprawnik robi w tym kraju dużo lepsze wrażenie niż ingryjski repatriant rozpytywacz. Starąłem się także dopasować do roli swój ubiór, siłąc się na niedbałą elegancję. O moją garderobę dbał Ryzkow. Zlecał gdzieś w Kakisalmi szycie podróbek markowych garniturów przyzwoitej jakości, czasem kupowałem też albo dostawałem od niego sprowadzone na wzór włoskie oryginały.

Gawędziliśmy, pani domu zaczęła się uśmiechać i wyglądać bardzo apetycznie, choć z początku zaliczyłem ją do starszego rocznika. Zastanawiałem się, kiedy po raz ostatni byłem z kobietą. Spoglądając na łuk jej szyi, wyobrażałem sobie, jak łaskotałbym ją zarostem, a ona by pachniała, jak słyszałbym jej pomruki i szepty...

Nie zarejestrowałem, co właśnie powiedziała pani domu, ale mruknąłem potakująco, jakbym się z nią zgadzał. Wiedziałem, że zdaje sobie sprawę z tego, jak na nią patrzę, lecz najwyraźniej nie miała nic przeciwko. Uśmiechnęła się - nie wiedziałem tylko, czy uwodzicielsko, czy raczej z matczynym zrozumieniem.

- Nie wychodziłyśmy w zasadzie poza dzień dobry, może czasem latem wpadałyśmy na siebie w ogródku i zamieniałyśmy kilka słów przez krzaki. Nie była szczególnie rozmowna ani towarzyska, choć bardzo sympatyczna, to na pewno. Nie było między nami żadnych tarć. Po prostu niemal zupełnie nie miałyśmy ze sobą kontaktu - pani Nyqvist sprowadziła mnie z powrotem do Sirje Larsson.

Nyqvistowie mieszkali na Pakili od ponad dziesięciu lat i dobrze znali wszystkich sąsiadów. Pani Marjatta przypuszczała, że Sirje Larsson nie miała w okolicy żadnych znajomych. Larssonowie wiedli życie zamknięte i nikomu tutaj to nie przeszkadzało.

- Powiedziałabym, że wyglądali na bardzo... stabilną, czy wręcz szczęśliwą parę, jeśli można coś takiego powiedzieć o małżeństwie - Marjatta Nyqvist poważyła się na ocenę. Zdawało mi się, że w jej spojrzeniu coś drgnęło, zamgliło tęsknotą.

Wyobraziłem sobie, jak wyglądałaby nago, trochę masywniejsza od młodej dziewczyny, miękka i jasna. Stałaby przede mną z ciężkimi, krągłymi piersiami, już lekko zwieszonymi, potrząsnęła włosami na znak, że dorosła kobieta nie ma się czego wstydzić i że dobrze się czuje we własnym ciele. Ale Marjatta Nyqvist wciąż była przyobleczona w dżinsy i perfumy i uśmiechała się jak kobieta, która dużo wie. Podziękowałem jej i wyraziłem obawę, że prawdopodobnie będę musiał później jeszcze trochę ją pomęczyć.

- Przychodź, kiedy chcesz - przeszła na ty i zamknęła za mną drzwi.

Podjechałem samochodem bliżej domów Larssonów i Nyqvistów. Przez chwilę siedziałem w ciemności i myślałem. Oględziny domu Sirje w zasadzie nie wniosły do sprawy niczego nowego. Co robiła w ciągu dnia, o czym myślała, z kim rozmawiała? Pytania mogłem mnożyć.

Sądziłem, że jak tu i ówdzie popytam, to szybko natrafię na ślad zbłąkanej owieczki i sprowadzę ją do domu, po czym prześlę Larssonowi okrągły rachunek na dziesięć patyków plus VAT i koszty. Zaczynałem się jednak obawiać, że to wcale nie będzie takie proste.

Światła w oknach Larssona paliły się bez zmian. Ani śladu ruchu. Otworzyły się drzwi sąsiedniego domu i Marjatta Nyqvist zaskakująco lekkim krokiem wybiegła na ulicę z podskakującym radośnie brązowym seterem na smyczy.

Uznałem, że moje volvo też zasłużyło na przebieżkę. Ruszyłem do domu.

" Siedziałem w biurze nad dokumentami ładunku drzewa z Suojarvi, kiedy do środka bezceremonialnie wkroczył Walerij Karpow. Zaskoczył mnie, uradował - i zmartwił. Karpow nie miał w zwyczaju przyjeżdżać do Helsinek bez zapowiedzi. W najgorszym razie dzwonił z drogi, że mija właśnie Imatrę, więc już czas rezerwować stolik w jakiejś porządnej restauracji, bo zjawi się u mnie bardzo głodny.

Ze zmarszczonym czołem Walerij wyglądał na oficjalnie zmartwionego. Przypomniałem sobie swój sen i matkę w czarnych okularach. Z tego wszystkiego zapomniałem do niej zatelefonować.

- Karpow, a ty co tu robisz? Coś się stało w Sortavali?

- W Sortavali nie, kurwa, tylko w jebanej Finlandii. Jakiś chuj zrobił skok na magazyn i zajął papierosy, wódkę i spirytus, kurwa jego mać, towaru za milion marek, w najgorszym razie.

Rozbawił mnie niemal tą swoją wściekłością, ale zgasilem uśmiech, bo mój przyjaciel nie był chyba w najlepszym humorze. Zakolegowaliśmy się już w szkole na wszechzwiązkowym narciarskim obozie szkoleniowym w Kawgołowie. Przebiegliśmy wspólnie na nartach setki kilometrów, przerabialiśmy też picie wódki z jednej butelki i trzymaliśmy się razem jeszcze na studiach w Leningradzie. Walerij pochodził z rodziny karelskiej, mówił czystą fińszczyzną i wyglądał zupełnie jak Jorma Hynninen, ale nie został słynnym śpiewakiem, tylko inżynierem telekomunikacji.

A w zasadzie to biznesmenem. Zainteresowanie swoją branżą Walerij porzucił już za Gorbaczowa, gdy pojawiły się telefony komórkowe. Obecnie eksportował na Zachód metale kolorowe i drewno brzozy, sprowadzał na Wschód pralki i kuchenki elektryczne, miał udziały w nielegalnej sprzedaży wódki i papierosów między Sortavaią a Vartsilą i myślał o „rozwoju infrastruktury turystycznej wokół yalamo" [Słynna wyspa z klasztorem prawosławnym na Ładodze, na terenie Karelii.], jak przeczytałem w gazecie „Karjalainen". [Po polsku „Kareł".] W przełożeniu na rosyjski oznaczało to przejęcie wszystkich promów kursujących na wyspę oraz wszystkich kiosków i restauracji, tak aby z każdego turystycznego rubla kilka kopiejek spływało do kasy Karpowa.

W Finlandii Karpow był współnikiem Ryzkowa, a w każdym razie dogadali się co do podziału pracy. Mnie to odpowiadało, bo mogłem pracować dla obu. Teraz mieli też wspólne zmartwienie.

- Ładunek był przeznaczony na Helsinki. Giennadij jest wkurwiony. I ja też, bo wsadziliśmy w ten towar gigantyczną kasę - pieklił się Karpow.

Towar przewożono w małych partiach przez granicę i składowano w kartonach w hali w Kesalahti. „Jakiś gnój" zajeżdżał przed halę tirem, przeciął palnikiem kłódki i wywiózł wszystkie sztangi i skrzynki.

- Rozpuść wici. Papierosy łatwo poznać, mają błąd drukarski - powiedział mi z niejakim ociąganiem. - W sumie to skopał mój siostrzeniec, bo wzór przygotował na komputerze w domu. - Dla pewności wyciągnął z kieszeni paczkę i pokazał mi. - Patrz, tu na górze pisze Marlboro, a z boku powinno być selected fine tobaccos, ale w tym tobaccos wypadło mu jedno c.

Wyjął papierosa i zapalił, jakby chciał pokazać, że sam producent nie ma zastrzeżeń do jakości. Kiedy był w lepszym nastroju, pytałem go czasem, czy nie pochodzi przypadkiem z tych Rettigerów von Sortavala albo tych Morrisów de Kakisalmi, teraz uznałem jednak, że lepiej zachować żarty na później. Karpow zaciągnął się chciwie dymem i ni stąd, ni zowąd zaczął wspominać.

- Hali pilnował taki jeden Jura Kozłów. Siedział tam non stop. On też zniknął, został po nim tylko termos z gorącą wodą na stole w kanciapie. Nie wierzę, aby ten chłopak miał z tym coś wspólnego, długo już u mnie pracował. Nie był to zresztą żaden orzeł. Myślę, że go sprzątnęli. Pokój jego duszy, niech spoczywa w pokoju.

Karpow zakreślił w powietrzu znak krzyża i choć w dłoni trzymał papierosa, zdołał zachować poważną minę.

Zbierał się do miasta załatwić swoje sprawy i choć go namawiałem, by został, uparł się, że wieczorem musi już wracać do Sortavali. Karpow należał do ludzi, którzy nie potrafią się złościć ani zachować powagi dłużej niż przez kwadrans, a i to przychodziło mu z trudem; na odchodnym rzucił, że musimy pamiętać o tym wniosku do TACIS, w końcu mamy już gotowy projekt rozwoju wsi. [TACIS (z ang. Technical Assistance for the Commonwealth of Independent States) - unijny program Pomocy Technicznej dla Wspólnoty Niepodległych Państw.]

To był jego stały żart, który powtarzał zawsze, kiedy w drodze przez karelską prowincję natykaliśmy się na ruiny jakiejś kolchozowej obory: „Tutaj może postawimy park technologiczny...”.

Postanowiłem posiedzieć w biurze do późna, ale nic mi się nie kleiło. Wielokrotnie próbowałem dodzwonić się do matki, ale nie odbierała. Linie telefoniczne w Karelii bywały bardzo kapryśne, tym razem jednak sygnał w słuchawce brzmiał autentycznie. Wyobrażałem sobie, jak na małym stoliku pod oknem w kuchni, którą nazywaliśmy izbą, dzwoni aparat; na parapecie stoją na pewno te jej pelargonie, a na stole leży biały obrus w czerwono-niebieskie wzory.

Telefon dzwonił, ale matka nie podnosiła słuchawki. Może była u sąsiadki albo poszła komuś pomóc, byli tam przecież i ludzie w gorszej kondycji niż ona, pomyślałem.

Zadzwoeniłem w kilka miejsc, pytając o Sirje Larsson, ale wszystko wskazywało na to, że moja siatka informatorów nadal nie miała o niej żadnych wieści. Około ósmej zamknąłem biuro i ruszyłem wkoło bloku, jak co wieczór. Nie widziałem za sobą nikogo, wszedłem więc na podwórze i do klatki schodowej. Mieszkałem w tej samej kamienicy, w której mieściło się biuro. Z zaplecza można było przejść prosto do klatki B, a stamtąd, przez piwnicę lub podwórze, do klatki A.

Mieszkanie miałem na najwyższym, szóstym piętrze i lubiłem je. Dom był spokojny, mieszkania - małe i tanie, a lokatorzy to emerytowani robotnicy. Za wynajem biura płaciłem Ryżkowowi, ale mieszkanie należało do starszych państwa, emerytów z Helsinek, którzy swoje oszczędności ulokowali w nieruchomościach i wynajmowali kawalerki i dwupokojowe mieszkania.

Zajrzałem do podręcznika do nauki angielskiego, obejrzałem wiadomości i sport, włożyłem dres. Od dwóch dni nie byłem na siłowni ani na boisku i chciałem się spociec. Pobiegłem Promenadą [Sornaisten rantatie - ulica prowadząca na północny wschód od Hakaniemi.], rozgrzałem się kilkoma

ćwiczeniami rytmu i koordynacji, przyspieszyłem, minąłem elektrociepłownię i hałdy węgla, potem port rybacki. Przebiegłem niedaleko Arabii [Dawna fabryka porcelany niedaleko centrum Helsinek.], zatoczyłem krąg wokół bladego więzienia i przez Vallilę wróciłem do domu. [Dzielnica Helsinek na północ od Hakaniemi.]

Nie przepadałem za bieganiem. Zawsze mi pachniało przymusem, nawet na wakacjach w Karelii, na leśnych ścieżkach. Wołałem kilka razy w tygodniu pograć w hokeja albo w piłkę z rosyjskimi kolegami, a zimą biegałem na nartach. Tej zimy jednak spadło beznadziejnie mało śniegu. Policzyłem, że miałem deski na nogach zaledwie pięć, może sześć razy, z czego pewnie połowa przypadła na Lahti, gdzie jeździłem czasem załatwiać sprawy.

Na zacienionych chodnikach było miejscami ślisko, ale przebiegłem kółko bez upadku. Na równym podłożu zrobiłem jeszcze setkę podskoków. Przechodnie brali mnie pewnie za

podstarzałego amatora sportu, który sumiennie zapisuje wszystkie ćwiczenia w małym zeszytiku, aby potem w jedynych zawodach sezonu naderwać ścięgno Achillesa i kuśtykać dumnie w gipsowym bucie. A następnego lata wrócić na bieżnię, z tą samą żalosną nadzieją, co rok wcześniej.

W domu wziąłem prysznic, zaparzyłem sobie herbaty i zjadłem dwie kanapki. Poczytałem trochę książkę o wojnie zimowej, Kollaa wytrzyma. [Na linii rzeki Kolaanjoki Finowie przez ponad trzy miesiące stawiali zaciekle opór wielokrotnie silniejszym wojskom wroga i dotrwali do samego końca wojny zimowej. Hasło „Kollaa kesta” („Kollaa wytrzyma”) przeszło do historii jako symbol fińskiej nieugiętości.]

Pomyślałem sobie, że Larsson byłby ze mnie zadowolony, gdyby o tym wiedział.

Zasnąłem i miałem sen.

Jestem znów w Sortavali, w domu, w izbie. Matka siedzi na łóżku, mówię coś, odwraca się do mnie. Znów ma na nosie te czarne okulary, oczu nie widać. A potem jesteśmy nagle na podwórzu, stoi tam błękitna wołga i Aarne Larsson w szarym letnim garniturze z lat sześćdziesiątych, w rękę trzyma butelkę i kwiaty. Z tyłu samochodu wysiadają Sirje Larsson i Marjatta Nyqvist, rozpoznaję zapach tapicerki wołgi, jestem już w aucie, spoglądam z tylnego siedzenia na deskę rozdzielczą i Aarne Larsson chwali mi się, że kierownica jest z kości słoniowej. Kobiety mówią, że przyjechały na pogrzeb: „Przepraszamy, źle się ubrałyśmy”. Stroje mają takie, jak w tym szwedzkojęzycznym filmie, który niedawno obejrzałem, Cudowne kobiety na plaży. Próbuję krzyknąć i przekonuję Larssona, że to nasz sąsiad Maksym Siemionowicz próbował mi wmówić, że kierownica w jego aucie jest z czystej kości słoniowej, a nie on, no i to był moskwicz, który miał radio, dobre ogrzewanie i odpalało się go na korbę... Wiem, co wszyscy mówią, choć mój sen jest niemy; za to oni nie słyszą moich krzyków i biegną do środka...

Obudziłem się i od razu poczułem, że nie jestem w pokoju sam. Oczy miałem nadal zamknięte i starałem się oddychać równomiernie, wsłuchując się w męczące cisze odgłosy. W powietrzu unosił się zapach ubrań, papierosów i grilla. Próbowałem ustalić, gdzie jest mój gość.

- Ty, Karppa, uszy ci się ruszają, widzę przecież, że nie śpisz.

Otworzyłem oczy i uniosłem się na łokciu.

- A, Korhonen, cześć. Już myślałem, że ktoś mi się włamuje do mieszkania, a to oczywiście policja. Zostawiłem klucz w zamku? Czy twój koleś Parjanne wyrwał mi zawiasy?

Kamień spadł mi z serca. Policja należała do kategorii nieszkodliwych nocnych gości.

Spodziewałem się już pobicia albo wycelowanej między oczy lufy. Ukraść z mojego mieszkania raczej nie było czego.

- Miło płynie czas młodości na pogawędkach z kumplami, ale z czym chłopaki tym razem? - zadałem kolejne pytanie.

Starszy ode mnie o kilka lat Korhonen był z wydziału kryminalnego. Wpadałem na niego regularnie - czy to raczej on wpadał na mnie, gdy miał do mnie interes. Próbował być na bieżąco w helsińskich interesach Rosjan i kilka razy wyjaśniłem mu prawdziwe powiązania ludzi i wydarzeń. Najprawdopodobniej wierzył, że staram się trzymać w miarę blisko granicy prawa. Dlatego dawał mi spokój, dopóki nie robiłem go w konia.

Korhonen siedział na krześle w nogach łóżka, miał na sobie długi, zbyt elegancki jak na policjanta płaszcz i głośno mlaszcząc, jadł kebab. Wyłuskiwał go z szeleszczącego papieru ostrożnie, aby nie zabrudzić sobie niebieskich rękawów i żółtego szalika. Sierżant Parjanne stał za Korhonenem z założonymi rękoma. Często mu towarzyszył. Krótka skórzana kurtka i krótko przystrzyżone włosy.

Sięgnąłem po zegarek. Wskazywał wpół do piątej.

- No, nic się nie stało, i tak bym wstawał już za jakieś trzy i pół godziny - powiedziałem przesadnie rzeczowym tonem.

- Nie zgrywaj mi tu lorda. Przejeżdżaliśmy tędy i pomyśleliśmy, że do ciebie zajrzemy - powiedział Korhonen.

- Zobaczyliśmy po drodze, że w znajomym barze pali się światło, więc chłopacy nam ładnie przyrządzili prowiant na nocną zmianę. Zapytaliśmy przy okazji, czy nie mają gdzieś trochę haszu, ale się zarzekali, że tylko sobie siedzą. Nie wiem, może inwentaryzację mieli, może wielkie sprzątanie, a może wyprawiali urodziny Ali Babie. A tak na marginesie, Karppa, wiesz, jak mają na imię bracia Kebabu? Nie wiesz? Iskender, Dóner i Skurczaka - wyliczył poważnie Korhonen, nie czekając na odpowiedź. - Ale Mały nie chciał, jest weganinem.

- Ja pierdołę - westchnął Parjanne zmęczonym głosem.

- Ale Viktor raczej nie zna tych młodych ogierów. Chyba że słyszałeś o jakimś Jurze Kozłowie, podobno też narciarz, tak jak ty, i do tego z tej samej stajni. Ale co zrobić, już sobie na atomikach nie pobiega, pana Kozłowa znaleziono w bagażniku pewnej primery na parkingu przy Prismie na Malmi. [Malmi - dzielnica w północnej części Helsinek; Prisma - sieć fińskich hipermarketów.]

A że japończyki mają małe te kufry, no to go poćwiartowali, coby się lepiej zmieścił - wysyczał Korhonen. W zasadzie w ogóle nie otwierał ust i głos wydobywał spod zaciśniętych zębów. - Mam złe przeczucie, że ty coś wiesz o tej sprawie. Pozwól, że ci pomogę: nie było to czasem tak, że twój kumpel Ryzkow i Karpow o coś się pogryźli i przy okazji, niejako rykoszetem, dostało się biednemu Jurze? - sapnął Korhonen.

- Nie, to nie tak - odparłem zwięźle.

- Wobec tego słucham, czas start. Przeniosłem wzrok z Korhონena na Parjannego.

- Idź, Mały, pokaż anakondzie kafelki - Korhonen polecił podwładnemu. - Do łazienki idź, mówię - dodał widząc, że Parjanne nie rozumie. - Albo nie, pójdź lepiej sprawdzić, czy nie ma mnie w samochodzie.

Parjanne nawet się nie skrzywił, tylko westchnął jeszcze ciężiej niż poprzednio i wyszedł.

- Nie za bardzo lubię tego twojego kumpla, wyrzucił mi raz całe biuro do góry nogami, chociaż dobrze wiedział, że nie miałem ze sprawą nic wspólnego - wyjaśniłem Korhonenowi.

- Do góry nogami to mają w Australii. Nie marudź, człowieku, tylko gadaj o tym Kozłowie - przerwał mi. - A Mały nie jest złośliwy, tylko trochę prosty z niego gość. Jego ulubionym aktorem jest Also Starring, a ulubioną potrawą appetizers. A teraz mu znowu Dunaj myśli wylał. Ale przestań już gderać, tylko mów, co z tym Kozłowem.

Powiedziałem mu więc, że Jura Kozłów pracował dla Karpowa, i kiedy Walerijowi ktoś podprowadził towar, Jura zniknął razem z nim. Powtórzyłem i podkreśliłem, że Ryzkow nie miał z tą sprawą nic wspólnego, a w każdym razie nie mieli z Karpowem kolizji interesów.

- Nie wiem, kto ukraść i kto zabił. Ale mnie też ta sprawa żywo interesuje. Tyle w skrócie i najwyższym zaufaniu - zakończyłem.

Korhonen zdołał wysłuchać mnie do końca, nie przerywając. Wiedziałem, że myśli szybko i cały czas porównuje moje słowa z tym, co usłyszał z innych źródeł.

- Idź ty, Karppa twoja mać, utop się w Onedze. Jak tylko słyszę z twoich ust słowo zaufanie, bierze mnie ochota przestrzelić ci stopę. Zadajesz się, kurwa, z mordercami, dziwkami i wszelkiej maści Czeczenami, a gadasz jak złotousty Saarinen. [Esa Saarinen (ur. 1953) - filozof fiński.]

Znasz gościa? Nie mieli kolizji interesów - przedrzeźnił, próbując zachować powagę. -

Jeszcze trochę i mafia zacznie inwestować w szkolenia. Zarządzanie zmianami w profesjonalnej firmie. Personel to nasza mocna strona... po ciemnej strooonie mocyyyy... - drwina Korhонena przerodziła się w śpiew, najwyraźniej się rozkręcał. - Do diabła z wami wszystkimi. Co to był za towar? Na pewno drewniane rzeźby z warsztatów plenerowych, co? A może półprzewodniki z Sakkijarvi? Albo wafle krzemowe z Kontupohji?

- Powiem, ile mogę, kłamać nie będę. Myślę, że to był jakiś bezpieczny towar, wódka i papierosy. Żadnych narkotyków ani broni - wyjaśniłem. - A Esa Saarinen to filozof, znam nawet jego żonę, bliźniaki i jej poprzedniego faceta. Od wielu lat śledzę prasę kobiecą. Korhonen wstał, przeciągnął się i spojrzął na zegarek. Przyszło mi na myśl, że wygląda na byłego sportowca, a nigdy go o to nie spytałem. Nie udało mu się przejść obojętnie obok lustra. Kantem dłoni przyglądał lekko falujące włosy i wpatrywał się w swoje odbicie z karykaturalną lubością. W drzwiach obrócił się jeszcze.

- A, jeszcze jedno, byłbym zapomniał. Co ty znowu, kurwa, kombinujesz z tymi Estońcami? Słyszałem, że się kręcisz blisko Jaaka Lillepuu. Zmieniasz obóz, czy co?

Zachciało mi się rano więcej sportu. Poszedłem więc na Halę i pół godziny targałem żelazo, rozciągałem się i gimnastykowałem na macie. Gdy jechałem na Alpejską [Alppikatu - ulica w dzielnicy Kallio, niedaleko Hakaniemi.], czułem się mocny.

Restauracja Juhy Toropainen była kiedyś zwykłym barem, gdzie można było wypić piwo i zjeść kotlet. Ale właściciel postawił na rozwój, odnowił wnętrze i zaczął co dwa tygodnie wymieniać striptizerki, a w głębi lokalu wydzielił łóżka na indywidualne seanse. Mnie jednak nie interesowały prywatne pokazy erotyczne, tylko estońskie dziewczyny.

Wczesne popołudnie w Sex-Toro przywodziło na myśl poranne rozleniwienie. Sprzątaczką wycierała mopem podłogi, otwarte na przestrzał drzwi wymuszały przeciąg, padające pomiędzy zasłon światło dnia zdawało się tam nieproszonym gościem. Za barem stał sam Toropainen, liczył butelki i zapisywał stan w zeszytiku. Zobaczyłem w lustrze, że kiwnął mi nieznacznie głową. Usiadłem przy barze i czekałem.

- Karppa, stary gnoju, co tam u ciebie? - Obrócił się wreszcie do mnie i nalał sobie wody.

- Jakoś się kula. Lej od razu do butelek. Słyszałem, że w Sex-Toro można walnąć kilka setek pod rząd i spokojnie

wrócić do domu własnym samochodem, bo nawet policyjny alkomat nie wykaże więcej niż zero dwa promila - zagailem po przyjacielsku.

- Tak jak mówisz. A wy, Ruski, macie ten swój nowy spiryt, wersja lajt, szesnaście procent - odciął się Toropainen. - Wiesz, co to jest: nie brzęczy i nie mieści się w dupie? Ruski brzęczyk do dupy. Dobra, smali talk mamy za sobą. Masz jakąś sprawę, czy tylko się nudzisz?

- Szukam jednej Estonki. Nie z branży, ale pomyślałem, że popytam u twoich dziewczyn, może coś słyszały.

Toropainen skinął ręką, poszedłem za nim w głąb lokalu. Wokół stolika przy wahadłowych drzwiach kuchennych siedziały cztery młode kobiety. Jedna jadła owsiankę, pozostałe piły kawę i w milczeniu paliły papierosy. Na stole leżały skorupki od jajek, częściowo wydrążone kubeczki margaryny i zmięte serwetki.

Przedstawiłem się i powiedziałem, z czym przychodzę. Trójka przy kawie zaciągnęła się papierosami, łyżka z płatkami na chwilę zawisła w powietrzu, ale tylko na chwilę. Żadna z kobiet nie wyrzekła słowa. Ponownie streściłem swój problem: szukam zaginionej kobiety, nazywa się Sirje Larsson alias Sirje Lillepuu, jest siostrą Jaaka Lillepuu, od lat mieszka w Helsinkach, ale pochodzi z Tallina... Pomocna będzie każda informacja, zakończyłem błagalnie i puściłem zdjęcie w obieg.

Kobiety trwały w posepnym milczeniu. Jedna wzruszyła ramionami. - Nie znam jej.

Wcisnąłem im moją wizytówkę i poprosiłem o telefon, gdyby usłyszały cokolwiek, co mogłoby mieć związek z Sirje Larsson. Obiecały mi jedynie zniżkę, jeśli się kiedyś pojawię jako klient. Uśmiechnąłem się uprzejmie i zostawiłem je w spokoju. Zbliżał się kolejny wieczór w Sex-Toro, musiały się przygotować.

- A z kartą stałego klienta co piąty raz za friko. I to jeszcze nie wszystko, mozesz zbierać punkty! - krzyknęła za mną rudowłosa znad owsianki.

- Hea tagumik [Nieżyły tyłek (est.)] - usłyszałem jeszcze ich śmiech. Domyśliłem się, że spodobał im się mój szczupły tyłek, więc nagrodziłem publikę, kręcąc przesadnie biodrami niczym model na wybiegu. Kobiety parsknęły śmiechem.

Jeszcze dobrze nie wszedłem do biura, a już zadzwonił telefon. W słuchawce odezwała się zdyszana kobieta i zaczęła szybko mówić łamaną fińszczyzną:

- Pytałeś przed chwilą o tę kobietę... Może ją gdzieś widziałam.

Przepytałem ją, ale więcej nie wiedziała lub nie chciała powiedzieć poza tym, że zdawało się jej, iż widziała Sirje Lillepuu w bloku na Herttoniemi. [Dzielnica Helsinek na północny wschód od centrum.]

Podawała mi nawet adres. Podziękowałem za informację.

- Jesteś mi teraz winien przysługę. Ale ja nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego, ja ci tego nie mówiłam - zakończyła. Buczenie w słuchawce zabrzmiało jak kropka.

Wieczorem pojechałem na Herttoniemi. Samochód zostawiłem na małym parkingu przy pubie. Obok stojaka na rowery siedział przywiązany smyczą sympatycznie wyglądający szpic. Odniosłem wrażenie, że pilnuje stojącej samotnie damki. Reklamy w oknie restauracji obiecywały pizza-karaoke-darts-bilard. A zatem raczej nigdy do niej nie wstąpię, pomyślałem.

Odszukałem adres podany przez Estonkę Toropainena. Sześć- i siedmiopiętrowe bloki przeplatały się

z zajmującymi skaliste pagórki bliźniakami. Klatek było chyba tyle, że starczyłoby na cały alfabet, mieszkań naliczyłem prawie dwieście.

Odszukałem właściwy dom i wejście. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, na drzwiach widniała tabliczka z nazwiskiem Santanen. Korytarz był czysty, pachniało obiadem i schludnością.

Przypomniały mi się leningradzkie osiedla, koszary dla tysięcznej armii ludzi, śmierdzące moczem windy i klatki schodowe, z których pokradziono żarówki, tajemnicze druty sterczące z ziemi przy wejściu i wałające się na podwórzu przy zniszczonych drabinkach betonowe kloce.

Zmusiłem się jeszcze i przypomniałem sobie, jak ciepło i miękko było w mieszkaniu za wygłuszonymi drzwiami, jak dobrze było siedzieć z innymi ludźmi, jeść i pić, czuć, że się należy do wspólnoty.

Zadzwoniłem, lecz w mieszkaniu panowała cisza. Wyszedłem na podwórze i policzyłem okna. Mieszkanie Santanena było ciemne. Jeśli to on je teraz zajmował. W każdym razie pan Santanen dostał kiedyś przydział na mieszkanie komunalne, ale to, czy tam nadal mieszkał, nie było już takie pewne.

Lokali komunalnych nie wolno było podnajmować, ale zakaz powszechnie omijano. U Santanena mogli mieszkać studenci, węgierskie stewardessy albo cały personel chińskiej restauracji, a i tak oficjalnym najemcą i płatnikiem czynszu pozostawałby jakiś „Santanen”. Sąsiedzi czasem donosili władzom o lewych stancjach, ale spokojni i nieszkodliwi podnajemcy mogli zazwyczaj spać bezpiecznie.

Oparłem się o sosnę i w zapadającym zmierzchu przyglądałem blokowisku. Na ciemniejącym niebie rozpalaly się gwiazdy, jakby ktoś kręcił gigantycznym ściemniaczem, i zanosilo się na zimną, przedwiosenną noc. W wielu oknach niebieska poświata telewizorów podrygiwała w jednakowym rytmie; w tych mieszkaniach oglądano ten sam program.

Przez okna na parterze można było zajrzeć do środka. Tęgi mężczyzna z kolczykiem w uchu i włosami ciasno spiętymi w kitkę nakładał dwóm małym chłopcom ziemniaki na talerze. Sos był w czerwonym garnku, mama chłopców wystawiła z lodówki kartoniki z mlekiem i zaczęła nakładać tartą marchew, wywołując protesty dzieci. Potem podeszła do stołu, nad którym wisiała blada lampa. Zaparowana kuchenna szyba miała niebieskoszary kolor.

Pomyślałem o matce i przypomniałem sobie nasze posiłki we dwoje po śmierci ojca; Aleksiej wyjechał na studia do Moskwy, tam też się ożenił i został. Siedzieliśmy z matką naprzeciw siebie, zawsze na tych samych miejscach, jedliśmy ziemniaki z sosem, chleb, jarzyny i kwaszoną kapustę. Później matka została przy stole sama, bo wyjechałem najpierw do Leningradu, a potem w szeroki świat. Sprawdzałem zawsze prognozę pogody dla Karelii i wiedziałem, że w Sortavali będzie taka sama mroźna noc, choć dużo bardziej sucha. W nocy na niebie będą świecić te same gwiazdy i ten sam księżyc.

- Co się pan tak tu czai, podglądać się zachciało, co? - ostry głos sprowadził mnie z powrotem na helsińskie Herttoniemi. Odwróciłem się, ale powstrzymałem wyuczony w wojsku odruch samoobrony. Za mną stała babula w wieku mojej matki i świdrowała mnie wzrokiem z surowo ściągniętymi ustami. Była w szarej kufajce, na głowie miała ciemny beret.

- Wcale nie podglądam - zapewniłem ją. - Jestem Jukka Pekkarinen z „Ilta-Sanomat” [Fińska popołudniówka.] - przedstawiłem się i pokazałem własnoręcznie spreparowaną legitymację prasową z napisem PRESS na okładce. W środku był skan logo gazety i moje wprasowane zdjęcie.

- Piszę artykuł o nadużywaniu prawa do mieszkań komunalnych. Wie pani, ktoś dostaje przydział, potem wychodzi na prostą i wyprowadza się do lepszego mieszkania, ale kluczy miastu nie oddaje. Więc jego dzieci mieszkają sobie w Helsinkach w tanim mieszkaniu albo podnajmują je komuś i dobrze na tym zarabiają.

- Tak, słyszy się czasem takie historie. Ale lepiej byście napisali, w jak beznadziejnym stanie są te bloki. Teraz też. Remont zrobili tylko pod F i H, a reszty nawet nie ruszyli. A tam, panie kochany, wieje przez okna do środka, szczeliny na palec, tak że słońce czy śnieg, wszystko ludzie mają w mieszkaniach, a mieszkają tam staruszkowie, którzy niemało płacą za wynajem z emerytury... - babcia nabrała tempa.

Potakiwałem w regularnych odstępach czasu, starając się grać uważnego słuchacza, ale co chwilę zerkałem na okna Santanena. Babcia zgrzytała metalicznie i gniewnie. - Ja też przez całe życie ciężko pracowałem. - Urwała na chwilę, wyciągnęła z kieszeni kufajki paczkę coltów i zapaliła. Dziwnie wyglądała z tym papierosem, ale zabrakło już czasu na refleksje o nałogach i stanie komunalnych bloków, bo w mieszkaniu Santanena zapaliło się światło.

Wjechałem windą na piąte piętro i ponownie zadzwoniłem. Zdziwiłem się, bo drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Za progiem stała niespełna trzydziestoletnia kobieta. Miała na sobie czarną bluzkę i ciemnoszare obszerne spodnie, mignęło mi też kilka kolczyków, na szczęście wszystkie w uszach. Czerwone, potargane włosy i pytający wyraz twarzy sprawiły, że wyglądała jak mała, ciekawska wiewiórka.

Była podobna do Sirje Larsson, ładna i z wyglądu sympatyczna, ale to nie była ona.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę zdumieni, aż wreszcie zgodnie wybuchnęliśmy śmiechem. Czerwonowłosa zaprosiła mnie do środka.

Dawno nie czułem takiego zadowolenia, kładąc się spać, jak tamtego wieczoru. Miałem pracę na kilka najbliższych dni, dość pieniędzy odłożonych na koncie, by dać sobie radę nawet przez kilka miesięcy bez zajęcia, a życie - za sprawą nowych znajomości - zaczynało nabierać rumieńców.

Kilka razy myślałem o Marjacie Nyqvist, raz już omal do niej nie zadzwoniłem, ale nie miałem pojęcia, jak zaproponować spotkanie. Domyślałem się, że mogłaby być zainteresowana małą przygodą i urozmaiceniem. Zastanawiałem się, czy nie złożyć jej ponownie wizyty i nie powiedzieć, kim naprawdę jestem. Wyobrażałem sobie, że ktoś taki jak ja mógłby się jej wydać fascynujący. Opierałaby się, ja wpierw dotykałbym jej delikatnie, a potem wziął mocno w ramiona, aby miała pewność, że jest pożądana. Umówilibyśmy się, że wykorzystamy siebie nawzajem jak dwoje dorosłych ludzi mających swoje zobowiązania i sprawy, których nie chcą psuć. Po dwóch miesiącach gorączka by opadła, Marjatta

spojrzałyby mi przez ramię przymglonymi oczami, wycisnęła z oczu dwie łzy, powiedziała, że doskonale wie, iż tak naprawdę wcale mi na niej nie zależy, zaszlochała - i to byłby szlus. Za to spotkana przypadkiem Marja Takala stanowiła pod wieloma względami ciekawszy przypadek. Powiedziałem jej, kim jestem, i pokazałem wizytówkę z prawdziwym nazwiskiem. Dziewczyna bynajmniej się nie przestraszyła i powiedziała otwarcie, że już od czterech miesięcy mieszka jako sublokatorka u wirtualnego najemcy, którego w życiu nie widziała na oczy.

Santanen podnajmował swoje komunalne M-3 studentom. Obecnie poza Marją mieszkały w nim dwie dziewczyny z Akademii Ekonomicznej. Ona sama studiowała na uniwerku piąty rok „psychologię i tym podobne sprawy”.

Dziewczyny gdzieś wyszły, wytłumaczyła Marja z uśmiechem. Nie umiała mi nic powiedzieć ani o Sirje Larsson, ani

o Estonkach w ogóle, jej koleżanki ze stacji pochodziły z Veteli i Lappeenranta.

Przegadaliśmy godzinę przy kuchennym stole i dowiedziałem się, że Marja Takala dorabiała telefonicznymi ankietami w ramach badania rynku. Urodziła się w Jyväskylä, miała tam rodziców i młodszą siostrę, w szkole była sprinterką, a w czasie studiów przez rok pracowała w domu opieki w Sztokholmie.

Marja Takala była rozmowna, otwarta i urodziwa -

i zainteresowana moją osobą. Zauważyłem, że chętnie zadaje pytania i z ciekawością mnie odkrywa. Uśmiechnęliśmy się oboje, gdy wychodząc, próbowałem wymyślić w drzwiach coś na pożegnanie. Stało na bliżej nieokreślonym życzeniu - „do zobaczenia” - lecz zamierzałem zadbać o to, byśmy się naprawdę znów spotkali.

Dzień źle się zaczął. Przed dziewiątą w biurze zjawił się Aarne Larsson, a ja nie miałem mu zbyt wiele do powiedzenia. Mój klient wysłuchał rozdmuchanego sprawozdania z przeprowadzonych czynności i zapłacił pięć patyków gotówką.

Ustaliliśmy, że wybiorę się do Tallina.

- Chociaż nie wierzę, by Sirje tam była. Jej rodzice powiedzieliby mi o tym - zapewnił mnie Larsson. - Oni również nie widzieli jej od miesiąca i są szczerze zaniepokojeni.

Larsson pojechał do swojego antykwariatu, ja zaś podjąłem beznadziejne poszukiwania.

Obszedłem ulubione restauracje Estończyków, sklepy, których właściciele byli Estończykami, i sporo miejsc znanych z tego, że był tam kiedyś jakiś Estończyk. Pytałem o Sirje, pokazywałem zdjęcie i próbowałem zapewniać, że sprawa jest absolutnie czysta i niegroźna. Najczęściej zbywano mnie dość obcesowo. Moi rozmówcy brali mnie zapewne za Rosjanina. Odszukałem kobietę, która chodziła z Sirje do jednej klasy w gimnazjum. Znalazłem ją w Stockmannie [Drogi dom towarowy w centrum Helsinek.], była sprzedawczynią w dziale odzieży męskiej. Kupiłem u niej

dwie koszule, zmierzyła mi obwód szyi zieloną miarą i powiedziała, że wychodzi 42.

Zaśmiała się, że Sirje widziała ostatnio jeszcze w radzieckiej Estonii.

Wychodziłem już z plastikową torbą w rękę, gdy nie tyle usłyszałam, ile poczułem na karku męski głos.

- Viktorze Nikołajewiczu, nabyłem nowe nagranie Szeherazydy Rimskiego-Korsakowa - mruknął po rosyjsku miękki baryton. Omal nie padłem na miejscu trupem, ale jakoś zdołałem utrzymać się na nogach i wyjść. Stałem i sięgnąłem do torby. Starłem się zachowywać tak, jakbym coś zgubił, klepałem się długo po kieszeniach, wreszcie znalazłem klucze w bocznej kieszeni kurtki.

Zaniosłem torbę do samochodu, usiadłem i zamyśliłem się.

Mężczyzna, który przemówił mi do karku, przeszedł szybko dalej, rozmawiając głośno z drugim mężczyzną, którego po chwili pożegnał i ruszył w stronę stacji metra przy Środkowej. Na rogu skręcił w Aleksandra. [Środkowa - Keskuskatu, Aleksandra - Aleksanterinkatu, ulice w centrum Helsinek.]

Był mniej więcej w moim wieku, dobrze zbudowany lub nieco spasiony, ciemny. Nie przypominałem go sobie, ale wiedziałem, że takich gości w Moskwie mają na pęczki. I wiedziałem na pewno, że mówił do mnie.

Hasła nieraz wzbudzały moją wesołość, zaraz sobie wyobrażałem, że wymyśla je jakiś gość przy sfatygowanym biurku w brudnym gabinecie z wysokim, poczerniałym sufitem, gdzie suche powietrze drapie w gardle, a na ścianie wisi portret kolejnego władcy, wyretuszowanego starca o wyglądzie podkolorowanego umarlaka, przy grubej ramce fotografii na wyblakłej od słońca farbie widnieje jeszcze ślad po portrecie byłego wszechwładcy. I ten gość,

tajny gryziپیórek szóstej kategorii, układał hasła i kryptonimy, przysyłał je komuś szyfrem z nakazem aktualizacji w nieregularnych odstępach czasu, nie wiedząc nawet, do jakich celów i komu te hasła posłużą, nie mając pojęcia, które z nich rzeczywiście wykorzystano, a które powstały tylko dla pozorów.

Ta sekretna biurokracja zawsze mnie śmieszyła, ale teraz nie było mi wcale do śmiechu.

Usłyszane zdanie było w istocie zaszyfrowanym, lecz czytelnym rozkazem. Właściwe połączenie dzieła i kompozytora znaczyło: Masz przyjść na spotkanie ze mną. Gdybym usłyszał, że Szeherazada to kompozycja Modesta Musorgskiego na przykład, byłoby to ostrzeżenie lub odwołanie ustalonego wcześniej spotkania. Rosyjska klasyka to nie był mój konik, ale dorobek wielkich kompozytorów wbito mi do głowy tak skutecznie, że na pewno znałem go lepiej niż agenci Supo. I to musiało wystarczyć.

Wysiadłem z volviaka, dorzuciłem kilka monet do parkometru i ruszyłem w stronę ulicy Aleksandra. Miejsce spotkania wyznaczał prosty algorytm: pierwsza ulica w prawo, potem w lewo, potem dwa razy w prawo i w razie potrzeby powtórka całości - aż stwierdzisz, że jesteś tam, gdzie miałeś się stawić.

Gościowi nie chciało się trudzić aż tak bardzo. Skręciłem w prawo w Aleksandra, potem w lewo, na rogu Ateneum w prawo w Uniwersytecką [Yliopistonkatu.] i raz jeszcze w prawo. Czekał na mnie na rogu Aleksandra. Stał z gołą głową, w rozpiętym kożusku, na nogach miał zwykłe półbuty. Wyglądał, jakby mu było zimno.

Podaliśmy sobie dłonie. - Idziemy do auta - rozkazał i pstryknął pilotem na zaparkowanego pod zakazem

mercedesa. Błysnęły migacze, przyciski w drzwiach stanęły na baczność.

- Dyplomatyczne blachy, no jasne, fura z ambasady. Idźcie w cholere, już większego amatora nie mogli tu przysłać - sapnąłem po fińsku. - Trzeba było od razu pójść do gejowskiego baru, tam by nas mieli zupełnie jak na patelni.

- Ty, Viktor, też mistrzem świata nie jesteś - przerwał mi mężczyzna. - W każdym razie coś tak mi się widzi, że u ciebie też nie wszystko idzie jak po maśle, mówiąc bardzo oględnie.

Wytań zaparowane okulary i spojrzał na mnie krótkowzrocznie.

- Więc może już starczy o mnie - stwierdził sucho i przeszedł na rosyjski. - Na pewno ci nas brakowało i już myślałeś, że zostałeś zapomniany.

Nie odezwałem się, ale w duchu przyznałem, że brakowało mi ich tak bardzo jak egzotycznych chorób wenerycznych, których zdjęcia oglądałem w dzieciństwie ukradkiem w encyklopedii zdrowia.

- Chcemy cię poprosić o małą przysługę, a raczej o niewielką robotę, za którą dostaniesz pieniądze. Otrzymasz list, w którym znajdziesz mikrofilmy. Zawieziesz je na miejsce, czyli do archiwum państwowego w Mikkeli.

- Po co?

- Bo my cię o to prosimy - odpowiedział, wkładając z powrotem na nos okulary w metalowej oprawce.

- Potrzebujemy czasem nowych ludzi, takich martwych dusz. Księgi kościelne z dawnych parafii fińskiej Karelii przechowuje się w Mikkeli. Zrobiono z nich mikrofilmy i do

oryginałów nikt nigdy nie sięga. Czasem kogoś z tych mikrofilmów zdejmujemy, bywa, że umieszczamy z powrotem, albo dorabiamy mu przodków, aby wnuczeta miały rodziców i dziadków. Ale co ja będę ci mówił, sam dobrze znasz te sprawy... - powiedział przeciągle. - W końcu twoich przodków i twoje korzenie też zbadaliśmy, gdy się tu przenieśliś.

- Ale u mnie wszystko było w porządku. I to w oryginałach - próbowałem oponować. Mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. Pomyślałem sobie, że za chwilę zacznę mówić przesadnie głośno i wyraźnie. Ale podjął przyjemnym, okrągłym tonem.

- Są oryginały i oryginały. Autentyczne jest to, co autentycznie wygląda. Niektórych praszczurów możemy wymazać. W rosyjskich papierach twojego ojca to się da zrobić jeszcze łatwiej. Z dziecinną wręcz łatwością. - Spojrzał mi w oczy i pstryknął palcami: - Ot tak. I po sprawie. Tutejsze władze na pewno chętnie poznałyby historię twojej rodziny, posłuchały o tym, gdzie się kiedyś uczyłeś i czym się zajmowałeś. - Mówił spokojnie jak o pogodzie. - I na pewno skwapliwie skorzystałyby z okazji, aby nam pokazać czerwoną kartkę. Innymi słowy, wydaliby cię natychmiast z powrotem do Rosji.

Siedzieliśmy w milczeniu. Okna parowały. Mężczyzna włączył silnik i nawiew. Nie wierzyłem we wszystko, czym mnie straszyl, ale i połowa zupełnie wystarczyła.

- Możemy ubić interes? Zrobię dla was tę robotę, a wy mi potem dacie święty spokój. O ile się nie mylę, była między nami umowa, że to jest skończone?

- Posłuchaj, Gornostajew, odziedziczyłem cię po Biełowie i w testamencie nie było żadnych adnotacji na twój temat, żadnych warunków ani zobowiązań. Więc teraz mam cię w garści. Możesz mnie co najwyżej spróbować ugryźć w mały palec. A teraz spadaj i czekaj na list. Wyszedłem. Mruknęła otwierana szyba.

- Mogę czasem zadzwonić. Możesz mi mówić Arkadij, Viktorze Nikołajewiczu.

- Nazywam się Karppa - rzuciłem jeszcze do unoszącej się szyby, która ukazała całą nikłość mojego głosu.

List od Arkadija dostałem już następnego dnia. Mikrofilmy przysły w kopercie do przesyłania wyciągów z rachunku karty American Express. Najwyraźniej przy naszym pierwszym spotkaniu nie doceniłem kompetencji Arkadija. Do pasków dołączono kartkę z wykazem ksiąg kościelnych, z których pochodziły. Zapisano je po fińsku. Pod spodem widniał podpis „a” oraz dopisek: „PS, przyglądam się twoim poczynaniom. Popytałem trochę w twoim imieniu. Dziewczyny z Tallina nikt nie widział. Uważaj, w co się pakujesz”.

I co ja mam o tym myśleć, jęknąłem. Nie dość, że pływałem po szyję w gównie, to jeszcze cały czas ktoś mnie obserwował z brzegu sedesu. Chodziłem po biurze w tę i z powrotem, robiąc przerwy na bujanie się na krześle, partyjkę tetrisa, gryzienie długopisu i rozmyślania. Wiedziałem, że muszę się utrzymać na powierzchni i spróbować jakoś wydostać się z tego o własnych siłach. W tej sprawie Karpow mi nic nie pomoże, a Ryżkowa łączyły z FSB i resztą spadkobierców KGB nazbyt handlowe układy. Arkadij wiedział o mnie całkiem sporo, a na Fabrycznej nie mieli już chyba obecnie tylu ludzi, by śledzić poczynania każdego trybiku. [Tehtaankatu - ulica w południowej części centrum Helsinek, na której od końca lat czterdziestych zlokalizowana była ambasada ZSRR; obecnie w tym samym gmachu mieści się ambasada rosyjska.]

Nasuwał się zatem logiczny wniosek, że miał informatora w moim najbliższym kręgu - i tym kimś mógł być właśnie Ryżkow.

Może pójść z tym do Korhonen? Tylko co ja bym mu powiedział? „Słuchaj, stary, mam mały problem: wiesz, taki jeden ruski szpieg chce, żebym coś dla niego zrobił po starej znajomości”? Zaraz by zapytał, ile bratnia ambasada zebrała u mnie punktów w programie lojalnościowym, i rzucił na pożarcie supolom: temu panu już dziękujemy. I żegnaj, Finlandio.

Wsadziłem mikrofilmy do koperty, odsunąłem regał z segregatorami i przykleiłem ją taśmą do tylnej ścianki mebla. Mikkel musieli poczekać, zamierzałem bowiem na jakiś czas skupić się na Sirje Larsson. W tym czasie moja podświadomość będzie pracować swoim trybem i może podsunie mi pomysł, jak się uwolnić od Arkadija.

Zarezerwowałem sobie bilet na poranny prom do Tallina następnego dnia, zadzwoniłem do tamtejszych ludzi Ryzkova i zorganizowałem sobie samochód. Wcześniej jednak zaplanowałem spotkanie ze znajomymi Sirje z warsztatów sztuki, więc zacząłem się zastanawiać, gdzie w książce telefonicznej można znaleźć numer Helsińskiego Uniwersytetu Ludowego. Z kłopotu wybawiła mnie mała encyklopedia, która odesłała mnie do Uniwersytetu Robotniczego, a ten znalazłem na stronie z urzędami administracji miasta Helsinki. Niedługo potem zmierzałem już do centrum sztuki na Kallio. [Kallio - duża dzielnica blisko centrum Helsinek; w jej skład wchodzi m.in. Hakaniemi.]

Nauczycielka Sirje, graficzka o wyglądzie biuralistki, wysłuchała mnie uprzejmie, ale zapamiętała Sirje Larsson wyłącznie jako „zdeklarowaną miłośniczkę żółtej farby”. Nie miała pojęcia o tym, co robi poza klasą. Jej uczniowie zajmowali się swoimi obrazami w zdumiewającej ciszy.

Były to kobiety w średnim wieku i starsze, w głębi sali siedział jeden emeryt, który malował coś małego z mnóstwem szczegółów. Wydawał się całkowicie pochłonięty swoim pędzelm i tubkami farby.

Pod koniec zajęć obszedłem salę, cicho rozpytując o Sirje Larsson. Kobiety uśmiechały się przyjaźnie, ale tłumaczyły, że spotykają się tylko na warsztatach i w zasadzie nie mają ze sobą żadnego kontaktu. Patrzyły po sobie ukradkowo i wracały do przerwanej pracy. Po zajęciach powiedziały sobie „do widzenia” i wyszły z klasy jak przerośnięte gimnazjalistki spieszące na przerwę. Na korytarzu jedna z kobiet zwolniła kroku, zawahała się chwilę i odwróciła do mnie. Podeszedłem do niej.

- Esko i Sirje chyba się przyjaźnili... Często rozmawiali, na początku i na końcu zajęć, często też razem wychodzili. Zdaje się, że Sirje mieszka na Pakili, jeździła do domu autobusem, ale nie wiem, czy szli razem aż do dworca - powiedziała ściszym głosem, zadowolona, że tyle wie.

- Esko? Ten starszy pan w głębi sali? - zapytałem.

- Nie, to jest Unto. Esko Turunen jest dużo młodszy - wyjaśniła mi. - Ale nie sądzę, żeby między nimi coś było - dodała zaraz.

Domyśliłem się, że z niecierpliwością będzie czekać na kolejne zajęcia, aby się podzielić z koleżankami nowymi informacjami. Powie im na pewno, że ta Sirje i Esko z pewnością nie rozmawiali tylko o kolorach, w końcu człowiek był i się wypytywał...

- Esko Turunen? - upewniłem się jeszcze. - Orientuje się pani może, gdzie ten Turunen mieszka?

Kobieta pokręciła głową, lecz po chwili coś sobie przypomniała, wyciągnęła z torby notatnik, a z niego kartkę papieru i podała mi ją. Była to kserokopia listy uczestników kursu.

Rozpoznałem drobne, regularne pismo Sirje Larsson.

Zapisała dokładnie swój adres oraz oba numery telefonów, stacjonarnego i komórki. Pismo Esko Turunena pochylało się do tyłu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy to oznaka dążenia do oryginalności, czy raczej choroby psychicznej. W miejsce adresu zapisał tylko ulicę Lapońską [Lapinlahdenkatu, ulica w centrum Helsinek.], jego numer wstukałem od razu do swojej komórki.

Podziękowałem kobiecie za pomoc, pobiegłem truchtem na Hakaniemi po samochód. Moja koperta postojowa w podwórzcu była bardzo ciasna i furgonetka właściciela hurtowni rybnej niemal przytarła moje volvo, więc musiałem najpierw odsunąć na bok pojemniki ze śmieciami, a potem precyzyjnie się do kierownicy od strony pasażera.

W informacji telefonicznej znalazły się i numer Esko Turunena, i jego dokładny adres: Lapońską 12. Pojechałem w stronę centrum, skręciłem obok dworca kolejowego i po kilku zakrętach dojechałem do celu. Kamienica z wejściem numer 12 stała tuż przy szpitalu św. Marii. Pamiętałem ten stary budynek. Podwiozłem tam raz pewnego dziadka, repatrianta z Ingrii. Gdy przetłumaczyłem mu fińsko-rosyjski napis na historycznej tablicy - „Pierwsza pomoc dla rannych i chorych żołnierzy” - nie mogłem od niej oczu oderwać.

Wcisnąłem przycisk przy nazwisku. TURUNEN E. na domofonie miał za tło skrawek czerwonej folii. Elektromagnes w zamku milczał. Obejrzałem okna, lecz nie zdołałem stwierdzić, do których mieszkań należą. Wyjąłem z bagażnika torbę, postanowiłem poczekać na okazję. Kręciłem się po ulicy może dziesięć minut, gdy z bramy wyszła dziewczyna z dwoma sterczącymi po bokach głowy kitkami. Ale fart, pomyślałem, a głośno wyjaśniłem, jak to świetnie, że otworzyła drzwi, właśnie idę do znajomego. Dziewczyna odpowiedziała coś słabo i bezdźwięcznie, z czego wywnioskowałem, że mało ją obchodzi wpychający się do jej klatki schodowej obcy faceci.

Turunen mieszkał na drugim piętrze, okna mieszkania wychodziły na podwórze. Klatka schodowa była czysta, sucha i ciepła. Wyjąłem z torby stetoskop i przystawiłem słuchawkę do drzwi. W środku grała muzyka; latynoskie rytmy i głos piosenkarki brzmiały znajomo, ale nie potrafiłem ich nazwać. Patrzyłem na schody, ale mogłem podsłuchiwać w spokoju, nikt nie zamierzał mnie nakryć na zabawie w doktora. Dwukrotnie usłyszałem w pomieszczeniu stuk, odgłosy przemieszczania się i przesuwania jakiegoś przedmiotu. Esko Turunen był w domu. Włożyłem stetoskop do torby i energicznie zadzwoniłem do drzwi. Odczekałem i zadzwoniłem ponownie. Drzwi ani drgnęły. Wyciągnąłem ponownie atrybut lekarza domowego; w mieszkaniu było teraz cicho jak we młynie przy marzielcu. Dzwoniłem i stukałem do drzwi, ale Turunen nie otwierał.

Zamyśliłem się. Znajomy Sirje z kursu stanowił jedyny słaby trop, który miałem szansę obwąchać. Nagroda dla znalazcy czekała na zgarnięcie, ale anemiczne odgłosy w mieszkaniu Turunena wskazywały raczej na to, że zguby się tam nie znajdzie. Przywołałem windę, jeszcze starego typu, i hałaśliwie odsunąłem kratę. Zjechałem na dół i trzasnąłem drzwiami od klatki, ale zostałem w środku, zszedłem po schodach do piwnicy i przez tylne drzwi wyostałem się na dziedziniec.

Kamienica była stara, mieszkania nie miały balkonów. U Turunena panowały ciemności, ale prawie się roześmiałem, gdy po paru minutach w mieszkaniu zapaliło się światło. Kochany Esko, jeszcze się spotkamy, obiecałem bardziej sobie niż jemu.

" Rozmawiałem z moim tallińskim kontaktem tylko przez telefon. Podał mi znaki rozpoznawcze - czarna skóra i szara toyota camry - i sądził, że to wystarczy. Borys Kowaliow miał rację. Równie dobrze mógłby trzymać kartkę z napisem: ŻOŁNIERZ ROSYJSKIEJ MAFII. Gość był niższy ode mnie i solidnie zbudowany, a mimo to krótka skóra na nim wisiała. Kowaliow stał oparty

o błotnik samochodu i palił papierosa, był bez czapki i rękawiczek, choć w porcie hulał zimny wiatr. Podał mi dłoń i wystrzelił niedopałek daleko na asfalt. Sadowiąc się na fotelu pasażera, spostrzegłem, że na tylnej kanapie siedzi rozparty drugi gość.

- Kola pracuje u nas, jest trochę zmęczony, podrzucimy go po drodze na chatę - wyjaśnił Kowaliow i ruszyliśmy. Spojrzałem na naszego pasażera. Kola przewijał wideo w swoim wewnętrznym świetle. Kowaliow oderwał jedną rękę od kierownicy, sięgnął do schowka i wręczył mi wyciągnięty z niego pistolet. Samochód był rozlazły i poobijany, choć niezbyt stary. Śmierdział papierosami i wunderbaumem, przy hamowaniu trząsał i znosił na lewo, a amortyzatory dobijały na każdym kanale.

Znów się obejrzałem. Oczy Koli biegały pod powiekami, za nami nie było żadnych aut. Lewą ręką pociągnąłem za hamulec ręczny, a prawą przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Toyota poklekotała jeszcze kawałek i stanęła pośrodku drogi.

- To mi się nie podoba, i to bardzo nie podoba - powiedziałem ostro i ścisnąłem ręką twarz Kowaliowa. Wargi mu się wyduły jak u dziecka, które chce dać buzi. Przekręciłem jego głowę do siebie i pochyliłem się nad nim.

- Dałeś dupy, Kowaliow. Prosiłem cię o zorganizowanie przyzwoitego wozu, nie jakiejś limuzyny, tylko auta, które wytrzyma dwadzieścia kilometrów spokojnej jazdy po mieście. Powiedziałem ci wyraźnie i po rosyjsku, że zamierzam odwiedzić dwie osoby i zaraz potem wracam do Helsinek.

Ścisnąłem mu twarz jeszcze mocniej. Kowaliow nawet nie pisnął, nie szarpał się i nie próbował wyrwać.

- A co ja tu zastaję? Bandytę trzeciej kategorii, który zaraz na parkingu wciska mi w łapę jakiś pieprzony gnat, jego wóz przypomina traktor z turkmeńskiego sowchozu, a na tylnym siedzeniu śpi jakiś młodociany sportowiec, bo troszkę przesadził z dopingiem. Dostawa nie do końca zgodna z zamówieniem.

Puściłem jego twarz. Kowaliow rozmasował policzki i zaczął się tłumaczyć, pomagając sobie rękoma i tułowiem.

- Jasne, wszystko jasne... Ryżkow powiedział tylko, że Witji trzeba pomóc, Witja to dobry chłopak. A ja tak sobie pomyślałem, że broń to się zawsze przyda. Zupełnie czysta sztuka - zapewnił mnie. - Kolja rano był jeszcze zupełnie w porządku. Nie mam pojęcia, kiedy zdążył się zaprawić. Przyznaję, nie jest teraz w najlepszej formie, a ta toyota to zupełnie...

- Borys, gównu mnie obchodzą biorytmy Koli i książka serwisowa twojej toyoty - przerwałem mu. - Wskoczę sobie teraz na kwadrans, a ty w tym czasie wyprawisz ten złom razem z pilotem na księżyc, zorganizujesz porządniejsze auto i wrócisz. Masz piętnaście minut, a i z tego za chwilę już połowa minie. Do roboty.

Trzasnąłem drzwiami. Kowaliow odpalił silnik i odjechał. Po jego toyocie w powietrzu pozostała niebieskawa chmura dymu i smród palonego oleju.

Stwierdziłem, że jednak nie za dobrze się orientuję w tallińskich interesach Ryżkova.

Wiedziałem, że przerzuca do Finlandii pirackie kompaktki z Estonii, ale ci goście raczej na pewno umoczyli palce w handlu narkotykami, w najlepszym razie jako klienci. Im lepiej poznawałem różne oblicza koncernu Ryżkova, tym większy ogarniał mnie niepokój.

Przyszło mi czekać na Kowaliowa dwadzieścia minut, wrócił volkswagenem transporterem.

- Szkoda, że tira nie wzięłeś - nadal trzymałem go krótko, ale nie opieprzyłem za spóźnienie.

Kolja najwyraźniej dalej spał w toyocie albo został odstawiony na kwaterę. Mikrobus był stosunkowo czysty, pachniał rześko jak świeża wc-kaczka. Za nami siedział gość o środkowoazjatyckim wyglądem i wpatrywał się we mnie bez słowa z taką miną, jakby mu było zupełnie obojętne, z kim i dokąd jedzie. Usadowił się na środku kanapy z ramionami szeroko rozłożonymi na oparciach.

- Karim to też jeden z naszych, przyjechał z Duszanbe w ubiegłym tygodniu - zaprotegował Kowaliow. Kiwnąłem mu głową, Karim w odpowiedzi mrugnął powiekami.

- Potrzebny jest mi tylko transport - zwróciłem się do Kowaliowa.

- Ryżkow powiedział, że dla Viktora ma być ful serwis. No, ta toyota była trochę nie tego, a u Kolji też nie wszystko się układa. Ale damy radę - Kowaliow zapewnił mnie pokornie.

Ruszyliśmy.

Jasny dom jednorodzinny na tallińskim Lillemae wyglądał bardzo schludnie, ale nie zapadał w pamięć bardziej niż siedem sąsiednich identycznych budynków w okolicy. Kowaliow zaparkował przy krawężniku i niespokojnie spoglądał w lusterka. Lepiej się czuł w ciemnych uliczkach na Kopii albo na Mustamae niż tu, na osiedlach estońskich.

Kazałem mu zostać w aucie i nastawić radio na estońską stację. Karimowi nie powiedziałem nic. Trzasnąłem drzwiami. Chwilę później poznałem rodziców Sirje i Jaaka Lillepuu.

- Syn fińskich komunistów czy jakie лихо? - zagrmiał Paul Lillepuu, nim zdążyłem postawić kropkę w mojej autoprezentacji. Był to mały stary piernik w nieokreślonym wieku. Jego żona siedziała spokojnie na krześle, on zaś wyprężył przede mną swoje całe sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Przez myśl przebiegł mi obraz: moi rodzice, ależ byłiby dziś starą parą, gdyby ojciec jeszcze żył.

- Ze strony ojca ingryjski Fin, a matka była jeszcze dzieckiem, kiedy z rodzicami wyjechała z Finlandii - wyjaśniłem. Dla pewności dodałem: - Byli komunistami.

- Wszystko ma swój czas, ale nigdy nie darzyłem czerwonych wielkim uczuciem. - Paul Lillepuu dobrze mówił po fińsku, natomiast Aino Lillepuu prawie się nie odzywała. Z kilku wypowiedzianych przez nią zdań wywnioskowałem, że i ona doskonale zna ten język, choć mówiła z wyraźną nieśmiałością. - Aarne pana wynajął, żeby pan znalazł Sirje. To dobrze. Nasz syn to zły syn. Zadzwoń do niego, że jego siostra zaginęła, a on mi na to: mam to gdzieś. No to mu powiedziałem, że może do nas nie dzwonić przez najbliższych parę lat.

Niech go diabli

porwą, chuligana jednego. - Głos Paula Lillepuu drżał z oburzenia. Aino Lillepuu otarła oczy. Staralem się pytać o sprawy, które pozwoliłyby im wybrnąć z tego z godnością. Pokazali mi więc rzeczy Sirje z czasów, gdy mieszkała jeszcze w Tallinie. Dwa kartony skarbów radzieckiej uczennicy: kasety z zachodnim rockiem, pamiętniki sprzed piętnastu lat, rozmazane fotografie młodzieży, która starała się ubierać modnie.

Przed oczy zaczęły mi napływać obrazy z Sortavali. Przypomniałem sobie moje skarby, które dostawałem od fińskich turystów: plastikową torbę z napisem Dom Handlowy Carlson Kuopio, długopisy reklamowe i czapkę narciarską z wiewióreczką i nazwą banku. I oburzenie matki - że stałem się żebrakiem, spekulantem i cinkciarzem.

Trzeba zadzwonić do matki, przykazałem sobie w duchu.

Siłą woli sprowadziłem się z powrotem do Tallina. Aino Lillepuu ścisnęła czule w dłoniach zdjęcie Sirje. Mówiła po fińsku wolno, szukała słów, powtarzała się.

- Nie możemy pojąć, co się stało. Sirje to porządna dziewczyna, było jej dobrze z Aarnem. Aarne to dobry człowiek, choć jest od niej starszy i czasem taki... twardy. Nie wierzę, żeby Sirje uciekła od niego dla jakiejś przygody. A Jaak nas zapewnia, że Sirje nie miała nic wspólnego z jego interesami; nikt nie miał powodu, aby zrobić jej krzywdę. Będziemy wdzięczni za wszelką pomoc.

Zabrałem z lady duże piwo i kawałek pizzy. Podróż katamaranem do Helsinek trwała półtorej godziny, czyli dwa niespieszne kufle. Ledwo zdążyłem otworzyć kryminał, który specjalnie wziąłem na tę okazję, gdy jakaś ciężka dłoń przycisnęła książkę do blatu. „Pójdziemy zapalić”,

usłyszałem głos z wysokości. Ręka się przesunęła i złapała mnie za nadgarstek. Chwył był mocny, a dłoń duża. Żyłki wyglądały jak kable. Postanowiłem nie wspominać o tym, że nie palę, tylko posłusznie wstałem i ruszyliśmy w stronę rufy.

Po małym tarasie dla palaczy hulał zimny wiatr. Czekają tam już na nas dwóch eleganckich, rosnących trzydziestolatków, jeden w szarej marynarce, drugi w zamszowej kurtce. Nie wyglądali na zziębniętych.

Układałem właśnie w głowie deklarację pełnej współpracy, gdy zamszowy boleśnie wykręcił mi ramię. Wielkoręki przyszedł mu w sukurs i razem przechylili mnie przez barierkę, moim zdaniem zdecydowanie za nisko, bo czułem teraz reling na udach powyżej kolan. Patrzyłem prosto w szaroniebieską kipieli i mogłem jedynie nasiąkać morskim aerozolem i skupić się na strachu.

- Obracasz się w niewłaściwych miejscach, pytasz

o niewłaściwe sprawy, komplikujesz niewłaściwe interesy - usłyszałem nad chmurą wody spokojny głos. Akcent zdradzał Estończyka, choć mężczyzna bez trudu dobierał słowa po fińsku.

- Zaginęła kobieta. I co z tego? To sprawa jej rodziny.

i Aarnego Larssona. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Ani moja matka i ojciec. Zostaw ich, niech w spokoju przeżywają żalobę. - Mężczyzna akompaniował sobie twardym przedmiotem, który wciskał mi w okolice odbytu. Nie mogłem mówić, wisząc głową w dół z pistoletem w tyłku.

- Rozumiesz w ogóle, co do ciebie mówię? - Warknął Jaak Lillepuu, żgając mnie boleśnie pistoletem. - Jeśli nie, to pozbawię cię hemoroidów raz na zawsze. I większej części dupy, tak przy okazji. Aż boję się pomyśleć, gdzie jeszcze ta kula mogłaby dotrzeć. Zrozumiałeś? Mruknąłem potakująco i pokiwałem głową. Wyobraziłem sobie tor pocisku i poczułem podnoszącą się mosznę, ból w prostacie i bliskie skurczu mięśnie brzucha. Mężczyźni zrzucili mnie na pokład, usłyszałem stuk wypadającej komórki, którą jeden z fagasów Lillepuu cisnął szerokim łukiem za burtę. Nie zaprotestowałem. Nokia. Connecting fish, przyszło mi do głowy, ale wołałem nie żartować na głos.

Jaak Lillepuu schował pistolet do kieszeni. „Przestań nachodzić starych ludzi”, powiedział i upewnił się jeszcze, że go zrozumiałem, zaglądając mi w oczy z krótkiego dystansu. Miał piękną twarz, bardziej po matce niż po ojcu; nietrudno było dostrzec, że to brat Sirje.

Powoli zapalił papierosa, zgniótł puste pudełko, rzucił za trzy punkty i zaciągnął się głęboko. Żołnierze Lillepuu wypuścili mnie z uścisku i stali bez słowa.

Śledziliśmy przebieg palenia. Wreszcie Lillepuu cisnął niedopałek przez poręcz i odwrócił się do mnie. „Czyli wszystko jasne”, zakomunikował bez znaku zapytania i wrócił do środka.

Jego żołnierze ruszyli za nim. Zostałem sam na tarasie.

Serce ze strachu nie biło mi jeszcze normalnie, ale podskoczyłem do śmietnika i wyciągnąłem zgnieciony przez Lillepuu kartonik po marlboro. Jednak dobrze widziałem: Selected Fine Tobacos. Przez jedno „c”.

" Ogrodzony metalową siatką parking autokomisu Ruuskanena w zakolu Trzeciej Ramy był zabłocony i dziurawy. Pokuśtałem się trochę w moim volvo, nim wreszcie zaparkowałem przy pawiloniku biura. Na parkingu stało może pięćdziesiąt aut. Najbardziej interesujące mercedesy i beemki Ruuskanen wystawił z przodu od strony Ramy, kolejne rzędy zajmowały wypłowiałe i pordzewiałe renówki, nissany i toyoty.

Trafiłem akurat na akcję zbijania ceny czerwonego kadeta. Młody człowiek o nastroszonych włosach zapalił się do kupna czarnej sportowej mazdy. Ruuskanen chodził wkoło opla, który młodzieniec chciał zostawić na wymianę, i z miną troskliwego ojca oglądał lakier, wyposażenie i opony. Znałem tę sztukę i wiedziałem, że Ruuskanen chwali właśnie dobry stan auta i niby na głos myśli, ile może być warte. „Całkiem zdrowy jak na swój wiek, coś trzeba będzie za niego dać, nie ma siły”.

Niemal wybuchnąłem śmiechem, gdy współwłaściciel komisji Taivassalo wyszedł z biura z pękiem kluczy na palcu, mając niby do załatwienia zupełnie coś innego, ale zatrzymał się przy opalu. Opadł na kolana i obmacał próg, otworzył bagażnik i wyciągnął dywanik, cały czas mruczając pod nosem „ajjajaj, jedna rdza, jedna rdza”. Potem usiadł za kierownicą, zapuścił silnik i przygazował tak,

że z rury poleciał czarny dym. Zaczął ruszać ze zgrzytem na przemian to metr w przód, to metr w tył, w końcu zgasił silnik.

Podszedłem bliżej i usłyszałem orzeczenie sędziego Taivassalo.

- Co najmniej pierścienie do wymiany, sprzęgło się ślizga, synchronizator jedynki już też szwankuje. Rdza go zżera, progi się sypią, nadkola w kufrze też nieźle dostały.

Ruuskanen postawił kropkę nad i:

- No to przywieź mi jeszcze te letnie opony, to dam ci za niego sześć klocków.

Chłopak tylko kiwał głową i zgodził się na cenę, choć wcześniej przeglądał internet i był przekonany, że dostanie za swojego opła jeszcze piętnaście tysięcy.

Wszedłem za nimi do pawiloniku, usiadłem na ławie i zacząłem wertować zeszcmacone czasopisma. Ruuskanen wziął dowód rejestracyjny opła, spisał personalia właściciela i obiecał przygotować papiery. Chłopak miał w tym czasie przywieźć pieniądze i letnie opony.

- Co się tak, Karppa, zastanawiasz? - uśmiechnął się Ruuskanen dobrodusznie. Był to trochę nalany, elegancki mężczyzna po czterdziestce. Jego pulchną twarz okalały gęste, kręcone włosy, które wyglądały jak peruka.

- Za ile wystawisz tego kadeta? - zapytałem wprost.

- No, siedemnaście, osiemnaście najmniej i za dwanaście pójdzie. Trochę się go wyprowadzi, zrobi aktualny przegląd i napisze, że drugi samochód rodziny o małym przebiegu, po kobiecie. Śmierdzi papierosami, ale w końcu te dzisiejsze kobiety też nieźle kopcą. Poprosiłem, żeby mi oszczędził szczegółów i pożyczył na jeden dzień jakiś w miarę przyzwoity, nierzucający się w oczy wóz. Ruuskanen bez słowa wyciągnął z szuflady kluczyki i rzucił mi przez stół. - Mamy w naszej sekcie wspólnotę majątkową. Czerwone mondeo. Tylko gdzieś nie walnij.

Zawieszona na lusterku wstecznym reklama głosiła: „Kompletna książka serwisowa!”. Miałem nadzieję, że wóz wytrzyma te trzydzieści kilometrów, na które go potrzebowałem, ale ważniejsza była świadomość, że Aarne Larsson nie skojarzy tego forda ze mną. Pojechałem na Stenbacka i zaparkowałem kilkanaście metrów od antykwariatu Larssona. Radio Suomi nadawało stare kawałki taneczne. Z braku lepszego zajęcia karbowałem sobie w pamięci: Dallape to orkiestra, która gra już od kilkudziesięciu lat, Viii Vesterinen to akordeonista, Jori Malmsten dużo komponował. Niektóre melodie brzmiały znajomo. Słuchałem audycji Radia Suomi jeszcze na długich falach w domu, w Karelii. W Leningradzie koledzy z akademika wybierali zazwyczaj programy bardziej niebezpieczne, mające posmak zakazanego owocu, jak europejskie stacje z muzyką rockową, ale w Sortavali grało mi zawsze Radio Suomi.

Larsson nie miał zbyt wielu klientów, ale ci, którzy się zjawiali, nigdy nie wychodzili z pustymi rękami. Może ten sklep dawał mu jednak jakiś dochód, ale bardziej interesowało mnie to, co wyniosłem z podróży do Tallina. Dlaczego Jaak Lillepuu miał papierosy Karpowa i dlaczego mówił o siostrze w czasie przeszłym? „Niech w spokoju przeżywają żalobę”, powiedział i dał mi do zrozumienia, że zaginięcie Sirje to sprawa jej męża.

Zacząłem wstukiwać numery z kalendarza do pamięci nowej komórki, którą dostałem od Ryżkowa. Niestety, dużo ważnych telefonów przepadło na zawsze w falach Bałtyku. Nagle zdałem sobie sprawę, że przecież i Sirje musiała mieć komórkę. Gdzie się podziała? W domu Larssona

nie znalazłem żadnego notesu z numerami telefonów, jedynie kalendarz z kilkoma wpisami. Zapisane w jej telefonie numery mogły naprowadzić mnie na jakiś trop. Zamknąłem forda i ruszyłem do antykwariatu Larssona.

- Sirje ma telefon i nosi go przy sobie. I oczywiście regularnie próbowałem się do niej dodzwonić, nagrywałem się na jej sekretarkę, ale na próżno - Larsson wytłumaczył mi jak dziecku.

Stał za biurkiem w niebieskiej kurtce z zamszowymi wstawkami. Szkoda, że dopiero teraz pomyślałem o tej komórce.

- Zdaje się, że pan oczekuje, iż ta sprawa sama się rozwiąże. Albo sugeruje pan, że w jakiś sposób panu przeszkadzam. A ja naprawdę sądziłem, że pan coś potrafi - Larsson doginał zauszniki swoich okularów. Był zły i najwyraźniej zaczynał się nakręcać. - Myślałem, że ma pan w sobie fiński hart ducha, fińską nieugiętość, ale pan jest sflaczały jak zwyczajny Rusek. Zdażyli jednak pana zepsuć. - Ton jego głosu stał się jeszcze ostrzejszy. - Do diabła,

oczekuję, że pan się dowie, gdzie przebywa Sirje lub co się z nią stało. I ja chcę to wiedzieć, choćby prawda była mi bardzo niemiła.

Zapewniłem go możliwie spokojnie, że zrobię wszystko, aby rozwiązać tę sprawę. Wróciłem do samochodu, usiadłem za kierownicą, zamknąłem drzwi i westchnąłem głęboko. Larsson i jego sklep przyprowadzili mnie o zimne dreszcze.

Numer Igora Perwuchina spoczął wraz z moją komórką na dnie Zatoki Fińskiej, ale w informacji podali mi namiary na kolegę z Petersburga. Igor wkręcił się do pracy do Sonery [Fińska firma telekomunikacyjna, operator sieci komórkowej.], z czego rozumiałem tylko tyle, że musi być

w swoim fachu prawdziwym geniuszem. W Leningradzie znałem go tylko jako utalentowanego didżeja w młodzieżowej knajpie. Nosił długie i cienkie czarne pióra oraz przyciemniane okulary i puszczał drogie płyty zachodnich grup rockowych, wtrącając od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe teksty. Ostatnio widziałem go na jesieni i przynajmniej wtedy był jeszcze wierny modzie młodzieżowej.

Powiedział, że ciągle pracuje w Sonerze. „Wiesz, rozwiązania sieciowe, te sprawy...” - zaczął, ale przerwałem, póki jeszcze rozumiałem.

- Słuchaj, brachu, mógłbyś mi pomóc? Interesuje mnie komórka kobiety o nazwisku Sirje Larsson. Numer będzie zarejestrowany na nią lub na nazwisko Aarne Larsson, ewentualnie na antykwariat naukowy z ulicy Stenbacka w Helsinkach - poprosiłem po rosyjsku. Dla pewności podałem mu raz jeszcze wszystkie dane, łącznie z adresami. Perwuchin powiedział, żebym za wiele się nie spodziewał, ale obiecał, że zobaczy, co się da zrobić, i do mnie oddzwoni.

' Ryżkow wszedł do biura i poprosił, abym z nim poszedł.

- To drobiazg, potrzebuję pomagiera. Próbowałem zapytać, ale machnął tylko ręką, żebym się spieszył.

- Giennadij, wiesz, że nie chcę mieć nic wspólnego z narkotykami. Ta twoja ekipa w Tallinie nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia - odważyłem się wtrącić.

- Tu chodzi o zupełnie inną sprawę - pokręcił głową i już szedł do swojego mercedesa. Zamknąłem biuro i usiadłem obok niego. Samochód był czysty i ciepły, na lusterku wisiał złoty krzyżyk.

- Umiąłbyś jeszcze obliczyć przyspieszenie i opóźnienie ruchu z kąta nachylenia tego krzyżyka? - zapytałem, gdy Ryżkow ruszył ostro spod świateł, ale nie odpowiedział. Wjechaliśmy na czwórkę [Lahdenvayla.]. Na wysokości Pihlajamaki [Część helsińskiej dzielnicy Malmi.] Ryżkow zjechał z autostrady i skierował się w stronę cmentarza, a potem wzdłuż torów i lotniska na Puistolę. [Graniczna dzielnica Helsinek na północnym wschodzie.]

- Gdzie jedziemy? - Nie mogłem powstrzymać ciekawości.

- Do jednego gościa, jest mi winien pieniądze. Pogadasz z nim, to Fin - wyjaśnił, przekładając kierownicę z ręki do ręki na ciasnych zakrętach. Wąskie uliczki tworzyły regularne kwadraty, a okolica była nudna i płaska jak prześwietlająca przez pas olszyny wielohektarowa przestrzeń lotniska. Zabudowa za to była bardzo różnorodna, z nowymi i wyremontowanymi, drogimi domami sąsiadowały chylące się do ziemi rudery. - Mieszka tutaj. - Ryżkow pokazał głową stary, żółty dom z drewna. Minęliśmy go i stanęliśmy kawalek dalej. Wysiedliśmy. Ryżkow machnął pilotem na drzwi samochodu, migacze potwierdziły wykonanie rozkazu.

Weszliśmy na podwórze. Śniegu nikt nie odgarniał przez całą zimę. Z drogi do wejścia biegła wydeptana ścieżka, która w zależności od pory dnia to tajała, to znów zamieniała się w lód. Ryżkow ruszył pierwszy. Drzwi domu można było otworzyć tylko do połowy, bo grzęzły w grubej warstwie lodu na podeście u wejścia. Z szarej, małej sieni przeszliśmy do kuchni. W chacie, bo to nie był jednak dom, śmierdziało starymi, zapleśniałymi ścianami i dymem tytoniowym.

Przy stole na krześle siedziała kobieta w czarnym swetrze na ramionach i paliła skręta, strzepując popiół do słoika po estońskich ogórkach. W brązowej wodzie pływały połówki pety.

- Timo gdzie? - Ryżkow zapytał wolno po fmsku.

- Dopiero co wyszedł, pewnie zobaczył, żeście przyjechali - odparła kobieta i obróciła głowę w naszą stronę. Twarz miała chudą, cerę bladożółtą. W prześwitującym pomiędzy czarnymi, rozpuszczonymi włosami uchu dostrzegłem rządki małych kólek, w nosie też miała kolczyk.

- Ja nic nie wiem o jego interesach, tam uciekł - kobieta skinęła w stronę pokoju. Zajrzałem do środka: okno było otwarte, a w kłębie zmiętej pościeli widniały odciski śladów po pospiesznym skoku. Na ścianie wisiała stara fotografia, dziadkowie z niemym wyrzutem patrzyli na wybryki swoich potomków.

Wszedłem na parapet, od miękkiego śniegu dzielił mnie najwyżej metr. Skoczyłem, do rękawa przyczepiła mi się ozdoba choinkowa, wycięta nieporadnie z czerwonego papieru postać tańczącego krasnala. Nie miałem pojęcia, czy był w oknie od minionej Gwiazdki, czy może od lat osiemdziesiątych. Delikatnie oderwałem go od materiału, nie chcąc ludzika podrzeć, i wrzuciłem z powrotem do środka.

Ruszyłem po śladach. Timo brnął przez śnieg w stronę ogrodzenia lotniska, za jego działką rozciągała się porośnięta zaroślami grzęda, a między nią a stalową siatką biegła trasa narciarska. Obok mnie prześmignął łyżwą gość w kolorowym stroju. Spojrzałem w lewo, w prawo, i jeszcze raz w lewo. W odległości stu metrów dostrzegłem mężczyznę, który biegł w niewłaściwą stronę, więc nie mógł być sportowcem.

Pobiegnęłam wzdłuż trasy, wołając na mężczyznę, aby się zatrzymał. On jednak tylko przyspieszył. Dogoniłem go i w galopie natarłem na niego ciałem jak piłkarz ligi angielskiej. Upadł w zaspę. Oczekałem, aż wstanie i zgarnie z twarzy śnieg. Dyszał. Podeszedłem bliżej i na wszelki wypadek chwyciłem go za rękaw panterki. Timo był wyższy ode mnie, lecz z jego spojrzenia wyczytałem, że widzi to inaczej.

Nisko nad nami przeleciał śmigłowiec, podchodził do lądowania. Pojawił się niespodziewanie i hałas zawibrował w trzewiach. Przed oczami zobaczyłem nagle obrazy z armii - jak na filmie, z dźwiękiem i w kolorze.

Przypomniałem sobie, jak ćwiczyliśmy desant z helikoptera na bagnach, z pełnym wyposażeniem zwiadowczym, i jak mój kolega z sali Susłow popłakał się ze zmęczenia. Bał się, że wyślą go do Afganistanu, i bał się, że nie przejdzie szkolenia, że nie da sobie rady w naszej ekipie.

I przypomniałem sobie, jak Susłow chwycił mnie za ramię i prosił, żebym mu pomógł, żebym go zrozumiał, a ja potrafiłem mu jedynie odpowiedzieć obojętnie, że nie mogę, nie jestem w stanie, nie mam siły. Niedługo potem Jewgienij wrócił do mamy, podobno wysiadła mu psychika. Krążyły pogłoski, że przyłapali go na stosunku homoseksualnym i powinien się cieszyć, że nie wylądował w szpitalu albo w więzieniu.

Wszystko to zobaczyłem w jednym błysku. Śmigłowiec wzbijał już tumany kurzu na dalekim pasie startowym po drugiej stronie lotniska. Ryżkow, w półbutach, ostrożnie szedł przez śnieg, ale gdy zrównał się ze mną, wszedł w zaspę, wywłócił Tima z powrotem na tor i przeprowadził go kawałek na mały plac, gdzie latem biegacze na drewnianych przyrządach mogli ćwiczyć brzuch i grzbiet oraz podnosić drewnianą kłodę.

Przyparł Tima do drewnianego atlasu. - Powiedz temu skurwielowi, że daję mu tydzień na spłatę długu - wysapał po rosyjsku, cały czas patrząc Finowi w oczy.

- On mówi, że jesteś skurwiel i że masz tydzień na spłatę długu - powtórzyłem rzeczowo jak oficjalny tłumacz. Timo kiwał głową, cicho pojękując. Nie zdołałem wyłapać ani jednego słowa.

Ryżkow jedną ręką uniósł drewnianą kłodę, a drugą przycisnął dłoń Tima do wycinka opony, który miał wygłuszać hałas spadającego ciężaru. Obok bieżnika zachował się jeszcze kawałek bocznej powierzchni z fragmentem nazwy producenta: dwie białe litery UN.

Dunlop, zdążyłem pomyśleć, albo Uniroyal, i niemal krzyknąłem, gdy Ryżkow upuścił kłodę na rękę Fina.

Timo tylko syknął, nie wrzasnął, nie wybuchnął płaczem, przestępował jedynie szybko z nogi na nogę, jak marznący pies.

- Cholera, było chłopaka ostrzec - wzdrygnąłem się. - Teraz Timo ma bóla - zacytowałem puentę znanego telewizyjnego skeczu, ale Ryżkow raczej nie zrozumiał, a i Finowi nie było akurat do śmiechu. Ryżkow skierował się z powrotem w stronę domku. Ruszyłem za nim, ale po chwili zawróciłem jeszcze i uniosłem kłodę. Timo pomacał oswobodzoną dłoń i zaczął ostrożnie poruszać palcami, po czym wsadził rękę głęboko w śnieg. Pobiegłem za Ryżkowem.

Wróciliśmy po własnych śladach, ale nie weszliśmy do środka przez okno, tylko obeszliliśmy dom, balansując pod ścianami na śniegu zlodowaciałym od kapiącej z dachu wody.

Wydeptaną ścieżką wróciliśmy do drzwi, potem przez podwórze na drogę i do samochodu.

Ryżkow ruszył, wyciągnął marlboro i zapalił. Ręce mu nie drżały, ale na twarzy i w czarnych włosach perlił się pot.

- Witja, wiesz, że cię lubię - zaczął, jakby się szykował do dłuższej prezentacji. - Pracujesz dla mnie. Ale pracuje dla mnie także paru innych gości, których lubię. Borys z Tallina to jeden z nich. I zrobiło mi się bardzo przykro, kiedy się dowiedziałem, jak go potraktowałeś - powiedział, akcentując każde słowo. - Powiem ci szczerze, że wkurwiłem się jak rzadko. Jesteś moją rękawicą roboczą, kluczem, a w najlepszym razie jebaną wiertarką. A ja w swojej skrzynce narzędziowej noszę tylko dobre narzędzia.

Skinąłem na znak, że zrozumiałem.

wanascie

gdy w sklepie przy placu wylawiałem z beczki kwaszone ogórki, przed oczami stanęły mi zmiażdżone palce Tima. Wtedy też zadzwoniła moja komórka i musiałem wsadzić foliowy woreczek pod pachę, żeby móc odebrać.

Dzwonił Karpow z Sortavali.

- Viktor, usiądź i się nie denerwuj - zdenerwował mnie od razu tak, że nogi się pode mną ugięły. - Twoja matka jest w szpitalu. W bardzo złym stanie. Ale jest pod dobrą opieką i dojdzie do siebie.

Powiedział mi, że rano miała atak serca. Sąsiad zauważył, że leży przy furtce z pustą torbą zakupową pod pachą. Zabrali ją do szpitala. Gdy Karpow się o tym dowiedział, zakrzętnął się wokół sprawy i pozostałych pacjentów z jej pokoju przeniesiono gdzie indziej. Zapłacił też lekarzowi i upewnił się, że w szpitalu mają wszystkie potrzebne leki.

Nim się wyłączył, zdołałem wykrztusić podziękowanie i zamarłem przy ladzie mięsnej.

Byłem przekonany, że już to przerobiłem, kiedy wyjechałem do Finlandii, a matka zdecydowała się pozostać w Sortavali. W rzeczywistości sytuacja wyglądała inaczej i teraz czułem się jak na ringu wagi ciężkiej po haku w przeponę. Kiedy ochłonałem z pierwszego szoku, poczułem dziwne otępienie, ale i niepokój.

Zapłaciłem za zakupy i poszedłem do domu. Próbowałem zrobić sobie coś do jedzenia, ale myśli uciekały do Sortavali. Oczami wyobraźni widziałem pokój w szpitalu, przemykające długimi korytarzami piguły i matkę pomniejszoną przez szpitalne łóżko. Zacząłem się torturować myślami o pogrzebie. Kiedy wyobraziłem sobie wiosnę w Sortavali, nieśmiało zieleniące się drzewa i pierwsze kwiaty podbiału, których matka już może nie zobaczy, poczułem ucisk w piersi.

Ale na odległość mogłem się jedynie martwić. Zadzwoniłem do szpitala. Oddziałowa zapewniła mnie ponurym głosem, że stan mojej matki jest „normalny”, że jest bardzo

zmęczona i w tej chwili śpi. Więcej nie mogła lub nie chciała mi powiedzieć, a lekarz był właśnie „na bloku operacyjnym”.

Zadzwoiłem do Karpowa i przeprosiwszy, że znów przeszkadzam, powiedziałem mu, że jadę do Sortavali i że do rana powinienem być na miejscu. Obiecał się mną zaopiekować i zapewnił, że ktoś na pewno będzie cały czas czuwać w szpitalu. Przed oczami stanęli mi pracownicy Karpowa: sklonowane karki w skórzanych kurtkach, różniące się od siebie co najwyżej szczegółami tatuaży. Powiedziałem mu, że matka na pewno nie potrzebuje teraz pomarańczy ani czekolady, więc chłopcy mogą śmiało siedzieć w korytarzu. On za to mógłby przekazać matce wiadomość o moim przyjeździe. „Powiedz to jej, powiedz na głos, choćby spała”, poprosiłem go.

Karpow obiecał i przypomniał, że moja matka nieraz go karmiła i nieraz usypiała pod swoim dachem; sprawa zostanie załatwiona jak należy. Przypomniało mi się jeszcze coś, więc poprosiłem go o załatwienie dwóch wojskowych pontonów i futrzanych czapek. Sprzedawca z pchlego targu prosił mnie o te rzeczy, a ja nie miałem teraz czasu

ani głowy, żeby jechać do Wyborga. Poza tym radzieckie pontony szły jak ciepłe bułki i karelskie magazyny świeciły pustkami; trzeba je było sprowadzać z głębi Rosji. Karpow zapewnił, że przyśle mi towar, który jest już praktycznie niemal w połowie drogi.

Usiadłem, chciałem się uspokoić i przez chwilę pomyśleć. Postanowiłem posprzątać na biurku, musiałem też zorganizować sobie samochód na długą wyprawę i przespać się dwie godziny, żeby na noc wyruszyć. Najpierw jednak zadzwoniłem do Moskwy, do brata Aleksieja. Z początku słyszałem jedynie metaliczne trzaski pustej przestrzeni, ale po chwili głos brata zabrzmiał tak wyraźnie, jakbym dzwonił do Espoo. Zreferowałem mu krótko sytuację, mówiłem po fińsku, choć wiedziałem, że Aleksiej będzie miał problem z doborem słów.

Brat mieszkał w Moskwie już od dwudziestu lat, miał dobrą pozycję w prywatnej firmie naftowej, biurko z drewna orzechowego, leniwą sekretarkę i skorumpowanego szefa. Poza tym żonę i dorastającego syna, którego praktycznie nie znałem, oraz sporo krewniaków żony w okolicach Riazania i Kołomny, u ujścia Moskwy. Nasze stosunki nigdy nie były złe; po prostu nie mieliśmy ze sobą niemal nic wspólnego. Ale brat to syn rodzonej matki. Aleksiej był przerażony. Obiecał przyjechać do Sortavali możliwie najszybciej.

Wszedłem po schodach do mieszkania i spakowałem się do dwóch toreb. Zjadłem co nieco z lodówki i upewniłem się, czy mogę zostawić dom na kilka dni bez opieki.

Wróciłem do biura i sprawdziłem skrzynkę odbiorczą. Wysłałem do Ryzkowa wiadomość, w której opowiedziałem mu pokrótce o matce i wyjeździe. Zadzwoniłem do Larssona, ale nie podnosił słuchawki. Nagrałem mu wiadomość, że wyjeżdżam na krótko do Sortavali, ale nie zarzucam poszukiwań jego żony.

Uzgodniłem z Ruuskanenem, że podstawi mi pod biuro mercedesa zarejestrowanego na jego firmę i legalne papiery, bym na granicy nie musiał się tłumaczyć. Wróci do siebie pożyczonym mi wcześniej mondeo, który stał na ulicy.

Po chwili wahania odszukałem w internecie stronę Uniwersytetu Helsińskiego z adresami mailowymi. Cześć, Marjo - mam nadzieję, że jesteś tą właściwą Marją Takalą. Mówiąc krótko, często o Tobie myślałem. Miło byłoby się spotkać albo zdzwonić. Mam nadzieję, że się nie narzucam! Wyjeżdżam na dwa dni, ale bądźmy w kontakcie. Pozdrawiam, Karppa. Zmieniłem pożegnanie na „serdeczności” i szybko wysłałem wiadomość, abym nie zdążył tego pożałować.

Byłem dziwnie spokojny, jadąc byłą taksówką na północ. Kouvola, Lappeenranta, Imatra... Nocne światła miast szybko pozostawały w tyle. Drogi były puste i spokojne, tylko przejeżdżające tiry były po oczach ciężką kanonadą świateł. Byłem spokojny, bo jechałem do domu. Nie mogłem panikować ani się martwić, by nie wpływać niekorzystnie na samopoczucie matki.

Sirje Larsson, groźby Jaaka Lillepuu, mikrofilmy Arkadija, niepokojące interesy Ryżkowa i palce Tima pod drewnianą kłodą wydawały się teraz czymś bardzo odległym. Po prostu jechałem i słuchałem dobrego radia.

Zdażyłem bez przygód dojechać do Tohmajarvi, zjeść śniadanie i postać chwilę w kolejce przed granicą w Vartsili, gdy zadzwoniła komórka.

- Dostałem twojego maila - zagał ciepło Giennadij Ryżkow. - Bądź tam, jak długo będzie trzeba, ja się zatroszczę o sprawy w Helsinkach.

- Pytałeś o te papierosy, które ktoś podprowadził Karpowowi - ciągnął. - Możesz powiedzieć Walerijowi, że

moim zdaniem to Estończycy. Człowiek Jaaka Lillepuu chwalił się na mieście, że zrobił gulasz z jednego Ruska.

Powiedział mi jeszcze, że sam rozwiezie używki sprzedawcom przy autostradzie i że jeszcze przez parę tygodni uciągnie na tych samych dziewczynach, po czym zakończył rozmowę serdecznymi pozdrowieniami dla mojej matki. Byłem zdumiony. Ryżkow nie sprawiał wrażenia rozdrażnionego, mówił dużo i słowem nie wspomniał o udzielonej mi niedawno lekcji. Próbowałem coś z tego zrozumieć, wpatrując się w jednolicie szare niebo świtu.

Samochody przede mną ruszyły, w kolejce zrobiła się luka na dwa auta. Z zamyślenia wyrwał mnie klakson.

Otwarłem energicznie drzwi mercedesa i podszedłem do nerwowego nissana. Siedzący za kierownicą młody mężczyzna pod krawatem szybko zablokował drzwi. Zastukałem w szybę, opuścił ją o kilka centymetrów. Zagadnąłem go najpierw po rosyjsku, a potem powiedziałem łamaną fińszczyzną: „Słuchaj no, masz jakiś problem?”. Przerażony młodzian zaczął się gęsto tłumaczyć, że nacisnął klakson przypadkiem, ale nie chciało mi się go słuchać. Wróciłem do samochodu i ruszyłem w stronę granicy.

B Fiński urząd celny nie przejmował się zbyt podrażnionymi do Rosji. Na granicy po fińskiej stronie Karelii kręciła się zwykła liczba zaspanych, ale nadrabiających miną poborowych z dyndającymi pistoletami maszynowymi, celników w niebieskich i pograniczników w zielonych mundurach oraz przykurzonych urzędników. Wszyscy dbali o to, żeby od czasu do czasu tworzyły się porządne kolejki, chowali się w swoich budkach, gdzie kręcili się bez celu, po czym wracali i przybijali niewyraźne stemple na oświadczeniach celnych i innych bumagach, których nikt nigdy nie będzie szukać w żadnych archiwach. Trzymałem głowę na kłodkę, nie zgrywałem swojej ani twarzi i po dwudziestu minutach byłem już po drugiej stronie. Nawet się nie uśmiechnąłem, choć przypomniało mi się powiedzenie Karpowa: „Udupiony jest ten, kogo pogranicznik prosi ze sobą, zakładając gumową rękawiczkę”.

W Ruskeali zjechałem z drogi na Sortavale do starej wsi kościelnej. Pamiętałem wskazówki, trafiłem bez problemu. Dom leżał po cieplej stronie zbocza, tu i ówdzie w czystym śniegu widniały plamy gołej ziemi. Zbudowany był częściowo z bali, a częściowo z desek i cegieł, choć należałoby raczej powiedzieć, że ciągle był w budowie. Niemalowane poszycie ścian zdażyło już poszarzeć,

dach sieni okryty był brezentem, a na podwórzu leżały bez ładu i składu betonowe kłocce, stosy drewnianych belek, tarcic i blachy dachowej.

Mimo to właściciele nie zostaliby upomniani przez komisję porządkową, choćby taka istniała. Dom bowiem wtapiał się doskonale w jednolite tło, w stylowy postsocrealizm, którego cechą rozpoznawczą była prowizorka.

Zapukałem i wszedłem do kuchni. Zza stołu wstał pięćdziesięcioletni Rosjanin, podaliśmy sobie dłonie, zaproponował herbatę. Odmówiłem grzecznie, tłumacząc się brakiem czasu; chciałem jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Mężczyzna nie nalegał, wyciągnął spod zlewu oklejony taśmą kartonik i podał mi go. Otworzyły się drzwi izby i do środka weszła jedną nogą młoda kobieta w skórzanych spodniach. Zdażyłem dostrzec siedzące na podłodze

przed telewizorem dziecko. Na stole stał komputer, po ekranie pływały geometryczne wzory wygaszacza. Kobieta się odwróciła i zamknęła za sobą drzwi.

Wyszedłem na dwór, wsiadłem do mercedesa i otworzyłem kartonik. W środku był paszport, który potwierdzał, że nazywam się Siemionow, Igor Siergiejewicz, jestem obywatelem rosyjskim i urodziłem się 4 lutego 1963 roku w Wołogdzie. W kartoniku znalazłem też kluczyki, pistolet Makarowa z kaburą pod pachę, banknoty o łącznej wartości ponad stu tysięcy rubli, pogniecione kwity, zadrukowane grażdanką papiery ze stemplami.

Wsadziłem do kartonika swój fiński paszport i dwa tysiące marek. Trochę fińskiej waluty schowałem do portfela obok rubli. W papierach Siemionowa była także fińska wiza. Czasem było lepiej, że Viktor Karppa przebywał za granicą, gdy niejaki Siemionow, Łarionow albo Kuzniecowa przybywał z wizytą do Finlandii. Tym razem nie planowałem podróży do Finlandii, ale Karpow był zasadniczy.

Na podwórze wyszła kobieta w skórzanych spodniach i wręczyła mi pęk kluczy. „Zostały od ostatniego razu. Hertz z Ruskeali dziękuje za zaufanie”, powiedziała bez cienia uśmiechu, skinęła głową na garaż z betonowych cegieł i przeskakując w bamboszach największy śnieg, wróciła do domu.

Przekręciłem klucz w masywnym zamku, wyjechałem z garażu passatem na petersburskich numerach i wprowadziłem do środka mercedesa. Przełożyłem torby z jednego bagażnika do drugiego. Założyłem rękawiczki, wyciągnąłem pistolet i sprawdziłem magazynek. Nie chciałem zostawiać odcisków na broni o nieznannej przeszłości. Najprawdopodobniej makarow był wciąż na stanie jakiejś jednostki w środkowej Rosji, ale równie dobrze mógł już być użyty do jakiegoś morderstwa i wyciągnięte z ciała kule czekają cierpliwie w milicyjnych archiwach na pojawienie się broni.

Wsadziłem pistolet pod siedzenie pasażera. Zamknąłem garaż na klucz i odniosłem kartonik gospodarzowi. Nie patrzyłem, gdzie go schował. Wiedziałem, że moje rzeczy będą u niego bezpieczne. Ruszyłem w stronę Sortawali.

- Mamo - odezwałem się cicho po fińsku. We śnie, w łóżku, wydawała się mała i krucha. Do rąk przytwierdzono jej taśmami jakieś rurki, w nosie miała wężyk, pod kołdrą było ich więcej. Wokół niej piętrzyły się poważnie wyglądające urządzenia pomiarowe, stojaki z kroplówkami i monitory. Biegnąca przez ekran żółtozielona krecha światła podskakiwała dokładnie w tym samym miejscu w rytm uderzeń serca. Karpow musiał przechwycić transport kompletnego wyposażenia OIOM-u, który zamiast do Moskwy trafił do Sortawali.

- Mamo - powtórzyłem. Matka oddychała równo, jak we śnie, lecz nagle podniosła powieki. Szare oczy wpatrywały się w sufit, ale powoli zaczęły szukać źródła głosu.

- No proszę, toż to Viktor - uśmiechnęła się bez odrobiny zaskoczenia i wyciągnęła palce w moją stronę. Ująłem jej małą, miękką rękę w swoje dłonie i ostrożnie ścisnąłem.

Uśmiechnąłem się.

Posiedziałem u niej dwadzieścia minut, potem zostawiłem ją samą, żeby odpoczęła. Była zmęczona i mówiła wolno, od czasu do czasu robiła długie przerwy. Powiedziałem jej, że zostanie w Sortawali przez dobrych parę dni i że wieczorem znów do niej przyjdę. Kiedy przekraczałem próg pokoju, już zasypiała.

Przed szpitalem czekał na mnie Karpow. Opierał się o błotnik swojego mercedesa. Po drugiej stronie auta stał jego szafopodobny pomagier w obowiązkowych ciemnych okularach.

- Ryzkow dzwonił, że odebrałeś paczkę. Wszystko poszło jak trzeba? - Karpow raczej stwierdził, niż zapytał. - Mam wasz klucz. W środku jest napalone, lodówka pełna, nic tylko się wprowadzać.

Rzucił mi klucz ze znajomą figurką krasnoludka.

Nasz niewielki dom znajdował się po stronie Vakko-salmi, na końcu zwirowej alejki. Była to stara chata, zbudowana jeszcze przez Finów, ale potem wielokrotnie remontowana i

rozbudowywana w miejscowym stylu. Już na werandzie poczułem się jak u siebie, a w środku przywitało mnie domowe ciepło. Wniosłem swoje rzeczy do izby.

Na stole w kuchni leżały konserwy, chleb, bułki i cztery butelki wódki. Otworzyłem lodówkę. W środku było mleko, spory kawał suchej kiełbasy, niemieckie parówki, fiński boczek, piwo, a nawet pomarańcze i kilka butelek wody.

Usiadłem przy znajomym stole na swoim miejscu i wtedy stwierdziłem, że jestem głodny i chce mi się pić.

Wieczorem posiedziałem u matki godzinę. Trzymałem ją za rękę i nie czułem się dziwnie, choć nie trzymałem jej tak na pewno od czasów podstawówki. Matka głównie drzemała.

- Teraz już chyba wszystko będzie dobrze, ale mocno mnie trzepnęło i naprawdę zabolęło - powiedziała mi. - I dobrze widziałam twojego ojca, stał w nogach łóżka.

Słuchałem i odpowiadałem cicho. Znów zacząłem się niepokoić, jej gorąca skóra wydawała się przezroczysta. Nie mogłem sobie przypomnieć, aby matka kiedykolwiek mówiła, że ją coś boli albo że nie ma siły.

Prawie cały czas siedziałem w domu, z dala od miasta. W Karelii nie brakowało ludzi, którzy zaczęliby mieć złe myśli, gdyby się tylko dowiedzieli, że pomieszkuję sam w starej chałupie.

Jeździłem do matki samochodem, a w wolnym czasie czytałem albo rąbałem drwa, choć drewnitnia i tak była już pełna. Naprawiłem antenę telewizora.

Gdy patrzyłem na miasto z okien samochodu, ogarniała mnie czarna rozpacz. Widziałem tłustych Finów, którzy zapraszali do samochodów dziewczęta z ulicy, i młodych mężczyzn, którzy czatowali w mrocznych zakątkach pod restauracją na pijanych frajerów do golenia. Szukałem wśród nich znajomych twarzy i postaci, ale gdy próbowałem je rozpoznać, nadać im imiona i nazwiska, dotarło do mnie, że patrzę na ludzi zbyt młodych. Przecież moi znajomi byli już teraz w średnim wieku.

Wieczór już zgęstniał i zastępnął w księżycowym świetle, kiedy usłyszałem, że na drodze zatrzymał się samochód. Wyjrzałem z okna kuchni i zobaczyłem białą, przybrudzoną wołgę.

Stała przed naszym domem, pomrukując

na wolnych obrotach w kłębach spalin. Zadzwoiła moja komórka, odebrałem, ale cały czas zza uchylonej firanki obserwowałem drogę.

- Cześć, Viktor, tu Arkadij. Co słychać? Na siedem sekund straciłem głos.

- Eee... jestem teraz w małych rozjazdach - odpowiedziałem.

- Wiem - powiedział Arkadij. - Jesteś w Sortavali. A moim zdaniem powinieneś być teraz w Mikkeli, a w zasadzie powinieneś już dawno stamtąd wrócić. Chcę ci z naciskiem przypomnieć, że te mikrofilmy mają być załatwione. Innych sposobów naciskania wolałbym nie stosować.

Mówił spokojnie. Po chwili wymierzył mi drugi cios:

- A tak poza tym, jak tam twoja matka, wraca do zdrowia?

Ścisnąłem słuchawkę i spojrzałem na dymiącą wołgę. W ciemności okna samochodu były zupełnie czarne i nie było widać, kto siedzi w środku. Arkadij mógł być w aucie i równie dobrze w Moskwie albo Helsinkach, ale to on zorganizował tę sztuczkę z wołgą, tego byłem pewny.

- Posłuchaj, Arkadij, załatwię tę twoją sprawę. Ale możesz być pewien, że załatwię także ciebie i wielu innych, jeżeli mojej matce stanie się coś złego. To sprawa między mną a tobą. Nie mieszaj w to postronnych - powiedziałem rzeczowo, niskim i wyważonym głosem.

Rozłączył się. Wołga stała jeszcze i dymiła przez jakiś czas, po czym obroty silnika wzrosły i samochód ruszył.

Wszedłem w ciemności na strych i wsunąłem rękę między deski poszycia, w drewniane wióry. Brezentowa torba była dokładnie tam, gdzie ją ukryłem. Rozwinąłem materiał i chwyciłem kałasznikowa. Podstawowy model, AK-47 z drewnianą kolbą. W torbie miałem także dwa magazynki i trzy kartony naboju.

Na strychu panował mrok, ale zamknąłem jeszcze oczy i na klęczkach rozłożyłem karabin. Palce poruszały się samoistnie, wyjąłem magazynek, przełączyłem na ogień ciągły, przeładowałem, nacisnąłem kciukiem zatrzask, zdjąłem pokrywę komory, wyciągnąłem sprężynę i suwadło z zamkiem, przekręciłem i zdemontowałem zamek, odblokowałem zatrzask, wyjąłem rurę gazową. O mały włos nie skoczyłem na równe nogi i nie stanąłem na baczność, nim zacząłem składać broń z powrotem. Ćwiczyliśmy to w armii za dnia i w nocy, z workiem na głowie i w terenie.

Czternaście xxx

- słyszałeś coś o Lenie? - Matka mnie zaskoczyła. Zacerwieniłem się, stary koń.

- Nie, nic. Nawet nie pytałem. Ostatnie wieści, jakie o niej miałem, to że jest w Petersburgu, ale od dwóch lat nic o niej nie słyszałem.

- Lena jest w Petersburgu - potwierdziła. - Podobno miała wyjść za jakiegoś inżyniera, ale coś tam im jednak stanęło na przeszkodzie - dalej drażyła temat. - Już ja wiem, że miałeś z tego powodu duże zmartwienie. Ale to się nigdy nie wie, czy coś by z tego wyszło, i w ogóle... A przeprowadzka do Finlandii i bez tego nie była wcale łatwa, chociaż znasz język...

Matka mówiła dalej. Uśmiechnąłem się, bo zdałem sobie sprawę, że odzyskała siły, mimo że nadal leżała w łóżku i wymagała opieki. Zniknęły już monitory i kroplówki. Matka rozczesała włosy i oczy skrzyły się zza szkieł ostro i wyraźnie.

Trzymałem ją za rękę i nie czułem się z tym dziwnie, nie było mi głupio.

- Już ja wiem, zaraz znów zaczniesz mnie namawiać, bym pojechała z tobą do Finlandii.

Przecież ja tu całe życie przeżyłam, to i tutaj umrę. - Matka zaczęła monolog, rozmowa się skończyła. - Ale jeszcze nie teraz. Po tym drugim ataku byłam już gotowa odejść... Tak się bałam

tego bólu. Już nie mogę go znieść - opowiadała spokojnie, jakby rozważała normalny, codzienny problem. - Ale kiedy przyjechałeś, poczułam, jak mnie ściąga tu z powrotem. I tak sobie pomyślałam, że jeszcze tej wiosny i tego lata doczekam... że chcę doczekać.

Rozmawialiśmy o przyjeździe Aleksieja, matka wypytywała mnie o pracę, przedstawiłem jej wszystko z tej lepszej strony i powiedziałem, że lada dzień będę chyba wracał do Finlandii.

- Oczywiście, możesz jechać, kiedy chcesz. Teraz już sobie poradzę, nie martw się - uspokoiła mnie. - Poza tym nie ma już między nami żadnych nierozwiązanych spraw, więc choćby i nawet.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu. Przez oddział przeszła pielęgniarka, wyganiając gości.

- Mamo - powiedziałem jeszcze. - Tylko nie dostań znów zawału serca, ale mam mały problem. Myślisz, że stryj Olli mógłby mi pomóc? - zapytałem i opowiedziałem o Arkadiju, o kopiach ksiąg kościelnych i o niewygodnej sytuacji, w której się znalazłem.

Matka wysłuchiwała mnie do końca, unosząc wysoko brwi, wreszcie powiedziała, że już nie ma siły biegać po ludziach i wyciągać z biedy swoich dorosłych synów. No, ale matka to zawsze matka, westchnęła teatralnie.

- Zadzwoń do niego, a on się z tobą skontaktuje. Tak będzie bezpieczniej.

Wróciłem do chaty. Na ulicy dostrzegłem starego człowieka w szarym garniturze i berecie. Rozpoznałem go od razu, to był mój dawny nauczyciel. Zatrzymałem się i wyszedłem z auta.

- Dzień dobry panu, jak się pan miewa? Poznaje mnie pan?

- Viktorze Nikołajewiczu, a gdzie tu ciebie nosi, przyjechałeś w odwiedzinę do biednych krewnych czy jak? Oczko w głowie mamy; chociaż coś mi się obilo o uszy, że i z ciebie nie zawsze miała pociechę, przez te machinacje z ludźmi Karpowa. - Paweł Siemionow, mój nauczyciel z podstawówki, mimo upływu niemal trzydziestu lat nie stracił jeszcze kaznodziejskiego tonu. I tak jak kiedyś, nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi, dalej coś tam mruczał pod nosem.

Pomogłem mu wsiąść, przypomniało mi się, że był rówieśnikiem moich rodziców. Tak wyglądałby ojciec, gdyby żył. No, nie do końca, ojciec był jednak większy od sąsiada. Pamiętam, że trochę sobie podkpiwał ze sportowych zapędów mojego nauczyciela, próżno się mikrus pręży.

- No, Witja, ale z ciebie to wyrósł narciarz na schwał, od razu to po tobie widziałem. Twój ojciec zresztą też byłby wcale niezły, wy, fińskie nasienie, bieganie po śniegu macie we krwi. Jak Nikołaj się rozpędził, to kijki się chciały łamać. Dzisiaj to co innego, wszystko plastiki i włókna.

- Moje bieganie też się szybko skończyło. Nie dawałem rady - zdołałem wtrącić. - Pan za to, widzę, w doskonałej kondycji. Matkę odwiedzić przyjechałem, miała zawał, dość poważny. Ale teraz już wszystko dobrze.

Siemionow już chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na otwartych ustach, skrzywił się ze smutkiem.

- No coś takiego, nic w ogóle o tym nie słyszałem. Muszę zaraz powiedzieć Nadii... Przecież można ją odwiedzić, zanieść kwiaty albo coś, oj oj, to się dopiero Nadieżda zmartwi, no coś takiego...

Dowiozłem go pod samą furtkę. Mieszkał tam, gdzie kiedyś, ale jego dom jakby się skurczył. Na podwórzu dostrzegłem znajomy drążek gimnastyczny i opony na spłowiałych linach, spod śniegu wystawała zardzewiała sztanga z talerzami.

Patrzyłem za Siemionowem, który potruchtał do domu i w progu pomachał mi jeszcze na pożegnanie. Drgnęła firanka, pani Nadia, gospodyni domu, była na posterunku.

Wróciłem do samochodu. Byłem z siebie zadowolony, bo zdobyłem się na uprzejmość.

Pamiętam, że Siemionow był aktywnym członkiem partii i wygłaszał nam w klasie kazania polityczne, po których czuliśmy się wszyscy jak grzeszni i źli mali komuniści.

Teraz ledwo wegetował na emeryturze wartęj w przeliczeniu sto kilka marek - jeśli nie zapomnieli mu jej wypłacić - i patrzył, jak jego dawni uczniowie i uczennice uciekają do Finlandii, rozpijają się i kurwią. W mieście zostali już tylko jego nieliczni rówieśnicy w sypiących się ruderach. Nieraz wyobrażałem sobie, że gdy dorosnę, to jeszcze ustawię Siemionowa, jeszcze mu przypomnę te wszystkie udręki i niesprawiedliwości ze szkolnych czasów. A teraz okazało się, że wcale nie miałem ochoty na wyrównywanie rachunków.

Wieczorem pojechałem na wyspę. Most na Riekkalansaari był w złym stanie. Przepuściłem jadącą w stronę miasta białoruskę z rozchwianą przyczepą i przejechałem volkswagenem na drugą stronę.

Meandrując, dotarłem do pracowniczych ogródków działkowych. W Finlandii widziałem podobne. Drogi były odśnieżone; wiele osób przyjeżdżało na działkę także zimą.

Zatrzymałem samochód, dalej poszedłem na piechotę. Domek rodziców Leny ciągle stał i wyglądał na zadbany. Wszedłem przez furtkę na działkę i po schodkach do drzwi wejściowych. Stopnie były pokryte zmarzniętym śniegiem, zajrzałem w okienko werandy i przez koronkowe firanki

dostrzegłem znajomą boazerię, lakierowany parkiet, meble i wiszącą na ścianie gitarę, na której kiedyś brzdąkałem.

Przysiadłem na schodach. Przypomniałem sobie, jak po wielu przesiadkach dotarliśmy tu z Leną z Leningradu, jak jedliśmy nasz skromny prowiant, jak chodziliśmy skrajem pól porośniętych wysokim zbożem i przypominającą dżunglę wierzbina. Lenie spodobał się derkacz, znała też wszystkie rośliny, wykrzykiwała ich łacińskie nazwy.

Przypomniałem sobie ich dom w Leningradzie. Dobre mieszkanie w dobrym bloku, który nawet pachniał ładnie, było w nim sucho, czysto i ciepło. Siedziałem w fotelu i czytałem książkę wyciągniętą z regału, który zajmował pół ściany. Lena grała niekończące się gamy, mordercze powtórzenia, obgryzała paznokcie do krwi i grała ze łzami w oczach, bo tak jej kazał profesor w konserwatorium, stary człowiek w okularach o soczewkach jak denka od

butelek. Pamiętałem jego i pamiętałem bezgraniczne zdziwienie Leny, że potrafię tak siedzieć i słuchać nudnych palców. „Przecież to nie muzyka, tylko uszeregowane dźwięki”, denerwowała się. Ja nie dostrzegalem różnicy, nie słyszałem jej; cieszył mnie wygodny fotel, cieszyła czytana książka i ciepłe, senne popołudnie.

Lena nie rozumiała albo nie chciała przyjąć do wiadomości, kiedy jej mówiłem, że jest uprzywilejowana. „Ja, dziecko klasy średniej?” - dziwiła się. Próbowałem jej wytłumaczyć, jak daleko ma bieda do jej klasy średniej, choć w radzieckim społeczeństwie takie określenia w zasadzie nie istniały, podobnie jak podział na klasy społeczne. Własne pianino, własny regał z książkami, a nawet samochód i dacha, owoce do obiadu, języki obce i zagraniczni znajomi... To nie była jej wina ani moja, ale wtedy tego nie rozumieliśmy.

Komórka sprowadziła mnie z powrotem na ziemię, do pracy zleconej przez Aarnego Larssona.

- Widzę, że odwiedzasz stare kąty - raczej stwierdził, niż spytał Perwuchin, mój człowiek w Sonerze. - Tak dla zabawy namierzyłem twój telefon. Ale pytałeś o tę kobietę. Z komórki Sirje Lillepuu nie dzwoniło nigdzie od dwóch tygodni i poza tobą nikt też nie próbował się do niej w tym czasie dodzwonić ani nie zostawił w jej skrzynce odbiorczej żadnej wiadomości. Poza tym telefon od wielu dni jest w ogóle wyłączony i nie potrafię ustalić jego lokalizacji.

Perwuchin się rozłączył, nim zdążyłem podziękować. Wpatrywałem się w swój telefon, zastanawiając się, co to wszystko może znaczyć.

Miałem przy sobie teczkę Sirje Larsson, zacząłem przeglądać swoje skromne notatki i kilka zdjęć. Aino Lillepuu dała mi kilka fotografii córki, ale musiałem solennie przysiąc, że je zwrócę. Pokazała mi też listy Sirje, odczytała niektóre na głos i tłumaczyła na fiński fragmenty, których nie rozumiałem. Z cichych wspomnień matki wyłaniała się piękna dziewczyna, która świetnie się uczyła i w ogóle była dobrą córką.

Sirje zdała do jakiegoś studium sekretarskiego, ale wkrótce dostała pracę w estońsko-fińskiej firmie handlowej i przeniosła się do Finlandii. Aarnego poznała w pracy, a później spotkali się przypadkiem na jakimś koncercie.

Sirje wiedziała, że Aarne jest żonaty. Ale Larsson szybko postarał się o rozwód i kiedy poprosił ją o rękę, nie odmówiła. „Córce nie przeszkadzało, że nie mają dzieci”, powiedziała mi Aino Lillepuu, po czym spojrzała mi w oczy i z uśmiechem dodała, że chyba już nigdy nie zostanie babcią.

Najbardziej aktualne zdjęcie Sirje, które dał mi Aarne Larsson, pokazywało ją od przodu, ale dzięki fotografiom matki kobieta stała się bardziej trójwymiarowa. Sirje była zawsze bardzo ładna, uśmiechała się nieco tajemniczo albo tak, jakby nie dawała się całkowicie pochłonąć zabawie, tylko z boku patrzyła na radość innych. Zdjęcia były w większości amatorskie; życie zamarło na kliszy nieco ukośnie i nierówno, lampa błyskowa zatarła niuanse, uśmiechy osób nie miały podstaw.

Niemniej jedno zdjęcie różniło się od pozostałych. Artystycznie wykadrowane, zgodnie z klasyczną nauką

o podziale przestrzeni. Sirje stała na ulicy, niemal roześmiana, było widać jej białe zęby i lekko zaróżowione policzki, światło i cień wydobyły z jej twarzy charakter i głębię. Rozpoznałem miejsce po majaczącej w tle szarej bryle szpitala św. Marii. Sirje stała na ulicy Lapońskiej - i nie miałem wątpliwości, że sfotografował ją tam Esko Turunen.

Wyjechałem po Aleksieja na stację. Nie wyszedłem do poczekalni ani na peron, czekałem w samochodzie na parking. Kiedy zobaczyłem Alioszę w drzwiach dworca, wysiadłem, aby mu się pokazać. Był w ciemnobrązowym kozuchu i futrzanej czapie, na ramieniu niósł dużą sportową torbę. Podaliśmy sobie dłonie. W drodze do domu spostrzegłem, że za dużo mówię. Aleksiej przeważnie słuchał, prawie się nie odzywał i z grzeczności tylko śmiał się pod nosem; mówił, że musi się przestawić z powrotem na fiński.

W domu przekąsiliśmy chleb z kielbasą i kwaszonymi ogórkami, po czym pojechaliśmy do szpitala. Matka nie spała i dumna trzymała nas za ręce, swoich synów. Siedzieliśmy po obu stronach łóżka, naprzeciwko siebie.

Potem zostawiłem ich samych, pojechałem do domu, żeby nagrzać saunę, i wróciłem po brata.

- Chyba już od dwóch lat się tu nie kąpałem - powiedział Aliosza, gdy rozsiedliśmy się w saunie, on jak zawsze z podkurczonymi nogami na najwyższej ławie, oparty o ścianę. Przywykłem myśleć, że jest ode mnie dużo starszy i cięższy, że wygląda dużo poważniej. I często zaskakiwało mnie moje własne odbicie, złowione kątem oka w lustrze czy szybie; ostatnio bardzo się do niego upodobiłem.

- Jeśli matka umrze, dla mnie nie ma tu już nic - powiedział Aleksiej i spojrzał na mnie szaroniebieskimi oczami, które również dobrze znałem z własnego lustra. Zdałem sobie sprawę, że czuję to samo. Dom przestanie istnieć i zostaniemy sami na tym świecie, dwie sieroty.

- Posłuchaj, bracie. - Zawahał się, ale po chwili podjął. - Co byś powiedział, gdybym się przeniósł do Finlandii? Poczyniłem już nawet pewne plany.

Z pozornie niewinnego spojrzenia Alioszy wywnioskowałem, że te plany zaszły całkiem daleko. Chlusnąłem na kamienie tak, że aż zgięliśmy się w pół, gdy gorąca para natarła na pociemniałe deski ścian i broczący żywicą sufit. Zastanawiałem się, czy w ogóle poruszać temat Iriny i chłopaka, papierów imigracyjnych, mieszkania i pracy, czy wziął pod uwagę, że w Finlandii także wcale nie jest lekko.

Oddychaliśmy gorącą wilgocią. Ochłodziłem się, lejąc sobie na głowę wodę z emaliowanej miski, i powiedziałem tylko:

- Pomogę ci, bez dwóch zdań. Ale dobrze się zastanów, żebyś wiedział, co robisz.

Siedzieliśmy w saunie długo. Od czasu do czasu dorzucaliśmy drewno do piecyka i pijąc piwo i wódkę, wspominaliśmy wydarzenia z dzieciństwa. Pamiętaliśmy je inaczej i omal się nie pobiliśmy o to, czy byłem na paradzie kozackiej na stadionie.

- Wyraźnie pamiętam konie. I pamiętam, jak kozacy przeskakiwali w pełnym pędzie z jednej strony konia na drugą, i pamiętam, jak byli ubrani. Stryj Eino też tam był - upierałem się. W końcu Aliosza przyznał, że może jednak rzeczywiście byłem wtedy z nimi.

Rano odszukał na górnej półce w garderobie swój lśniący czerwony akordeon, który złożył tam pewnie dziesięć lat wcześniej. Przez dłuższą chwilę rozgrzewał grube palce, nagiął je do klawiszy, ale w końcu zagrał zdumiewająco płynnie. Zaśpiewaliśmy więc, Aleksiej cygańskim tenorem, a ja barytonem. Śpiewaliśmy stare radzieckie przeboje i rosyjskie pieśni, w których rzeka unosi żdźbło jak niechcianą miłość, czy może na odwrót, a zboże faluje i w miastach gasną światła.

A potem łzy nam pociekły z oczu, bo zaśpiewaliśmy fińską piosenkę, której matka nauczyła nas w dzieciństwie, piosenkę o barwnym ptaku, co karmił pisklętą, gdy gałęziami kołysał wiatr.

W garażu w Ruskeali czekał na mnie mercedes Ruuskanena. U małomównego gospodarza wymieniłem dokumenty i klucze; Igor Siemionow będzie czekać na nowe zadania.

Zaraz po przekroczeniu granicy krajobraz wyjaśniał i wyporządniał - zupełnie jakby wiosna zaszła tu już dalej niż tam. Jechałem szóstką na południe, diesel mruczał przyjemnie, zwiększając stopniowo obroty, gdy przypominały mi się czekające na mnie w Helsinkach prace. Na samym wierzchu była sprawa Sirje Lillepuu, po której tymczasem wszelki ślad zaginął.

W Kouvoli odbiłem na zachód i wczesnym popołudniem dojechałem do Lahti. Odnalazłem w informacjach od Larssona adres jego pierwszej żony. Mieszkała w szeregowcu, łatwo było znaleźć.

Rozłożyłem oparcie siedzenia w samochodzie i obserwowałem dom Heleny Larsson, słuchając audycji Dziś po południu. Ulica była tak cicha, że po dwudziestu minutach zacząłem się niepokoić, że zwracam na siebie uwagę. Ludzie wracali samochodami z pracy, dzieci wychodziły na zajęcia pozaszkolne z kijami na plecach lub toczkami pod pachą, ale w mieszkaniu pani Larsson nie drgnęła nawet firanka.

Wysiadłem i obszedłem długi rząd domów. Niewielkie ogródki leżały od strony parku i żeby tam dotrzeć,

trzeba by mieć porządne śniegowce. Próbowałem zajrzeć bezwstydnie przez ażurowy płot, zdając sobie sprawę, że wzbudzam podejrzenia.

Wróciłem przed front szeregowca i nacisnąłem przycisk dzwonka przy nazwisku Larsson. W środku usłyszałem stłumione dudnienie, w którym po otwarciu się drzwi rozpoznałem basowy heavy metal.

Kimmo Larsson przypominał ojca, miał jego twarz, choć rysy były zmiękczone, drobniejsze i delikatniejsze. Chłopak był mojego wzrostu, ale chudy. Miał długie włosy, które odgarnął do tyłu obiema dłońmi. Stał niedbale, nogawki luźnych spodni opadły na ziemię. Z wyglądu mógł być kimkolwiek - narkomanem, hakerem albo gitarzystą w grupie grającej gospel, choć po chwili namysłu uznałem, że na hokeistę to on się jednak nie nadawał.

- Cześć, nazywam się Viktor Karppa i przyjechałem z Helsinek. Wyjaśniam sprawę Sirje Larsson na zlecenie twojego ojca. Czy pani Helena Larsson jest może w domu?

- Mamajestjeszczewpracy... albo w sklepie, czy gdzieś. Zresztą co za różnica. Ale powinna zaraz być. To może tego, proszę wejść - chłopak mówił niezbyt składnie, lecz zaskakująco dźwięcznym i niskim głosem. Pomyślałem zaraz, jaki też matka musi mieć alt - jego ojciec mówił z metalicznym zgrzytem, ale całkiem dorosły głos Kimma był okrągły i miękki; tak niskie dźwięki wydobywają się raczej z gardła tęgiego mężczyzny w słusznym wieku. Przedpokój prowadził do mrocznego brązowego salonu. Zapadłem się w miękki fotel. Meble mogły pochodzić z lat osiemdziesiątych. Chłopak wrócił do swojego pokoju i ściszył muzykę. Stał w progu, po chwili oparł się jednak o regał z książkami, ale zupełnie nie wiedział, co zrobić z rękoma. Najpierw założył je na piersiach, potem opuścił z nienaturalną swobodą wzdłuż boków.

Z jego pokoju wyszło dwóch podobnie ubranych młodzieńców, w przedpokoju założyli buty, zarzucili na ramiona skórzane kurtki, wymruczeli coś na pożegnanie i poszli. W Rosji podaliby dłonie nie tylko sobie, ale także mnie, pomyślałem, ale poza tym ze wszystkim innym było tam dużo gorzej.

- Słyszeliśmy z mamą, że ta cała Sirje gdzieś przepadła. Nieszczególnie nas to zmartwiło, ale i nie ucieszyło - zaskoczył mnie rzeczowym wstępem. - Ojciec nas zostawił dla tamtej. Paskudny numer nam wyciął, zupełnie kijowy, ale co zrobić, shit happens. Nie mamy z mamą absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem Sirje - zapewnił mnie.

- Wcale tego nie sugeruję - powiedziałem takim tonem, jakbym to właśnie sugerował. - Kiedy ostatnio widziałeś się z ojcem i jego nową żoną?

- Spędziłem u nich w grudniu ferie świąteczne. To znaczy tych kilka dni między Gwiazdką a Nowym Rokiem, na Sylwka wróciłem do Lahti - powiedział Kimmo, starając się ze wszystkich sił utrzymać ciało w spokoju. Przypomniałem sobie dom Larssona i pokój gościnny, który tętnił życiem jak poczekalnia u dentysty. Byłem przekonany, że chłopak zdecydowanie wolał imprezować z kumplami, niż wiązać pod okiem ojca grzbiety starych książek.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Usłyszałem w przedpokoju szelest stawianych na podłogę plastikowych toreb i dzwonienie kluczy, potem Helena Larsson zaniósła siatki do kuchni i zaczęła przekładać zakupy do lodówki. Kobieta weszła do pokoju i na mój widok zamarła. Chłopak się odwrócił i bez słowa zniknął w swoim pokoju.

Z trudem wyostałem się z fotela, po czym przywitałem się i przedstawiłem.

- Ach, tak - powiedziała pani Larsson obojętnym tonem i cofnęła się do przedpokoju, aby zdjąć kurtkę.

Po chwili wróciła do salonu w dzinsach i kraciastej flanelowej koszuli. Była to przystojna kobieta o żywych, brązowych oczach i ciemnych włosach, której wygląd świadczył o tym, że wie, jak o siebie dbać.

Usiadła i zaczęła masować zmarznięte policzki.

- Na noc znów idzie mróz. Jak tylko zajdzie słońce, robi się zimno - powiedziała z uśmiechem. Głos miała przyjemny, ale dość zwyczajny. Chłopak nie odziedziczył grubych strun głosowych po żadnym z rodziców.

- Mam nadzieję, że pani nie urażę ani nie dotknę spraw zbyt bolesnych, ale wyjaśniam sprawę zaginięcia Sirje Larsson. Rozmawialiśmy sobie właśnie z Kimmem, ale może ma pani jakąś informację czy myśl, która mogłaby się okazać pomocna w tej sprawie?

- Ach, więc pan jest takim prywatnym detektywem - Helena Larsson znów się uśmiechnęła. - Aarne wsiąkł zupełnie, bez reszty, że tak powiem, w te swoje plemienne historie ugrofińskie gdzieś tak pod koniec lat osiemdziesiątych. To były gorące czasy, ekstaza wyzwolenia i tak dalej, wielka polityka. Mówię tu przede wszystkim o Estonii. A potem go oszołomiła wolność innego rodzaju. I postanowił pojąć za żonę córę Estonii, dziewczę z plemienia niebiesko-czarno-białych...

Helena Larsson przez chwilę siedziała w milczeniu, trzymając ręce na podolku.

- Oczywiście, że mnie to ubodło. Kimmo też cierpiał przez odrzucenie. Ale Aarne miał zawsze skrajne poglądy i wydaje mi się, że nasz związek i tak by nie przetrwał. Takie cechy charakteru, jak ekstremizm i bezkompromisowość, z biegiem lat się wzmacniają. A ja jestem bardziej realistyczna, bardziej zrównoważona.

Uniosła wzrok i spojrzała na mnie, po czym dodała powzedniętym, bezbarwnym głosem: - Nasz związek był

skończony na długo przed Sirje. Nie mogłam się godzić z tym, że ktoś mnie bije, nie mogłam na coś takiego pozwalać.

Zamarłem i z ust wydobyło mi się zdumione jęknięcie, które ku mojemu przerażeniu zabrzmiało jak chichot. Próbowałem to zamaskować współczującym pytaniem. Helena Larsson skwitowała tę nieudolną próbę bez urazy.

- Tak, Aarne raz mnie pobił. To wystarczyło. Zaczęła przygotowywać kawę. „Dziękuję, chętnie”, przyjąłem zaproszenie. Rozmawialiśmy jeszcze o Aarnem, o ich związku i o Sirje. Helena Larsson była otwarta i opowiadała z łatwością; czułem, że nietrudno mi jej wierzyć. Niewyraźny obraz Sirje zaczął nabierać kolorów, ale nawet kobieta z drugiego - a w zasadzie pierwszego - kręgu pana Larssona nie zdołała go pogłębić ani nadać mu odcieni.

- Sirje nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wychowana w tallińskiej beczce niewinna dziewczyna, a raczej już prawie kobieta w średnim wieku. Zadowolona z Aarnego i swojego bezpiecznego życia, ładnego domu i krótkich podróży. I pewnie Aarnemu też to wystarcza, choć on jest zawsze niezadowolony, a w każdym razie taki był ze mną.

Zastukałem jeszcze do drzwi Kimma i zajrzałem do jego pokoju. Zdażył się już ulotnić. Ściany pokryte były plakatami zespołów. Nad biurkiem wisiała przyczepiona pinezkami strona z jakiegoś tygodnika, z której krzyczał wypisany wielkimi czerwonymi literami napis: „Estońskie dziwki podbijają Helsinkę”.

Rodzina Aarnego Larssona raczej nie miała nic wspólnego ze zniknięciem Sirje, ale obelżywy anonim, który kiedyś dostała, być może powstał właśnie w tym pokoju.

Szesnaście xxx

pojechałem prosto do biura i zdążyłem włączyć komputer, gdy usłyszałem pukanie w okno. Marja pomachała mi ostrożnie i niby nieśmiało kiwnęła głową. Poszedłem otworzyć, starając się jednocześnie zachować spokój i być miło zaskoczonym.

- Cześć - powiedziała cicho Marja i przez chwilę nie mówiła nic więcej. Miętosiła w palcach swój szal jak bezradny Puchatek. - Idę na imprezę tu niedaleko i wpadłam zajrzeć, co u ciebie.
- Na chwilę znów zamilkła. - Wysłałam ci maila, ale może nie doszedł albo coś, nie wiem...

- Byłem na wyjeździe, w domu, w Sortavali, odwiedzić matkę, jest poważnie chora, właśnie wróciłem - wyjaśniłem, jakbym cierpiał na zanik mowy. - A bardzo się spieszysz na tę imprezę? Usiądź może, albo pójdziemy gdzieś na kawę. Zdażę przejrzeć swoje sprawy jutro i wtedy też przeczytam wiadomość od ciebie - zaproponowałem.

Ale Marja miała już gotowy plan i ja byłem jego częścią.

- A ja tak sobie pomyślałam, że może miałbyś ochotę pójść na tę imprezę ze mną. To ludzie z mojego roku, mieszkają na Drugiej Linii [Toinen linja - ulica niedaleko placu Hakaniemi.], tu niedaleko.

Przejrzałem szybko tradycyjną pocztę, która przysłała do biura, wyłączyłem komputer i zamknąłem drzwi od środka.

- Chodź, pójdziemy do mnie. Muszę się przebrać.

- Nie wiem, może powinnam się bać. Z takim mafioso zza wschodniej granicy - Marja zażartowała ostrożnie.

- Jaki tam mafioso... „Karppa i wspólnicy”: obsługa kredytowa, haracze i windykacja - uśmiechnąłem się, choć zaraz pomyślałem, że to nie do końca żart i Marja na pewno ma tego świadomość.

Przez tylne drzwi wyszliśmy na klatkę schodową, a z klatki na jasne, przestronne podwórze. Trzęsąca, postukująca winda rozbawiła Marję. Ktoś poprawił tabliczkę informacyjną: „Dzieci mogą korzystać z pindy pod opieką dorosłych”. Marja sobie przypomniała, jak się śmiała z przerobionej reklamy w witrynie sklepowej: Druga pała gratis!, i z poprawionego tytułu dawnego podręcznika do historii swojego kuzyna: Mówią ścieki i-ni.

W drzwiach przeprosiłem Marję i wszedłem na chwilę do środka sam. Sprzątnąłem z podłogi pod drzwiami gazety, rachunki i reklamy, rozejrzałem się po mieszkaniu. Wyglądało czysto i świeżo, mimo że gospodarza nie było tydzień w domu.

Zaprowadziłem Marję do kuchni i rzuciłem torby na łóżko. Mieszkanie było niewielkie, ale miało normalną kuchnię i dość duży pokój z wnęką sypialną, w której swobodnie mieściło się podwójne łóżko. Łazienka była staromodna, ale moim zdaniem całkiem porządna.

Wyciągnąłem z lodówki kiszone ogórki i kilka pepperoni. Nic innego w zasadzie nie miałem. W szafkach znalazłem krakersy, czekoladę i butelkę wódki. Rozłożyłem przekąski na dwóch talerzykach, wódkę nalałem do kieliszków. Stuknęliśmy się.

- Prosit! Witam w moim domu. Na zdrowie. Ogołiłem się, ale pod prysznic już nie wszedłem.

- Jak

mam się ubrać?! - krzyknąłem do Marji.

- Nic szczególnego ani eleganckiego, widziałeś chyba, co mam na sobie, załóż coś takiego - odpowiedziała.

Uznałem, że asortyment firmy odzieżowej Ryzkova za bardzo trąci mafijną elegancją. Po chwili zastanowienia wybrałem czarne spodnie, czarny sweter w serek i szarą marynarkę. Buty przetarłem szczotką.

- No, całkiem do rzeczy - Marja stanęła w drzwiach pokoju. - I to mieszkanie też całkiem porządne.

Oczy jej lśniły.

- Zupełne retro, jak na starych fotografiach - podziwiała meble, muskała je delikatnie palcami. Regał na książki z witrynką i ława z ciemnego, polerowanego drewna, zmechacona, żółto-

zielona kanapa i zielone fotele, wszystko w jednakowym stylu. Wielką dumą napawała mnie wieża Rigonda Bolszoi i łotewskie kolumny o łącznej objętości jednego kubika.

- Ten pokój próbuje odtworzyć moje dziecięce marzenia

o rodzinnym domu. Wyobrażałem sobie, że będziemy mieszkać w Leningradzie, że mama będzie nauczycielką

i że będziemy mieć taki sam dom, jaki pokazywali na zdjęciach i w telewizji w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, taki dom marzeń radzieckiego człowieka - wyjaśniłem, starając się nie pokazać zażenowania. Ufałem, że zrozumie, o co mi chodzi.

- Cudowne! Masz też wołgę i urala? A tak na poważnie: to właśnie jest nostalgia, ludzie tęsknią do rzeczy, które były lub wydawały się ważne w ich dzieciństwie, odtwarzają je potem w dorosłym życiu.

- Ale ja nie tęsknię do pionierskich czasów ani do komsomołu - zaproponowałem.

Nie przyznałem się, że w rogu hali Ryżkowa w Vancie stoi moja wołga, którą ciągle zamierzałem wyremontować. Jelenia z jej maski, emblemat firmy, trzymałem na swoim biurku jako ozdobę, obok małej głowy Lenina. Włodzimierza Iljicza musiałem wreszcie schować, bo straszyl mi klientów. Zastanawiałem się, czy mógłbym opowiedzieć Marji o zapachu mojej wołgi, o desce rozdzielczej, której górna powierzchnia była przezroczysta, tak że w ciemności w przedniej szybie odbijało się niebieskie podświetlenie zegarów, i o tym, że w jej dętkach trzymam jeszcze radzieckie powietrze.

- Nie, na pewno nie wprost, ale kopiujesz i cenisz te wartości, które wówczas ci wpojono, i te dobre sprawy pozostaną w twoim umyśle dobrymi sprawami, do których warto dążyć - wyjaśniła Marja, choć zdążyłem już niemal zapomnieć, o czym mówi.

Marja Takala rozumiała zaskakująco wiele spraw. Chyba mógłbym jej jeszcze niejedno opowiedzieć, nastroić gitarę i zaśpiewać coś po rosyjsku, tak że potrafiłaby jedynie powtarzać to swoje „cudownie” - lecz może jeszcze nie teraz.

Znalazłem się w zdecydowanie nieodpowiednim miejscu. Mieszkanie na Drugiej Linii było przepełnione i głośnie. W dużym pokoju kilka osób dziwnie podrygiwało do jakiejś muzyki, w kuchni pito na wyścigi czerwone wino. Na stole w bezładnie porozstawianych miskach były sałatki, kromki bagietki i kawałki sera. Na balkonie tłoczyli się palacze.

Tu i ówdzie wychwytywałem fragmenty rozmów, lecz tak były naszpikowane bezmyślnie wtrącanymi wyrazami obcymi, że nie nadążałem i byłem zawsze o kilka słów spóźniony. Czuję się głupi, stary i sam jak palec.

Marja przedstawiła mnie wszystkim dwudziestu uczestnikom zabawy. Teraz z kieliszkiem wina w ręku krążyła od grupki do grupki. Co pewien czas patrzyła na mnie, a wtedy unosiłem swój kieliszek i udawałem, że się dobrze bawię. Kilka kobiet uprzejmie zamieniło ze mną parę słów, ja jednak z równą uprzejmością unikałem otwartego flirtu, choć czułem, że wzbudzam zainteresowanie. Lustrowały mnie badawczo, tak że niemal nieświadomie nabrałem powietrza w płuca, napiąłem mięśnie piersiowe i stałem sztywno jak stary gimnastyk. Jednak szybko sprowadziłem się na ziemię - przecież interesuję ich wyłącznie jako okaz postradzieckiej imigracji.

Zazwyczaj nie palę, ale musiałem sobie wymyślić jakieś zajęcie, więc wyszedłem na balkon na papierosa. Wysepiłem fajkę, oparłem się o balustradę i zacząłem oglądać biurowiec po drugiej stronie szosy, siedzibę władz dzielnicy. Fasada miała tysiąc i jedno okno i w kilku paliło się jeszcze światło. Zastanowiło mnie to.

- I co tam, panie kolego z Kraju Rad? - zagadnął mnie przeciętnie wyglądający gość w okularach. Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo już rozpoczął wykład. - To była bardzo osobliwa decyzja Koivista, żeby nadać Ingrom status repatriantów. Teraz są ich tu tysiące i tyleż z nimi problemów. A ruska Karelia pustoszeje, bo ci najtrzeźwiejsi, czyli nasi kochani krewniacy, walą do nas drzwiami i oknami. - Co nie znaczy, że twój przyjazd tutaj był błędem - dodał po chwili.

Odczytałem to tak, że widzi to zupełnie inaczej - że ludzi mojego pokroju powinno się niezwłocznie odstawić za wschodnią granicę.

- No i powiedz, byłeś tam w wojsku i co, miałeś jakieś trudności przez to, że nie jesteś Rosjaninem, czy co ci tam w ogóle w paszporcie wpisali, że jaka narodowość? A może twój stary był jednak sprytny i w porę został Ruskiem i porządnym obywatelem? A może nawet zapisał się do partii? O ruskich więzieniach i o ruskim wojsku krążą takie słuchy, że wszystkich nieRusków tam gnębia, że jest na nich fala i że jebią ich w dupę - pieprzył dalej swoje.

Przypominał mi Wasilija Sołowiowa, gościa, który przyjechał na studia do Leningradu z Buchary i mieszkał z nami na czteroosobowej stacji. Wasilij jak się napił, to regularnie dostawał po mordzie. Podchodził do jakiegoś dryblasa i zaczynał z niego szydzić: „Co za głupek, od razu po gębie widać...”. Uprzykrzał się tak długo, że nawet najspokojniejsi tracili panowanie nad sobą i w końcu walili go w pysk. Sołowiow zbierał się z podłogi, a jeszcze mrucał pod nosem: „Trzeba być głupkiem, żeby bić słabszego”. Wasilij był największym wrogiem samego siebie - podobnie jak ten palant.

- Nie byłem w więzieniu, ani w Rosji, ani w Związku Radzieckim, w paszporcie miałem wpisane, że jestem Finem, podobnie jak mój ojciec, który był kandydatem w Komitecie Centralnym - odpowiedziałem, siląc się na spokojny ton. - W armii byłem niecałe dwa lata, resztę odsłużyłem na studiach. Studentów albo zwalniano ze służby w ogóle, albo kierowano na specjalne szkolenie. Mnie skierowano.

Nie chciałem być głupkiem, który bije słabszego. Ocenilem, że mój rozmówca waży jakieś sześćdziesiąt kilo, ja miałem blisko dziewięćdziesiąt. Pochyliłem się nad nim.

- W koszarach ludzie dzielą się na dwie kategorie. Na tych, co jebią w dupę, i tych, co są w dupę jebani. To jest taka, rozumiesz, teoria względności, bo wszyscy mają przejebane, ale ci pierwsi są we względnie lepszej sytuacji od tych drugich. Zależy zresztą, co kto lubi.

- Kurwakurwa, Rusek zaczyna się stawiać! - Okularnikiem aż zatrzęsło.

Palacze na balkonie przyglądali się nam w milczeniu. Gość nie wiedział za dobrze, co powiedzieć, i nie miał pomysłu na kolejny ruch. W końcu postanowił uderzyć butelką od piwa. Pochyliłem się i kantem dłoni walnąłem go w nadgarstek, chwyciłem lewą rękę i wykręciłem do tyłu. Dopchnąłem go do balustrady i, wykręcając mu jeszcze lewy nadgarstek i trzymając go za pasek spodni, zmusiłem do wychylenia się na zewnątrz.

- Mam dużą sympatię dla właściciela tego nissana. Tylko dlatego cię nie zrzucę.

Przyspieszenie miałbyś dziewięć i osiemdziesiąt jeden setnych na sekundę do kwadratu. Nie dałbyś rady wyhamować, choćbyś miał nie wiem jakie abeesy i poduszki powietrzne - wycodziłem mu do szyi. - Teraz odstawię cię z powrotem na balkon, a ty zachowasz spokój, rozumiemy się? Zaczniemy się śmiać na głos, to sobie pomyślą, że to tylko takie wygłupy, i nie stracisz twarzy. Jasne?

Okularnik pokiwał energicznie głową, więc wciągnąłem go z powrotem. Drżał, ale posłusznie zarechotał. - Kurwa mać, Karppa, trochę przegiąłeś, to już nie było śmieszne. Muszę się napić - powiedział i zniknął w mieszkaniu.

W drzwiach balkonu stanęła Marja, podeszła do mnie. Obróciliśmy się w stronę ulicy, oparliśmy o balustradę. Pociągnęła łyk z kieliszka i skrzywiła się, ale nie z powodu wina.

- Czy to było potrzebne? Ilkka po pijaku zawsze taki jest i nie warto się nim przejmować. Czy zawsze zachowujesz się jak goryl? - Jej głos stał się nagle oskarżycielski i wbiła we mnie swoje ciemne oczy.

- Nie zawsze. Ale sama chyba widzisz, że ta ekipa traktuje mnie właśnie tak, jakbym nim był. Gadają piramidalne

bsdury i gdzieś mają innych. Kiedy ja coś mówię, moim zdaniem całkiem niegłupiego, w odpowiedzi słyszę: „Naprawdę?”. Zaczynają dziwnie patrzeć i pytać, czy rzeczywiście tak

sądę. Dają do zrozumienia, że gadam od rzeczy, i dalej nawijają swoje. Bo byłoby dużo lepiej, gdyby ludzie mojego pokroju zajmowali się sprzątaniami, tak jak do tej pory. Marja stała w milczeniu, po chwili wsunęła mi dłoń pod marynarkę, na plecy. Masowała mnie delikatnie, palce niemal niewyczuwalnie kreśliły miękkie kręgi; pewnie bardziej je sobie wyobrażałem, niż naprawdę czułem.

- Dobrze cię rozumiem, choć nie ze wszystkim się zgadzam. Nie ulega wątpliwości, że patrzysz na tę sprawę z własnego, ograniczonego punktu widzenia. Ale nie możesz zrzucić ludzi z balkonu, choćby ci mówili nie wiadomo co. A ta ekipa tutaj jeszcze nie zaczęła cię nawet na dobre lekceważyć.

Marja znów się zamyśliła, ale po chwili milczenia uśmiechnęła się i rzekła:

- A może musiałeś mi pokazać, jaki z ciebie mężczyzna? Nie zapominaj, że jestem wymancypowaną, nowoczesną kobietą i takie testosteronowe demonstracje siły na mnie nie działają.

Spojrzałem jej w oczy; w ciemności jej źrenice były rozszerzone.

- Żyję już trochę na tym świecie i wiem, że działają. Czy może wolałabyś stąd wyjść z jakimś bibliotekarzem?

- Nie drwij sobie, bo jeszcze tak zrobię. Co ty chcesz od bibliotekarzy?

Siedemnaście xxx

Szliśmy wzdłuż hali przy placu na Hakaniemi. Marja zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Metro już nie kursuje, a autobusy o tej porze to żadna przyjemność. Może zanocowałam u ciebie?

- No, czemu nie. Pościelę ci na kanapie - odpowiedziałem z udawaną powagą. Nie zdążyłem się jednak nacieszyć tą myślą, bo na chodnik przed nami zjechał biały golf.

- A Karppie tylko kobiety w głowie - z uchylonego okna dobiegł mnie głos Korhonen. Za kierownicą siedział Parjanne. Powiedziałem Marji, że ci dowcipnisie to znajomi z policyjnego zespołu siatkarskiego. Poprosiłem ją, żeby została trochę na boku.

- Tak, tak, a ulubiona dyscyplina naszego Viktora to kobieca noga - skwitował Korhonen.

- Ale to powinieneś wiedzieć: jak mają na imię bracia Klimenko? Łatwo zapamiętać, bo są wypisane na kartoniku marlboro: Venia, Vidia, Vicia.

Korhonen wysiadł z auta, chwycił mnie za ramię i zaprowadził pod ścianę hali.

- Wiem, że temu twojemu Karpowowi ktoś zakosił towar za milion marek, lekko licząc.

Marlboro czy machorka, jeden pies. A Jurę Kozłowa poćwiartował na wydmach niedaleko motelu w Lapinjaryi. Jedna dziwka

zeznała, że widziała morderców na stacji Teboila, czyścili buty z krwi i rzucali worki z mięsem do bagażnika. Ale tych koleś nie ma już w Helsinkach, a nawet jeżeli wrócą, to na innych papierach. Ta panienka też już nam nic nie powie, przeniosła swój kramik w zupełnie inny rewir.

Korhonen chwycił mnie za kłapy marynarki i przyciągnął tak blisko do siebie, że czułem na twarzy jego ciepły oddech, a w nosie zapach jedzenia i dymu tytoniowego.

- Byłem u Jaaka Lillepuu i powiedziałem mu, że wiem, że to on zabił Kozłowa i ukradł towar. Śmiał mi się prosto w oczy i dmuchał dymem w twarz. On wie, że nie mam na niego haka, najmniejszego pieprzonego dowodu. Ludzie mówią mi różne rzeczy, ale nikt nie pójdzie do sądu zeznawać. - Rozłóż teraz ręce i wyglądaj tak, jakbym cię o coś pytał. Parjanne nie musi wiedzieć, o czym gadamy - syknął Korhonen. - Czyli do wiadomości twojej i całej reszty. To był Lillepuu, to pewne.

Korhonen mnie puścił, poprawiłem marynarkę i podszedłem do Marji. Golf zgrzytnął progiem o krawężnik, gdy Parjanne zjeżdżał na jezdnię.

- A ty, panienko, uważaj: kiedy następnym razem zobaczę cię z tym gościem, to mogę cię zamknąć za zoofilię - rzucił głośno Korhonen przez otwarte okno. Na pewno powtórzył w samochodzie swój tekst i śmiał się z niego jeszcze daleko za zakrętem.

- Co to miało znaczyć? - Marja była zdumiona.

- Taka trochę zabawa - odpowiedziałem wyczerpująco i ująłem ją za dłoń.

Doszliśmy na róg placu i wtedy zobaczyłem, że przed moim biurem stoi czarne bmw.

Przyciągnąłem Marję do

siebie i zmieniłem kierunek marszu, tak że weszliśmy za zamknięty o tej porze uliczny bar.

- Jak tu romantycznie - zażartowała Marja.

- Posłuchaj, sytuacja jest poważna, a kiedy mówię, że sytuacja jest poważna, to tak właśnie jest - powiedziałem bez cienia uśmiechu. - Przed moim biurem stoi samochód, a w środku siedzi, jeśli dobrze zgaduję, trzech Estończyków. Na pewno byli już w moim mieszkaniu i wiedzą, że gdzieś wyszedłem, bo moje volvo stoi na ulicy. Więc czekają, aż wrócę. Nie wierzę, żeby chcieli mnie zabić, a w każdym razie nie tutaj. Ale najwyraźniej mają do mnie jakąś sprawę.

Wysupłałem z kółka dwa klucze. - Weź je i wejdź do szóstej klatki. Przejdź na stronę mojego domu, wejdź do klatki i wjedź na samą górę. Nie wchodź do mojego mieszkania, tylko czekaj tam na górze. Jeśli zaczniesz się coś dziać, tymi kluczami otworzysz wszystkie bramy na całej ulicy. Jeżeli się nie zjawię w ciągu półgodziny, zadzwoń do Korhonen, tego policjanta, którego przed chwilą spotkaliśmy. Dam ci jego numer.

Marja kiwała głową, ale o nic nie pytała, więc nie musiałem jej powtarzać instrukcji.

Wstukała do swojej komórki numer Korhonen.

- Niedługo będę. I głowa do góry, moje życie na co dzień nie wygląda tak źle - rzuciłem bez troski na pożegnanie. Marja się uśmiechnęła, mruknęła obojętne „na razie” i poszła.

Ruszyłem przez plac i zmierzając w stronę Domu Metalowców, zastanawiałem się, czy wdepnąłem w gówno po kostki, czy raczej tkwię w nim już po uszy. Tak czy owak, poziom w szambie się podnosił. W nagrzanym samochodzie siedziało sobie trzech gości i nie zamierzało odjechać,

dopóki nie wrócę do domu albo do biura. Równie dobrze więc mogliśmy się spotkać od razu.

Na rogu Domu Metalowców obok postoju taksówek skręciłem w stronę Merihaki [Osiedle wielopiętrowych domów niedaleko Hakaniemi].

Przeszedłem jakieś dwieście metrów, zrobiłem w tył zwrot i zbliżając się do Zielonego Przylądka [Viherniemenkatu - krótka ulica przy placu Hakaniemi.], przywarłem do ściany kamienicy. Na rogu zrobiłem głęboki wdech, pochyliłem się i wyrzałem ostrożnie na ulicę. Czarna beemka stała cicho na swoim miejscu, ze zgaszonym silnikiem.

Pomyślałem, że co pewien czas muszą zapuszczać silnik, bo inaczej temperatura w środku spadłaby za bardzo i zaparowałyby szyby. Mój samochód stał najbliżej mnie, za nim toyota i na końcu czarne bmw. W bagażniku volviaka trzymałem broń.

Schowałem się za róg kamienicy. Wyciągnąłem telefon i wyszukałem w pamięci numer radiotaxi. Na postoju przy Domu Metalowców nie było taksówek, więc przełączyli mnie automatycznie do centrali. Poprosiłem o samochód na Zielonego Przylądka 6.

- Zamówienie numer 614, dziękuję - potwierdziła kobieta.

Taksówka przyjechała w ciągu pięciu minut. Zawróciła na placyku na końcu ulicy i zatrzymała się kilka metrów przed beemką.

Pobiegłem skulony za moje volvo, przekręciłem kluczyk w zamku bagażnika i uchyliłem klapę na tyle, by wsunąć do środka rękę. Mogłem mieć tylko nadzieję, że Estończycy nie zobaczą w bocznych lusterkach światła bagażnika. Namacałem torbę z narzędziami obok koła zapasowego, wyciągnąłem z niej brezentowy worek, wyjąłem go i delikatnie zamknąłem klapę. W środku miałem chińską podróbę niemieckiego SIG sauera, dużego, ale dobrego i taniego pistoletu.

Ocierając się o zaparkowane samochody, przeszedłem zgięty wpół do czarnego bmw i szarpnąłem klamkę od strony kierowcy. Jaak Lillepuu niemal się nadział twarzą na lufę pistoletu.

- Tere, kuis manki? [Cześć, jak leci? (est.-kar.)] Kaž chłopakom wziąć taksówkę, niech jadą popatrzeć na hokeja, są eliminacje. A my tu sobie chwilę pogadamy. Jeśli nie, to będziesz potrzebować dobrego dentysty, bo już mi się cholernie ręka trzęsie. Zaraz mnie weźmie skurcz.

Lillepuu patrzył to na mnie, to na mój pistolet. Musiał zezować, aby dostrzec kątem oka przyciśniętą do twarzy lufę, ale nie było mi do śmiechu. Jego ludzie zamarli w geście Napoleona: obaj wsunęli ręce pod poły bluz, lecz nie zdążyli dosięgnąć kabur pod pachą.

- Chłopaki, bierzcie taryfę i jedźcie na Neste przy zoo. Dojadę do was. Bez obawy, Karppa mnie nie zabije. My też nie po to tu przyjechaliśmy - wyjaśnił po fińsku bardziej mnie niż swoim ludziom. Ci wysunęli powoli ręce spod bluz i z nienaturalnie sztywnymi ramionami poszli do taksówki, która na pożegnanie wystrzeliła czarną chmurą wysokoprężnej sadzy.

- No - zagadnąłem Lillepuu. Siadłem z tyłu z pistoletem w ręku. Jaak pozostał na swoim miejscu i trzymał dłonie na kierownicy.

- Przyjechaliśmy ci tylko przypomnieć o tym, o czym już rozmawialiśmy na promie. Ja mam swoje interesy i tobie nic do tego. Skoncentruj się na wyjaśnieniu tej sprawy z Sirje, mogę ci nawet za to zapłacić. Bo ja nie mogę, rozumiesz... Jak się przy okazji coś wyda, to ja nie będę mógł pójść na policję, bo wszystko i tak przeinaczają.

- Dziękuję, ale w jednej i tej samej sprawie przyjmuję zlecenia tylko od jednego zleceńodawcy. Tym razem jest nim Aarne Larsson.

Lillepuu przez chwilę nic nie mówił. - W takim razie w porządku. Zajmij się zatem...

Larssonem. Mówię ci, u niego znajdziesz rozwiązanie tej sprawy.

Odwrócił się, nie odrywając rąk od kierownicy. Nie wyglądał na przestraszonego, choć lufa pistoletu wodziła za jego nosem jak na centymetrowej smyczy. Zacząłem powoli wysiadać z auta, trzasnąłem drzwiami i ruszyłem rakiem w stronę domu. Lillepuu zapuścił silnik i ruszył płynnie i cicho, bez wyglądania przez okno; przyspieszał równomiernie i po chwili po jego beemce pozostała już tylko chmura pary z rury wydechowej i oddalający się pomruk sześciolitrowego silnika.

Szedłem schodami do góry, starając się stapać nieszkodliwie głośno, z naturalnym dźwiękiem. Zawołałem cicho Marję, wyjrzała spomiędzy poręczy na najwyższym piętrze.

- Jeszcze nigdy się tak nie bałam. Co to byli za ludzie i co ty tak naprawdę zrobiłeś, co? - natarła na mnie.

- Ciągle szukam tej estońskiej dziewczyny, a jej brat to taki większy gangster. I nie podoba mi się, że wypytuję

o sprawy, które go dotyczą - wyjaśniłem. Ująłem jej dłoń

i zacząłem masować jej palce. - Najbardziej bałem się tego, że stąd uciekniesz. Niejeden by spanikował dużo wcześniej niż ty.

- Nie byłam w stanie się ruszyć, byłam zupełnie sztywna ze strachu. Kurwa mać! - Na ostatnie słowa położyła szczególny nacisk.

Marja Takala uplasowała się wysoko na skali wytrzymałości psychicznej.

W nocy miałem sen:

Jestem w podstawówce. Trwa lekcja plastyki, mamy narysować las - ja rysuję sosnę.

Zdążyłem się już pochwalić, że umiem rysować gałęzie i igły zupełnie jak prawdziwe, gdy nagle się okazuje, że wcale mi to nie wychodzi i sosny wyglądają jak brązowe kaktusy.

Nauczycielka podchodzi, chce pomóc, to młoda kobieta w niebieskim kostiumie, w klapie brązowa ozdoba, włosy ufryzowane na kulę. Ma twarz Sirje Larsson. W głębi sali, w ławce dla niegrzecznych chłopców siedzi Jaak Lillepuu. Ledwo się w niej mieści. „Rozwaliłeś mój zegarek, zapłacisz mi za to”, szepcze mi do ucha, czuję jego smrodliwy oddech i widzę zepsute zęby. Boję się.

Budzę się w swoim łóżku. Marja ściągnęła kołdrę na siebie, otuliła się nią szczelnie, zwinęła w środku w ciepły kłębek. W nocy śmiała się z mojej rosyjskiej pościeli, z poszwy na kołdrę,

do której wsuwa się koc przez umieszczoną pośrodku dziurę w kształcie rombu. Nie przyjęła moich wyjaśnień o genialności takiego systemu i nie pomogło mi nawet powołanie się na fakt, że Rosjanie od dziesięcioleci latają w kosmos.

Czułem się wyspany, myśli miałem jasne i wyraźne. Zegar pokazywał wpół do szóstej, miasto już wydawało poranne pomruki. Przytuliłem się do Marji, wyglądaliśmy jak łyżki w pudełku, jedna w drugiej. Wsunąłem jej rękę pod talią i ująłem za biodro, drugą położyłem na jej piersi, przycisnąłem ją do siebie. Marja wyczuła przez sen moje ciało i dotyk, lecz nie obudziła się, nie sprzeciwiła, wtuliła się biodrami jeszcze mocniej we mnie. Sposepniałem. Czyżby to było dla niej coś tak normalnego, że nawet się nie wzdraga, gdy w nocy ktoś się do niej przybliży?

Przymknąłem powieki i zacząłem sobie powtarzać, że jeszcze zasnę. Chciałem raz jeszcze obudzić się koło Marji, z głową pełną jasnych myśli.

W ciemnych podwórzach i pod stertami piachu nie pozostało nawet najmniejsze wspomnienie śniegu. Zamiatarki brzęczały jak przedwcześnie zbudzone osy, wzbijając kurz na helsińskich ulicach. Czułem się beztrosko i swobodnie, choć czasem mój wewnętrzny Stachanow przypominał mi oskarżycielskim tonem o niedokończonych sprawach, a zwłaszcza o sprawie Sirje Larsson. Jej mąż zapłacił mi dobrze, co najmniej za miesiąc z góry, lecz wynikami moich poszukiwań lepiej było się nie chwalić.

Mama wróciła do domu. Sporo musieliśmy się z Aleksiejem natrudzić, aby się zgodziła na kobietę, która raz w tygodniu będzie jej pomagać w sprzątaniu. Ludzie Karpowa wzięli na siebie dostawę zakupów i zapewnienie opału.

Zadzwoiłem do Aleksieja. Był jeszcze w Sortavali, szykował się na pociąg do domu, do oddalonej o tysiąc kilometrów moskiewskiej powszedniości. Nie mówił nic o swoich planach emigracyjnych, a i ja nie pytałem.

- Słuchaj, Witja, miło było cię zobaczyć i znów pogadać - zdobył się jednak na koniec. - Mam nadzieję, że się będziemy spotykać... nie tylko na pogrzebach - powiedział trochę enigmatycznie.

Choroba matki uderzyła w niego bardziej niż we mnie. Nie chciał mówić głośno o śmierci.

Nawet matka się na niego złościła, bo chciała, jak to ona, na spokojnie ustalić wszystkie sprawy. Umyśliła sobie skromny pogrzeb, powiedziała, gdzie w komodzie pochowała książeczki oszczędnościowe - choć jakąż te ruble mają teraz wartość, sama się z nich śmiała - zaklepała sobie na cmentarzu miejsce obok ojca i przypomniała nam, że doczesne szczątki nie mają wartości, więc nie mamy na nich stawiać żadnej kaplicy ani sadzać kwiatów.

Potem musiałem jeszcze raz zadzwonić do Sortavali i to była ta trudniejsza rozmowa. Przeszedłem przez plac do kiosku, kupiłem kartę telefoniczną, poszedłem do ulicznego automatu i wykręciłem numer Karpowa.

- Halo?

Bez przedstawiania się powiedziałem krótko:

- Pewniak: papierosy, brakujące „c” i tak dalej - to Lillepuu.

- Słuchaj, gościu, wykręciłeś zły numer. Nie rozumiem słowa z tego, co mówisz - potwierdził Karpow.

Podarłem kartę i wrzuciłem kawałki do różnych śmietników. Paragonu też nie zamierzałem zatrzymać dla fiskusa. Mimo że moi przyjaciele i pracodawcy bardzo często zmieniali karty w swoich komórkach, należało zważać na słowa. Podejrzywałem, że w policyjnych kazamatach roi się od gości ze słuchawkami na uszach, których jedynym zajęciem było podsłuchiwanie rozmów telefonicznych i wyławianie z nich strzępków informacji. Dlatego należało zachować szczególną ostrożność, gdy dzwoniło się z czymś takim do sądu polowego, który wydawał jedynie wyroki śmierci.

Stachanow znów mi szeptał o Sirje, więc próbowałem wyrobić dzienną normę. Przeczesalem całą swoją siatkę, ale nie dowiedziałem się niczego nowego ani o Sirje Larsson, ani o Jaaku Lillepuu. Pytałem o jej powiązania ze Szwecją, rozpuściłem wieści w estońskich kręgach w Sztokholmie. Byłem przekonany, że jeśli Sirje uciekła na Zachód, wcześniej czy później dowiem się o tym.

Zajęć mi nie brakło nawet i bez Sirje. Wypisywałem i tłumaczyłem Ruuskanenowi dokumenty na potrzeby bezcłowego handlu samochodami - sprowadzanymi z Niemiec i sprzedawanymi do Rosji mercedesami, bmw i audi - i w międzyczasie załatwiłem dwukrotnie transport metali kolorowych do portu w Kotce. Ryżkow podesłał mi do biura człowieka, któremu miałem pomóc w sporządzeniu podwójnego rachunku. Na potrzeby cła i urzędu podatkowego przygotowaliśmy jeden komplet dokumentów, a prawdziwa wartość umowy i przewozu znalazła się w drugim.

Załatwiałem te sprawy za gotówkę, bez wystawiania rachunków. Viktor Karppa nie angażował się przecież w nielegalną działalność. A jeśli już, to robił to niechętnie i za duże pieniądze.

Za największego przestępcę z moich ówczesnych klientów uważał się chyba Witalij Ponomariow, grający zawodowo w Espoo hokeista z Czelabińska. Mówił tylko po rosyjsku, a mijający sezon zimowy był dla niego pierwszym w ogóle wyjazdem zagranicznym. Zatelefonował do mnie, bo bezskutecznie usiłował się skontaktować ze swoim agentem, mieszkającym w Finlandii Rosjaninem.

- Jest źle - stwierdził i po głosie poznałem, że Ponomariow rzeczywiście się boi.

- W drzwiach stanęli jacyś goście, wylegitymowali się i zażądali jakichś pozwoleń. Bumagi jakiejś chcieli! A następnego wieczoru znów ktoś zadzwonił do drzwi i przez judasza zobaczyłem dwóch żołnierzy. Nie odważyłem się otworzyć.

Ponomariow był obrońcą znanym z twardej gry, a musiałem uspokajać go jak dziecko.

Powiedziałem mu, że

wszystkie papiery ma w porządku, ma pozwolenie na pobyt i pracę, zapłacone podatki i czynsz. Wszystko powinno grać. Obiecałem rzecz wyjaśnić.

Zadzwoniłem do klubu, na policję w Espoo, próbowałem też dodzwonić się do agenta Ponomariowa, wreszcie poszedłem popytać sąsiadów. Hokeista mieszkał w Espoo na Matinkyli [Matinkyla - dzielnica Espoo nad samą Zatoką Fińską.] i tam też go znalazłem.

- Spokojna głowa, Witalij - uspokoiłem go. - Ci goście od bumagi sprawdzali tylko, czy zapłaciłeś abonament telewizyjny. Klub obiecał zająć się tą sprawą. Masz telewizor?

Ponomariow skinął głową.

- A ci żołnierze to była taka akcja dobroczynna. Poborowi chodzą czasem po domach i zbierają pieniądze.

Z Espoo wróciłem do Helsinek, w Ruoholahti [Zachodnia dzielnica Helsinek.] skręciłem na Kamppi [Dzielnica obejmująca centrum Helsinek.]. Na rogu Forum [Duży dom towarowy w centrum Helsinek.] stanąłem na czerwonym świetle. Przechodnie niemal biegle, w środku grupki spieszącej do domu towarowego mignęła mi ciemnowłosa kobieta. W zasadzie to była tylko rozmyta plama kolorów i bardziej wyczułem, niż zobaczyłem twarz i znikający z pola widzenia profil. Z rykiem silnika wjechałem na chodnik, za szybę volvo wsadziłem tabliczkę z napisem: OBSŁUGA OBIEKTU - FIRMA ELEKTRYCZNA KETOŁA i rzuciłem się w pościg za kobietą.

W holu było tłoczno, ludzie jechali do góry, z góry, szli w prawo, w lewo, przybliżali się do mnie i oddalali. Zlustrowałem całą przestrzeń spokojnym spojrzeniem, sektor po sektorze, szukałem krótkiej czerwonej kurtki i ciemnych

włosów. Najpierw wyłowilem z tłumu klubową bluzę z napisem HIFK [Helsiński klub hokejowy o czerwonych barwach.], czerwoną czapkę i szal w witrynie oraz czerwone litery

reklamowe, aż ją dostrzegłem - wjeżdżała ruchomymi schodami na drugie piętro, właśnie schodziła z taśmy.

Rzuciłem się za nią, rozpychając ludzi na boki i powtarzając „przepraszam-przepraszam-sorry-sorry”, wbiegłem schodami do góry. Zobaczyłem kobietę na górnym tarasie, stała pochylona przy oknie sklepu sportowego, baner za jej plecami wielkimi literami krzyczał o gigantycznej obniżce cen. Zwolniłem do leniwego truchtu, powiedziałem cicho „Sirje” i ująłem ją delikatnie za ramię. Nie krzyknęła ani nie pisnęła, odsunęła się tylko, spoglądając na mnie pytająco. Była to piękna kobieta, lecz nie Sirje Larsson.

- Przepraszam... Wziąłem panią za kogoś innego, przepraszam. - Cofnąłem się, odwróciłem i ruszyłem z powrotem do samochodu. Postanowiłem się spotkać z Esko Turunenem.

Przechodnie patrzyli na mnie oskarżycielsko, gdy wycofywałem volvo ze środka chodnika z powrotem na jezdnię. Z Mannerheima skręciłem w Lónnrota i przez Fredę dostałem się na Lapońską. [Lónnrotinkatu (ulica Lónnrota) i Fredrikinkatu (ulica Fredrika, Freda) - ulice w samym centrum Helsinek.]

Zatrzymałem się i na wszelki wypadek od razu wziąłem ze sobą torbę. Już po dziesięciu minutach brama się otworzyła i na ulicę wyszła spokojnie znajoma z poprzedniego razu, z tą samą znudzoną miną co ostatnio. Przywitałem ją jak sąsiadkę, coś tam wymruczała w odpowiedzi. Tym razem nie miała we włosach gumek tylko osobliwie wyglądające spinki. Wyjrzałem na podwórze, w mieszkaniu Esko Turunena paliło się światło. Wszedłem cicho po schodach na drugie piętro i obsłuchałem drzwi stetoskopem. W środku grała muzyka i dudniły zbliżające się kroki. Przestraszyłem się, że ktoś zaraz wyjdzie z mieszkania, trzaśnie mi drzwiami prosto w nos i zacznie zadawać kłopotliwe pytania o mój lekarski sprzęt, ale kroki przeszły w głośny bulgot, szum toalety i puszczanej z kranu wody.

Zadzwoiłem energicznie. I jeszcze raz. Odczekałem jakieś dziesięć sekund i zastukałem. Przytknąłem ucho do drzwi, potem jeszcze raz obsłuchałem je stetoskopem. Turunen nadal leciał sobie w kulki.

Na chwilę przysiadłem na schodach. Będąc na podwórzu, widziałem, że Turunen miał uchylone okno, a balustradę galeryjki przy klatce schodowej od jego parapetu dzielił zaledwie dobry metr. Nie był to żaden wyczyn, ale też nieszczególnie mi się paliło do akrobatyki. Nie lubię wysokości i wszelkie wieże widokowe i diabelskie młyny to dla mnie niepojęta rozrywka. Ale mus to mus. Wziąłem głęboki wdech i wyszedłem cicho na balkonik.

Dobrze, że było ciemno. Nawet gdyby ktoś wyjrzał na podwórze, nie zobaczyłby mnie, bo światła kierowały się na drzwi i pojemniki na śmieci. Ze ściany na galeryjce wystawał pręt do suszenia prania. Sprawdziłem jego wytrzymałość, szarpiąc i podciągając się na nim - utrzymał mnie. Wyciągnąłem z torby linę i jeden koniec przywiązałem do pręta. Oplotłem linę wokół lewego ramienia, przełożyłem za plecami, a zbuchtowaną resztę chwyciłem w prawą dłoń. Wszedłem na balustradę. Wzrok wbiłem w okno Turunena, odchyliłem się, naprężając linę, i odbiłem się obunóż, odskakując od ściany, tak jak nas uczyli w wojsku. Stopą sięgnąłem parapetu, pociągnąłem mocno sznur, odzyskując pion, i chwyciłem ręką za wnękę okna.

Okno było jeszcze starego typu, można je było otwierać na obie strony; przypomniały mi się rysunki techniczne tłumaczone zaraz po przyjeździe do Finlandii, kiedy pracowałem jako pomocnik w brygadzie ciesielskiej. Odblokowałem haczyki i wślizgnąłem się do środka. Byłem w kuchni. Stałem nieporadnie na krześle i musiałem kilka razy podskoczyć na jednej nodze, aby odzyskać równowagę. W kuchni Turunena było pusto i schludnie. Stół był sprzątnięty, cerata wytarta do czysta, w zlewie nie dostrzegłem żadnych brudnych naczyń. Przeszedłem dalej, Esko Turunen stał pośrodku dużego pokoju na czerwonym kraciatym dywaniku. Miał na sobie czarne spodnie i czarną koszulę.

- Chyba nie usłyszałeś dzwonka - powiedziałem najbardziej posępnym z moich tonów komornika.

Turunen się wyprostował, był to spory mężczyzna. Naprawdę spory. I to nie tylko wysoki - dwa metry plus minus centymetr - ale także dobrze zbudowany, barczysty, mocny i krzepki... Wszystko w nim było spore, mocne i masywne, a nigdzie nie dostrzegłem choćby grama zbędnego tłuszczu. Z budowy ciała i proporcji przypominał przerośniętego Jezuska z obrazów starych włoskich mistrzów.

Pożalowałem wejścia przez okno i lodowatego otwarcia. Turunen zgniecie mnie zaraz w tych swoich wielkich łapskach jak robaka, zmiążdży, dopychając do ściany tułowiem, lub po prostu ciśnie z powrotem przez okno - i będę mógł mówić o szczęściu, jeżeli wylecę przez większą szybę. Jednak olbrzym przemówił, nim zdążyłem się cofnąć i nieco złagodzić swoje entree sympatycznym trybem przypuszczającym i kilkoma uprzejmymi życzeniami.

- Dajcie mi już spokój. Mówiłem tyle razy, że nie wiem, gdzie jest Sirje. To moja przyjaciółka, przyznaję, i rozmawiamy nie tylko o malarstwie, ale między nami nigdy nie było. Sirje to taka cicha myszka, nie umiałyby nikogo skrzywdzić. Ani ja, za nic na świecie...

Turunen stał nieruchomo ze stopami nieco do wewnątrz i złączonymi przed sobą rękoma. Mówił apatycznie, niemalże cicho i przez nos, jak wszyscy helsińczycy; nosowe, świszczące głoski nadawały jego głosowi nutę niedojrzałości. Zrobiłem krok w przód, Turunen aż podskoczył i uniół ręce, jakby chciał ochronić brzuch. Palce wskazujący i środkowy oraz kciuk prawej dłoni miał zabandażowane, ale oceniłem, że gips sięgał powyżej nadgarstka. - Człowieku, spokojnie-spokojnie-spokojnie! - odezwałem się i prawie wygłosiłem tekst o przyjaźni i solidarności. - Nazywam się Viktor Karppa i usiłuję odnaleźć Sirje Larsson. Kobieta zaginęła i jej mąż, rodzice i brat są poważnie zaniepokojeni. Nie zrobię ani Sirje, ani tobie nic złego. Nie jestem żadnym estońskim gangsterem, dostałem tylko zlecenie odszukania Sirje - próbowałem go uspokoić.

Tym razem Esko Turunen spojrzał na mnie nieco dłużej. Starłem się wyglądać na spokojnego, godnego zaufania człowieka, na agenta nieruchomości, który uśmiecha się ciepło do niezdecydowanego klienta, spokojnie, nie ma pośpiechu, choć chciałby mu krzyknąć prosto w twarz, bierz pan, kurwa, tę kawalerkę, a jak się linoleum nie podoba, to spierdalaj na drzewo, bo za kwadrans mam pokaz mieszkania z sauną, a muszę jeszcze rozstawić te cholerne tabliczki, bo same chodzić nie chcą.

Turunen znowu na mnie spojrzał, jakby zdziwiony.

- Wiem. Zachodzili tu pytać o nią. - Uniósł dłoń, pokazując zagipsowane palce.

- Jaak Lillepuu zachowywał się bardzo przyzwoicie, choć Sirje uczciwie mi powiedziała, kim tak naprawdę jest jej brat. Aarne Larsson to zrobił.

Dziewiętnaście xxx

Siedziałem na pakili w pożyczonej od ruuskanena vectrze i obserwowałem. Dzień wcześniej obstawiałem w renówce antykwariat na Stenbacka. Aarne Larsson zamknął sklep dokładnie o osiemnastej; pojechałem za jego saabem i resztę wieczoru spędziłem na obserwacji zamarłego życia w domu państwa Larssonów. Tak to w każdym razie wyglądało. Po wejściu do domu gospodarz zapalił światła i zgasił je chwilę przed północą.

Ten wieczór zapowiadał się na równie ożywiony. Marjatta Nyqvist ze znajomym seterem wybiegła na przebieżkę, ale nie zamierzałem się z nią spotkać, więc zapadłem się tylko głębiej w fotel mojego opla, schowałem za deską rozdzielczą, aby mnie nie dostrzegła.

Dziwiłem się, że nikt poza nią na tej ulicy w ogóle nie wychodzi z domu.

I tym razem śledziłem przemiany telewizyjnego obrazu w oknach. Światło migotało w tym samym rytmie, próbowałem sobie przypomnieć najpopularniejsze programy wieczorne wszystkich stacji. Pokoje dziecięce pociemniały już przed dziesiątą, rodzice w kuchni szukali jeszcze czegoś na ząb i zaskakująco wielu domowników kładło się spać przed jedenastą. Larsson zgasił światło o tej samej porze, co poprzedniego wieczoru.

Spotkanie z Esko Turunenem powiedziało mi o Sirje chyba nawet więcej niż wizyty na Pakili czy w Tallinie.

Wierzyłem Turunenowi, że byli tylko dobrymi przyjaciółmi, a nie kochankami. Choć Sirje zawsze była nieśmiała i zamknięta w sobie, niemal zahamowana, okazała się jednak na tyle otwarta, że zdecydowała się opowiedzieć mu o swoim dzieciństwie, o szkole i małżeństwie. Turunen nie wierzył, aby Sirje uciekła od męża, albo by musiała się ukryć z jakiegoś powodu. Nigdzie jej nie ciągnęło, nie marzyła o przygodach. Esko przyznał, że Aarne Larsson był człowiekiem surowym i nieszczególnie sobie cenił malarskie hobby żony ani inne tym podobne zajęcia dla mięczaków. Ale był jej mężem i Sirje nie żałowała, że wyszła za niego. Kiedy opuściła kilka zajęć, Turunen do niej zadzwonił, ale odebrał Aarne i poinformował go, że żony nie ma teraz w domu. Niedługo potem zjawił się u niego z pretensjami i wtedy powiedział, że Sirje zaginęła, a gdy Esko zaczął go zapewniać, że o niczym nie wie, Larsson nazwał go pedałem, błaznem i gamoniem, po czym tak mu wykręcił rękę, że Turunen musiał pójść do lekarza i nakłamać, że się przewrócił; dostał dwa tygodnie zwolnienia. „Pracuję na poczcie - wyjaśnił - przy przesyłkach wartościowych. A z naderwanymi wiązadłami i zgniecionymi palcami trudno sortować listy i wypisywać pokwitowania”.

Esko Turunenowi ulżyło, że mógł się tym wszystkim z kimś podzielić. Odwiedził go sam Jaak Lillepuu, ale zadowolili się oświadczeniem, że nie widział Sirje od paru tygodni. Nie jestem typem szczególnie empatycznym, lecz w porównaniu z bratem Sirje musiałem mu się wydać balsamem dla duszy. Nie, Turunen nie umiał wyjaśnić, dlaczego Aarne Larsson go zaatakował. Dobrze przecież wiedział, że Sirje z nim nie romansowała. Może był po prostu podenerwowany, Esko potrafił to zrozumieć.

Byłem tego samego zdania i pomyślałem zarazem, że Turunen ma w sobie coś kruchego i słabego, co łatwo zranić lub urazić.

Znudziło mi się oglądanie śpiącego domu Larssona, namacałem w ciemności kluczyk w stacyjce i już miałem przekręcić, gdy w bocznym lusterku dostrzegłem sunące ulicą czarne, lśniące auto. Przywarłem do fotela, usiłując się wtopić w oparcie i zagłówek. Bmw minęło dom Larssona, po niecałych stu metrach zawróciło i zatrzymało się na dwie minuty obok szarego peugeot. Z okna beemki wychyliła się nieznacznie głowa mężczyzny, który sprawiał wrażenie, jakby rozmawiał z kierowcą peugeot. Uchyliłem swoje okno, ale usłyszałem jedynie znajomy pomruk pracującego na wolnych obrotach silnika.

Bmw powoli ruszyło i nie zatrzymując się przy domu Larssona, dojechało do końca ulicy. W lusterku zobaczyłem rozbłysk świateł stopu, żółte migające światło sygnalizatora na skrzyżowaniu i pospiesznie oddalające się bmw. Peugeot stał, gdzie stał, ja też. Czekałem. Około drugiej pokazał się kierowca peugeot. Wysiadł z samochodu i zaczął rozprostowywać ściernięte od siedzenia kości. Poszedł się wysikać na koniec żywopłotu z głogów, wsadził rękę do kieszeni i minawszy dom Larssona i mojego opla, podszedł aż do skrzyżowania i zawrócił. Sprawiał wrażenie uczciwie rozluźnionego, zupełnie jak złodziej szukający łupu; brakowało tylko, żeby sobie gwizdał. Zastanawiałem się, czy facet o mnie wiedział; ja go wcześniej nie zauważyłem, więc i on niekoniecznie musiał mnie zobaczyć.

Nie znałem tego człowieka Jaaka Lillepuu. Był średniego wzrostu, miał czarne włosy, ogoloną twarz i kolczyk w uchu; ubrany był w niebieską kurtkę, wełniane polo i dżinsy. Wrócił do samochodu i odjechał. Na skrzyżowaniu, podobnie jak czarne bmw, skręcił w stronę autostrady.

W zasadzie niczego by to nie zmieniło, choćby nawet Estończycy wiedzieli, że obserwuję Larssona. Przecież Jaak Lillepuu wręcz mnie do tego namawiał. Dziwiłem się tylko, po co sam obstawia dom szwagra.

wa ziescia Wcześniej rano musiałem pojechać załatwić coś dla Ryzkova w Kouvoli. Kolce zimówek huczały na suchym asfalcie, ale jechało się przyjemnie, nuciłem pod nosem piosenki z radia i rozmawiałem z Marją o wszystkim i o niczym. Gdy poprzedniego dnia zapytałem,

czy nie zechciałyby wybrać się ze mną w małą trasę, już po pięciu sekundach wiedziała, że woli spędzić cały dzień ze mną niż nad swoim wystąpieniem na seminarium. Temat wiązał się podobno z bolszewickim feminizmem i choć znałem tę sprawę z codziennej praktyki, trzymałem mądrze język za zębami.

Po drodze zadzwoniłem do matki, która chwaliła się, że pod ścianą kwitną jej krokusy, choć od Ładogi wieje jeszcze zimny wiatr.

W Kouvoli wysiedliśmy przy dworcu kolejowym i przeszliśmy podziemnym tunelem na środkowy peron. Na poranny ekspres z Petersburga czekało może dziesięć osób. Podszedł do nas mój znajomy z dawnego fińskiego Harlu, który tak jak ja przeniósł się do Finlandii. Ujął moją dłoń obiema rękoma, a dłoni Marji długo nie wypuszczał z ciepłego uścisku; po chwili już nas otoczył swoją serdeczną, śpiewną mową. Pomogłem mu przenieść się z jego Nastią i jakoś osiedlić się w Finlandii. Byli to starsi już ludzie, mieszkali teraz w Kuusankoski i

czekali na odwiedziny siostry żony. W ciągu dwóch minut dziadek zdążył nam wypaplać, co słyhać u dzieci i jak się mają wnuczki.

„Riepin” przyjechał o czasie. W Kouvoli wysiadali nie tylko elegancko ubrani Finowie i młodzi Rosjanie w skórzanych kurtkach, ale także babuszki w chustach i okutani w kozuchy duchowni. Niewysoki mężczyzna w futrzance trzymał pod pachą płaski pakunek zawinięty w brązowy papier, w wolnej ręce niósł małą torbę podróżną ze sztucznej skóry. Pozdrowiłem go krótko, zatrzymał się i ostrożnie postawił przesyłkę na ziemi. Uścisnęliśmy sobie dłonie, wziąłem pakunek i ruszyliśmy razem na parking.

Marja usiadła z tyłu, ja włożyłem pakunek i torbę mężczyzny do bagażnika, po czym otworzyłem mu drzwi pasażera. Zapiał pas dopiero, gdy mu powiedziałem, że w Finlandii nie opłaca się tego nie robić. W lusterku starałem się wypatrzeć, czy ktoś nas nie śledzi. Pojechaliśmy do Vaakuny. Mój cichy rosyjski pasażer dziwił się różowym ścianom hotelu, ale uwierzył mi, że nie będzie mu to z pewnością zakłócać nocnego spoczynku. Wręczyłem mu tysiąc marek, tak jak mi polecił Ryżkow, mężczyzna podziękował i powiedział, że wie, co ma robić. Wysiedliśmy, pożegnaliśmy się, wyciągnąłem z bagażnika jego torbę i brązowy pakunek.

- I to wszystko, po sprawie? - zdziwiła się Marja, gdy ruszyłem sprzed hotelu. - Po to tylko musiałeś wyjechać skoro świt z Helsinek, żeby przewieźć jakiegoś dziadka w Kouvoli z dworca do hotelu?

- To właśnie w społeczeństwie fińskim zdumiewa najbardziej, że nikt się nie chce troszczyć o starszych ludzi - udałem święte oburzenie. Docisnąłem mocno gaz, jechaliśmy w stronę Kuusankoski i krajowej szóstki.

- No, właściwie... nie musisz tego wiedzieć, lecz mimo to ci powiem, bo i tak widziałas całą operację. Ten facet to wcale niezły malarz, ale abstrakcje dziś nie idą, ani w Petersburgu, ani w Helsinkach. Więc maluje pejzaże: plaże nad Ładogą, Valamo, stary Wyborg i tak dalej, a potem sprzedaje je w Finlandii na rynkach i pchlich targach. I z tego żyje.

- Dobra, ale po co ty w tym wszystkim?

- No, ten gość przywozi do Finlandii między swoimi obrazami albo pod płótnami z pejzażem prawdziwe arcydzieła oraz ikony. Ryżkow ma kilku klientów, którzy je zamawiają. Obrazy trafiają na ściany domów w bogatych dzielnicach Helsinek albo na aukcje.

- To facet przetransportuje je jutro do Helsinek? To po co ty tu jeszcze, zawozisz mu pieniądze, czy jak?

- Paczkę zabieramy z powrotem w bagażniku. Miałem przygotowany taki sam pakunek z obrazami na sprzedaż i niewykluczone, że to te same obrazy, między którymi facet przywiózł wcześniej towar. A tę nową paczkę wiozę Ryżkowowi - wyjaśniłem.

Jechaliśmy na Lahti, Marja przez chwilę myślała.

- Przecież przemysł tych arcydzieł to grube przestępstwo. Skąd te ikony pochodzą? - była zgorzonna.

- Z domów. Poganie sprzedają odziedziczone po przodkach wizerunki bogów. Reszta z klasztorów w Valamo, Konevitsie i z innych cerkwi rozsianych po całej Rosji - powiedziałem.

- Cerkwi mają od cholery, więc nie ma obawy, ikon im też tak od razu nie zabraknie. Ani innych eksponatów w muzeach, wystarczy mieć tylko pieniądze. I to wcale nie tak dużo. To taka nacjonalizacja czy prywatyzacja, zależy jak się chce na to patrzeć. Oczywiście, że to przestępstwo, ale ludzie chcą żyć, więc sprzedają, co mają lub co mogą zdobyć.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

- Okej, okej, ci ludzie może kradną, bo nie mają co jeść, ale ty i Ryżkow głodni nie chodzicie. To wy na tym zarabiacie, nie oni - wybuchnęła.

- A czy ja mówiłem, że się nazywam Robin Hood? Możesz być pewna, że i ja sobie nad tym wszystkim głowę łamałem, i wiem, że moja matka miałaby mniej siwych włosów, a i może serce w lepszym stanie, gdybym został inżynierem w Nokii albo rolnikiem w Karelii. Ale nic z tego nie wyszło, ani w Leningradzie, ani w Sortawali, ani teraz w Finlandii. Nie skarzę się i do nikogo nie mam pretensji, ale pozwoliłem sobie także być taki, jaki jestem. Nie żądam, aby mnie tu w Finlandii zatrudniono jako trenera albo specjalistę medycyny sportowej, choć takie mam wykształcenie. Ale nie zamierzam przez dziesięć lat robić pokornie w jakichś kanałach, aby zasłużyć sobie najpierw na prawo bycia prawdziwym Finem. Takiego wała! Zauważyłem, że głos mi stwardniał, zaperzyłem się.

- Śmiać mi się chce, kiedy czytam, że największa przepaść między biednymi a bogatymi to granica między Meksykiem a Kalifornią. Bujać to my, ale nie nas; największa przepaść jest tutaj, w Vartsili, jak się przejeżdża na rosyjską stronę. Tam się dopiero zaczyna brud, smród i ubóstwo, choroby i łachmany. Inwalidzi wojenni bez nóg sprzedają nieużywane lewe buty. I to wszystko jest prawda, a przez ciche akceptowanie tej prawdy ty i wszyscy pozostali bogaci Finowie staje się takimi samymi przestępcami, jak ja.

Marja siedziała w milczeniu i miałem wrażenie, że patrzy przez boczne lustro w nikałą za nami wstęgę asfaltu. Nie widziałem jej twarzy.

- Przepraszam za to kazanie, ale to duża sprawa... za duża dla mnie. Dokąd prowadzi ta moralność i nakaz czynienia dobra, dokąd sięga? Nikogo nie zabijam, nie mam na sumieniu pobić ani napadów, ale jeśli jest sprawa, przez którą jakiś kraj albo bogacz zarobi może trochę mniej, ale za to ja będę miał co jeść, to wtedy w to wchodzę. I śpię w nocy spokojnie. Koniec kropka.

Ściszyłem radio. W „Dziś po południu” był wywiad z jakimś ekspertem i rozmawiano o suszy w Afryce Wschodniej, o programach pomocowych i śmierci głodowej, ale nie chciałem żadnych szumów w tle.

- Jak raz pasowało do tematu - powiedziała Marja i odniosłem wrażenie, że gniew jej mija. Po chwili podjęła: - Powiedzmy, że rozumiem wszystko, co mówisz, i dostrzegam w tym logikę, ale mimo to nie potrafię tego zaakceptować. Nie zamierzam niczego osądzać, bo, jak mówisz, sprawa jest zbyt dużego kalibru i nie sposób powiedzieć, dokąd ten ciąg czy wymóg sprawiedliwych działań prowadzi. Ale złem nie naprawi się zła i tego próbuję się trzymać. Przejechaliśmy w milczeniu kilka kilometrów.

- W porządku, ufam ci - odezwał się w końcu. - A zatem jeśli to, co przed chwilą powiedziałem, to prawda pierwszego stopnia, to teraz posłuchaj prawdy drugiego stopnia: niewykluczone, że w takim Valamo są bardzo zdolni mnisi, którzy umieją malować najzupełniej autentyczne stare ikony, i niewykluczone, że jakiemuś rynkowemu malarzowi najlepiej wychodzą podróbki arcydzieł innych mistrzów. Może to właśnie jest tak.

Marja chwilę nic nie mówiła, patrząc na mnie przez tylne lustro.

- To brzmiało na tyle fajnie, że oszczędź mi, proszę, prawdy trzeciego stopnia. A poza tym to dzięki. Doceniam, że mi to wszystko mówisz.

Uśmiechnęliśmy się do siebie przez tylne lustro.

Dwadzieścia jeden pojechałem do Asikkali i odszukałem na mapie drogę prowadzącą do lotniska Larssonów. Aarne Larsson podkreślił, że domek nie jest całoroczny. A od jego byłej żony Heleny dowiedziałem się, że oboje nadal są jego współwłaścicielami i że latem korzystają z niego na zmianę, tydzień na tydzień.

Drogi stawały się coraz węższe, tu i ówdzie w cieniach leżały jeszcze lśniąca płyty lodu i dla zabawy wchodziłem na zakrętach w kontrolowany poślizg. Marja nie widziała w tym nic zabawnego.

O ostatni odcinek drogi wypytałem w wiejskiej chacie. Gospodarz naprawiał właśnie swojego massey'a, przerwał więc pracę, poszedł za róg obory i pokazał cypel, za którym stał domek Larssonów. Nie pytał, dlaczego go szukamy. Ja też mu tego nie wyjaśniłem, zostawiłem go w gąszczu przewodów hydraulicznych traktora.

Dojazd do domków był nieodśnieżony. Dziwiliśmy się na głos różnym obliczom wiosny: w Helsinkach trawa była już niemal zielona, tu brnęliśmy po kostki w śniegu. Domek Larssonów stał na słonecznym zboczu, tu i ówdzie prześwitywały płyty czarnej ziemi, ptaki śpiewały o wiosnie.

Siedzieliśmy z Marją na pomoście, z zamkniętymi oczami, wystawiając twarze do słońca. Gawędziliśmy.

Pomyślałem, że ta wyprawa wiele wyjaśni w naszej relacji z Marją. Albo mnie zaakceptuje takiego, jaki jestem, albo nie. Zarysowałem jej swój portret, ale nie miałem siły a może ochoty koloryzować go, upiększać, ani retuszować cieni.

Zupełnie nagle przed oczami stanęła mi Sirje Larsson, jak zazdrosna kochanka, i męczącym ciężarem przygniotła mi piersi. W domku i na działce nie było śladów niczyjej bytności, nie było wrytych w śniegu wspomnień po samotnym narciarzu ani śladów po przereźbli w lodzie. Nie znalazłem Sirje Larsson i mogłem odkreślić kolejny punkt na swojej liście rzeczy i miejsc do sprawdzenia.

Szkoda tylko, że to był punkt ostatni.

Strzepywaliśmy właśnie śnieg z butów, gdy zadzwonił telefon. Wyświetlacz pokazywał nieznaną numer. Poprosiłem Marję, żeby zaczekała w samochodzie, a ja zaszedłem na tył i usiadłem na zderzaku.

- Tu stryj Olavi. - Głos był znajomy, choć odbijał się echem, jakby kluczył i krążył. - Twoja matka powiedziała, że masz problem i potrzebujesz pomocy. To miło, że jeszcze ktoś pamięta o starych krewnych, ale od ostatniego razu mija już chyba z dziesięć lat, co, Viktorze?

- Nie wysyłałem kartek z Dziadkiem Mrozem, przyznaję. Ale ośmielam się prosić cię o pomoc lub radę, bo wpadłem w poważne tarapaty. Mogę mówić, linia jest pewna? - zapytałem.

Usłyszałem swój głos powtórzony z poślizgiem dziesiętnych części sekundy i wyobraziłem sobie, jak zmienia się wbity i płynie między satelitami, a potem wpycha się znów w światłowody i miedziane druty.

- To bezpieczne połączenie. W każdym razie dla mnie. Inaczej w ogóle byśmy nie rozmawiali. No, mów stryjowi, co ci leży na sercu - powiedział Olavi. A raczej Oleg, bo Ołavi Myllari [Po fińsku „młynarz”.] był przez całe życie Olegiem Mielnikowem. I tak naprawdę nie był moim stryjem, tylko kuzynem matki, ale już od małego nazywałem go zawsze „stryjem Olavim”.

Urodził się w Anusie [Karelska nazwa Ołońca.]. Jego ojciec Veikko przeszedł na drugą stronę granicy pod koniec lat dwudziestych, wstąpił do czerwonarmijnej Brygady Karelskiej, dosłużył się stopnia oficerskiego, a w czasie stalinowskich czystek trafił do kopalni w Workucie. Uratowała go wojna - znający język fiński kapitan był doskonałym materiałem na zwiadowcę. Veikko zmarł, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, ale sporo słyszałem o jego desantowych przygodach.

W mojej pamięci zachował się wyraźny obraz słonecznego dnia pewnego lata, kiedy Olavi odwiedził nas ze swoim ojcem. Przyjechali na motocyklu i stryj zabronił mi go dotykać. To był jakiś bokser, dniepr albo ural. Słyszałem, że jest nowiusieńki, a że bałem się poparzyć sobie palce, okrążałem czarny motor szerokim łukiem.

Pamiętam tamten skwar i zapach suchej trawy na podwórzu. Kręciłem się blisko Olega i dziwiłem się, dlaczego przyjechał w normalnym ubraniu, a nie w mundurze, tak jak jego ojciec. Wtedy mi powiedział, że on jest takim trochę innym żołnierzem, pokazał mi małą, czerwoną legitymację z pięknymi wieńcami w środku, na okładce był wizerunek sierpa i młota z jakimś napisem.

Kiedy nauczyłem się czytać, zrobiłem sobie taką samą legitymację. Pokolorowałem ją kredkami, a dużym

długopisem wypisałem starannie Komitet Gosudarstwiennoj Bezopasnosti i pod spodem, większymi literami, KGB. Ojciec tylko się uśmiechnął, ale matce zrzędała mina i potem mi powiedziała, że z poważnych spraw nie można sobie robić zabawy.

Obliczyłem, że Olavi-Oleg ma już teraz koło sześćdziesiątki. Opowiedziałem mu szybko o Arkadiju i o sprawie, którą mi zlecił. Słuchał, nie przerywając, a kiedy skończyłem, zacząłem się bać, że połączenie się zerwało, bo coś długo nie słyszałem żadnej odpowiedzi.

- Aha, aha - wymruczał wreszcie. - Sądziłem, że cię usunąłem z listy i zostałeś wycofany. Nie znam tego Arkadija, ale myślę, że to jakiś nowy na Fabrycznej i znalazł cię w archiwum ręcznym naszych poprzedników, które nie zostało zweryfikowane w Moskwie.

W słuchawce znów zapanowała cisza.

- Dobrze. Zrobimy tak, że za kilka tygodni wyślę temu Arkadijowi rozkaz, w którym zostaniesz uznany za spalonego, ale bardzo niewinnie, i zostawimy cię w spokoju. Twoje teczki trafią do nas. A potem może się przydarzy jakiś błąd w druku i znikniesz na zawsze w chaosie alfabetu. A ja załatwię temu Arkadijowi inne zajęcie - Olavi wyliczył mi środki zaradcze. - Ale o ojczyźnie zapominać nie wolno. To zlecenie w Mikkelii musisz jeszcze wykonać.

- Ja chyba nie mam ojczyzny. Ale brzmi to sensownie, żeby nie powiedzieć świetnie - powiedziałem. - Jestem ci wdzięczny, naprawdę. Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie zbytnio niebezpieczne.

- Robię to dla twojej matki. Serce Anuszki chyba by pękło, gdybyś sobie napytał jakiejś większej biedy. Poza tym niedługo odchodzę na emeryturę. Sprawa jest już w toku. Mam przejść do Petersburga jako konsultant

do spraw bezpieczeństwa w Neste - przyznał i miałem wrażenie, że nieszczególnie mu się to uśmiecha.

- Muszę kończyć. Załatw te mikrofilmy, a ja się zajmę resztą. Nie kontaktuj się ze mną. Jeżeli będziesz mieć jeszcze jakieś trudności, poproś matkę, niech do mnie zadzwoni. Trzymaj się, Yiktorze.

Dwadzieścia dwa Wieczorem znów pojechałem pod dom Larssona, tym razem był ciemny. Poobserwowałem pustą ulicę przez pół godziny, po czym wróciłem do domu, żeby się wyspać.

Rano udałem się do antykwariatu. Nacisnąłem na klamkę, lecz drzwi były zamknięte na cztery spusty. Larsson nie zainwestował zbytnio w wystrój okien wystawowych. W witrynie leżało kilka książek - tych najmniej kontrowersyjnych, na ile zdążyłem się zorientować - kilka map z naniesionymi ruchami wojsk na Przesmyku Karelskim i oprawiony w ramkę rozkaz dzienny Mannerheima. W środku panował mrok. Osłoniłem czoło ręką i przytknąłem głowę do szyby, ale dostrzegłem jedynie turkusowe 00.00 na wyświetlaczu kasy fiskalnej.

Podszedłem do drzwi bramy i zacząłem dzwonić do kolejnych mieszkań, aż jakiś łatwowierny lokator wpuścił mnie wreszcie do środka. W klatce schodowej odszukałem tylne wejście do antykwariatu. Ukucnąłem i przez okienko poczty zajrzałem do środka: na podłodze leżała

„Gazeta Handlowa” i dwie brązowe koperty. Wciągnąłem pełne płuca powietrza, ale w sklepie czuć było jedynie zapach starego kurzu książkowego z nutą fajkowego tytoniu i cytrynowego wosku do parkietów.

Opuściłem klapkę okienka, wstałem i odwróciłem się. Starsza kobieta świdrowała mnie oskarżycielskim spojrzeniem. Postanowiłem niczego jej nie wyjaśniać, tylko pospiesznie ruszyłem do drzwi wyjściowych. Nim zamknąłem za sobą bramę, wyłapałem kilka szwedzkich słów nagany.

Wróciłem na Pakilę, ale dom wydawał się pusty, nikt nie otworzył mi drzwi. Zadzwoiłem na telefon domowy Larssona, bez rezultatu. W jego komórce włączyła się poczta głosowa: „Tu Aarne Larsson. Nie mogę w tej chwili odebrać, proszę zostawić wiadomość”. Moje operacje poszukiwawcze miały się coraz gorzej: najpierw nie znalazłem śladu po zaginionej kobiecie, a teraz zginął mi jeszcze mój zleceniodawca.

Wieczorem znów stawiałem się na posterunku. Nie przejmowałem się już specjalnie, nie kryłem się ani nie martwiłem rozpoznawalnym samochodem. Łudziłem się wręcz, że ktoś mnie zobaczy, pozna i podejdzie, że powie mi wreszcie coś nowego, co rzuci na tę sprawę trochę światła. Ale siedziałem sam na sam ze swoimi mrocznymi myślami niezaczepiany przez nikogo.

Dwa razy obszedłem dom. Z nadejściem mroku stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że w domu Larssona, gdzieś w piwnicy, pali się światło. Jego słaba poświata przenikała przez grube zasłony pracowni i uwidaczniała się też z drugiej strony domu, w dużych oknach salonu, może przez uchylone drzwi.

Zadzwoiłem do drzwi sąsiadki. Marjatta Nyqvist wyglądała tak, jakby właśnie wychodziła na dwór ze swoim psem. Przyszło mi na myśl, że z seterami trzeba biegać codziennie, ale zaraz mnie zastanowiło, co też ta kobieta robi oprócz tego. Zawsze, gdy się tu zjawiałem, wyglądała tak samo.

- Proszę, pan detektyw... dobry wieczór. Wróciłam akurat z pracy i zamierzałam właśnie zrobić kółko z Juliusem.

Zaprosiła mnie do środka, przysiadłem na znajomej sofie. Marjatta Nyqvist przybrała korzystną pozycję, opierając się lekko o podłokietnik fotela. Pomyślałem, że ma na pewno męża, który ubiera się trochę za młodo jak na swój wiek, napina przed lustrem sflaczałe mięśnie brzucha i gra w golfa. I cały czas się boi, że żona go zdradzi. A ona wie, że on się boi, więc trochę flirtuje, by ów strach podsycić.

Nie zdążyłem doprowadzić swoich wyobrażeń o grze partnerskiej państwa Nyqvistów do zawału serca męża, bo Marjatta Nyqvist powiedziała:

- Dziwna sprawa. Rozmawiałam jednego dnia z Aarnem Larssonem i wspomniałam mu, że był u mnie detektyw zajmujący się sprawą zaginięcia Sirje. Postanowiłam być z nim szczerą. Zareagował bardzo spokojnie, wydaje mi się jednak, że mówiąc o panu, nie używał nazwiska Kesonen. A pan mi przecież pokazał legitymację!

Marjatta Nyqvist obdarzyła mnie kobiecym uśmiechem i poczułem w nozdrzach jej słodki zapach.

- Uznałem, że Kesonen robi na pani lepsze wrażenie niż niejaki Viktor Karppa. Proszę mi wybaczyć, że wprowadziłem panią w błąd - postanowiłem wyznać jej prawdę beztrąsko, ale z ciężkim spojrzeniem.

- Poza tym spodziewałam się, że pan do mnie jeszcze zajdzie. Chce pan może kawy albo...? - Marjatta Nyqvist przeciągała przyjęcie przeprosin, tak jak potrafi tylko rozleniwiona czterdziestolatka.

- Nie, dziękuję, tym razem nie zdążę. - Starąłem się mieć przed oczami obraz Sirje Larsson i czuć w ustach wyłącznie metaliczny smak ruskiej nieudolności, którą zarzucał mi jej mąż, choć bez zażenowania powiedziałbym Marjattcie Nyqvist, czym jeszcze mogłaby mnie poczęstować. - Od dwóch dni bezskutecznie usiłuję się skontaktować z

Aarnem Larssonem. Antykwariat jest zamknięty, na drzwiach nie ma żadnej kartki. Sądzę, że powinienem jakoś poinformować swoich klientów, jeżeli gdzieś wyjechał...

- ...na przykład do Johannesburga na targi starych książek - pani domu zaśmiała się złośliwie. - Znam sąsiada na tyle dobrze, że wiem, czym się pasjonuje. Ale nigdy mi nie wadził - przyznała. - Nie widziałam go od dawien dawna, ale też ostatnio pracuję do późna. Tak więc nie potrafię panu powiedzieć, czy wyjechał w podróż, czy gdzieś się ukrywa.

Oderwałem się jakoś od miękkiej sofy, pożegnałem miłą panią Nyqvist, po czym raz jeszcze obszedłem dom Larssona i wróciłem do swojego volvo. Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wiedziałem, że będę musiał się włamać, i wcale mi się to nie uśmiechało. Na myśl o tym ogarniał mnie strach, choć bardziej bałem się tego, że mógłbym się temu strachowi poddać.

Musiałem wejść do środka. Ale najpierw zadzwoniłem do matki.

W jej głosie wyczułem nadzieję, opowiadała z przejęciem o przelatujących nad domem ptakach i o wielkiej sumienności pomagierów Karpowa.

- Choć przecież dobrze wiem, że to bandziory. Ale tacy uprzejmi dla starszych kobiet - w jej głosie wyczułem wdzięczność. - I tylko pomyśl: ten Arkadij Makarow, który często wozi Walerija, to syn Świetlany Michajłowny, kierowniczkę kurników w sowchozie w Helyli. Dobrze, że chociaż w Sortavali wszystko było na swoim miejscu.

Przeczekałem w samochodzie do północy. Stwierdziłem, że rozsądniej będzie nie ruszać się już z miejsca, niż jeździć co chwila w tę i z powrotem. Jeżeli ktoś kiedyś natrafi na ślady włamania, ludzie i tak zeznają, że widzieli moje volvo. Może więc i lepiej, że stoi na ulicy przez cały wieczór jak gdyby nigdy nic.

Wyjęta wcześniej z bagażnika sceptorba czekała na siedzeniu pasażera. Nie przypominałem sobie, abym w drzwiach i oknach u Larssona widział jakiegokolwiek urządzenia alarmowe. Uznałem, że najłatwiejszą drogą do środka będą drzwi garażu. Zacząłem wybierać narzędzia; nie jestem żadnym kasiarzem, ale stare abloje potrafię jeszcze otworzyć. W razie czego zawsze można diamentem wyciąć szybę.

Przekradłem się pod garaż, włożyłem cienkie rękawiczki i po dziesięciu minutach ciężkiej pracy udało mi się otworzyć drzwi. Saab stał na swoim miejscu. W garażu unosił się zapach czystej, suchej piwnicy, bez najsłabszej choćby nuty starego oleju. Aarne Larsson raczej nie był typem mechanika amatora. Zamierzałem przejść do kotłowni, a stamtąd do pracowni gospodarza, ale stalowe drzwi nawet nie drgnęły. Nie miały żadnej dziurki od klucza, żadnego zamka; były zamknięte od środka, i to solidnie.

Ostrożnie wróciłem na podwórze, zamknąłem garaż i stanąłem pod drzwiami dawnego pokoju gościnnego. Długo zmagalem się z zamkiem i już miałem się poddać, gdy udało mi się wreszcie wcisnąć jakoś rygiel do środka zamka. Na framudze zostały ślady, które okryłyby hańbą każdego zawodowca.

Uchyliłem drzwi i przekradłem się do sieni. Za drzwiami do pokoju gościnnego stał fotel, ale zdołałem popchnąć go po podłodze na tyle, by wślizgnąć się do dawnego pokoju służebnego, który wciąż był przygotowany na przyjęcie nigdy nieprzyjeżdżających gości. Staralem się stąpać całą powierzchnią gumowych podeszew, aby nie robić hałasu. Gdybym tak bardzo się nie bał, z pewnością śmiałybym się z tych środków zaradczych. Obserwowałem przecież dom przez cały dzień i nie zauważyłem żadnych śladów ludzkiej obecności.

Tylko że ja nie bałem się żywych, lecz umarłych.

W domu nam zawsze kładziono do głowy, że ludzkie ciało to tylko materia i nic więcej.

Dziadkowie umarli przed naszym urodzeniem, a i mojego ojca pochowaliśmy bez większych ceremonii. Byłem jednak na pogrzebach wielu ludzi wierzących, kiedy obok otwartej trumny przetaczał się korowód żałobników żegnających osobę zmarłą dotykaniem, pocałunkiem czy ostatnim słowem.

Zmarli mnie przerażali.

Chodziłem do sauny, piłem wódkę, uprawiałem sport i pracowałem z mordercami. Na ramionach mieli tatuaże z więzień i ślady po krwawych porachunkach, ale to mnie nie ruszało. Bałem się nieszkodliwych zwłok, a nie tych, którzy je produkowali, choć tak naprawdę to oni mogli być dla mnie groźni.

W mieszkaniu Larssona czuło się powiew śmierci. Może to przez ten zapach - podobny do tego, który wyczuwa się czasem na pogrzebie pod ciężką słodyczą kwiatów - a może to było jeszcze jakieś inne odczucie zmysłowe. Zwierzęta wyczuwają śmierć. Nie wierzę, by człowiek po kilku zaledwie pokoleniach mieszkania w ciepłych pokojach utracił tę zdolność wyczuwania grożącego mu niebezpieczeństwa.

Okrzyżłem ostrożnie parter domu, przyświecając sobie małą, metalową latarką. Kuchnia była pusta i czysta jak w szpitalu. Salon wydawał się zatrzymany w kadrze na chwili, gdy oglądałem go pierwszy raz. Drzwi pracowni były lekko uchylone, ze szpary sączyło się słabe światło. Powoli popchnąłem drzwi. Przy fotelu paliła się stojąca lampa, w powietrzu unosił się zapach przypalonego kurzu. W pokoju panowała absolutna cisza, nawet zegar na biurku milczał. Może rozkręciła się sprężyna. Włos napędza mechanizm przez dobę czy dwie, z tego można wysnuć jakiś wniosek, próbowałem dedukować, aby oddalić przerażenie.

Na piętrze było pusto. „Jak grób Jezusa w niedzielny poranek”, wymknęło mi się na głos. Było to powiedzenie Korhonen, więc na wszelki wypadek od razu uderzyłem w skrucę; hospodi, w którą stronę robiło się ten znak krzyża.

Odetchnąłem głęboko kilka razy, wyrząłem zza firanek na podjazd od ulicy, ale nikogo nie dostrzegłem. Zszedłem do piwnicy. Przypomniałem sobie, że w pracowni nie było okien, więc nacisnąłem włącznik. Aarne Larsson patrzył mi prosto w oczy.

A raczej sprawiał takie wrażenie. Nie wodził za mną wzrokiem i nie mrugnął powieką, kiedy odskoczyłem w bok. I jeżeli patrzył, to już chyba tylko na Pana Boga. Był martwy.

Ciało spoczywało sztywno na fotelu w odległości jednego metra od stołu. Obszedłem je ostrożnie. W szyję wpił się głęboko cienki drut, zawiązany za plecami w szybki węzeł, którego oba końce owinięto porządnie wokół pokrętła oparcia.

Dłonie Larssona spoczywały swobodnie na udach, minę miał nieco zaskoczoną, cerę czerwoną z odcieniem purpury. Wyglądał jak żywcem zdjęty polaroidem do paszportu. Miał na sobie ciemnoszare spodnie i znajomy sweter

ze skórzanymi wszywkami. Na podłogę upadły okulary, które trzymał w ręku w chwili śmierci. Pantofle na nogach raziły, w obliczu śmierci wydawały się zupełnie nieodpowiednie i bezwartościowe. Trzeba go było zabić na dworze i przynajmniej w butach, a nie w znoszonych domowych pantoflach.

Obejrzałem pomieszczenie, choć przeczuwałem, że tracę tylko czas. Mordercy Larssona byli zawodowcami. Na stole pod prasą leżała książka Kościoły utraconej Karelii, która już na zawsze pozostanie bez oprawy.

Dwadzieścia trzy w samochodzie zdjąłem rękawiczki i zadzwoniłem do Korhonen. Po długim oczekiwaniu włączyła się poczta głosowa. „Cześć, tu Teppo Korhonen. Zostaw wiadomość. This is Teppo Korhonen, please leave a message after the beep”. Nacisnąłem czerwony telefonik i od razu zielony. Nokia poinformowała, że dzwoni ponownie.

Tym razem Korhonen odebrał. Sprawiał wrażenie wyrwanego ze snu.

- Tu Hosni Mubarak. I lepiej, żeby to było coś ważnego, Karppa.

- Nie bój żaby - odpowiedziałem. - Jest to coś tak ważnego, że nie chciałem ci zostawiać nic „after the beep”. Gdzie ty się tak nauczyłeś mówić po angielsku, chyba nie w szkółce policyjnej, co? Pojeźdź sobie do domu Aarnego Larssona. Chłop siedzi tam sam jak zabity.

Korhonen zamyslił się na chwilę, po czym odezwał się nieco trzeźwiejszym głosem:

- Mów, tylko krótko. Wszystko i samą prawdę. Opowiedziałem, że w poszukiwaniach Sirje Larsson utknąłem w punkcie wyjścia i potrzebowałem więcej informacji o Larssonach i ich związku, więc kiedy w końcu zniknął i on, musiałem się włamać do ich domu.

- Bardzo elegancko wszedłem do środka i jeszcze bardziej elegancko wyszedłem. Nie mieszaj mnie do tego - poprosiłem.

- A może sam go stuknąłeś, co? Czy to nie czasem tak, że dziedziczy po nim ta jego żona, Sirje, a ty jej w tym pomagasz? I przy okazji posuwasz ją gdzieś tam wjakiejś dziurze - Korhonen był nieufny. - Zastrany najemnik z Sortavali, Shemeikka [Petri Shemeikka (ok. 1819-1916) - wielki karelski pieśniarz.] z Koziej Wólki.

- Cholera, to nie ja. Sprawa wygląda dokładnie tak, jak ci opisałem. Poza tym nie stuknęli go, tylko zatkali. Uduszony drutem, profesjonalna robota. Ale nie moja. Ja w tych sprawach jestem totalnym amatorem. Domyślałem się, że to Lillepuu sprzątnął szwagra - wyjaśniłem i opowiedziałem mu jeszcze o aluzjach Lillepuu i o tym, że obserwował dom Larssona.

- Amator czy sutener, powiedzmy, że kupuję z tego mniejszą lub większą część - podsumował Korhonen. - Możliwe, że nie będziesz wmieszany. Ale jesteś mi już winien niejedną przysługę.

- Co ty nie powiesz? Moim zdaniem nasze saldo wskazuje dokładnie odwrotnie. Podałem ci na tacy kolejnego trupa z podejrzanym w pakiecie. Nie byłoby ci tak przyjemnie tam wchodzić, gdyby facet kruszał jeszcze dwa tygodnie.

Musiałem wypić po męsku kilka głębszych, nim padłem na łóżko i zasnąłem jak niemowlę. Miałem za to niespokojne sny: Aarne Larsson grał w golfa, z bramy jakiegoś domu wychyłała na chwilę Sirje, wołając gości na kawę, w rękę miała patelnię, moja matka z Marją siedziały przy stole, na białym, ślicznym obrusie stał oprócz kawy częściowo pokrojony kołacz. „No przecież, mój Boże, na pogrzeb przyjść trzeba”, powiedziała matka.

Nie zdołałem z tych porwanych fragmentów niczego sklecić, a może po prostu nie układały się wcale w spójną opowieść. Obudziłem się po dziewiątej zmęczony i spocony. Musiałem się otrzeźwić, pobudzić mięśnie do życia pompkami, skłonami na brzuch i ćwiczeniami na grzbiet. Wchodząc pod prysznic, zauważyłem w lustrze, że powieki mi napuchły, a gęba poczerwieniała. Tu i ówdzie wchodziła w purpurę, jakbym miał nadciśnienie - tak samo wyglądał Aarne Larsson, przypomniałem sobie.

Zatelefonowałem do Marji, ale zdążyła już wyjść na zajęcia, na wykładach i ćwiczeniach wyłączała komórkę. Pozostało mi zatem jedynie czekać na rozwój wydarzeń.

Poszedłem do biura, na wszelki wypadek wsunąłem sobie kaburę z moim chińskim pistoletem z tyłu za pasek, a krótkolufowego smith & wessona wsadziłem do lekko wysuniętej szuflady biurka. Usiadłem i zagłębiłem się w lekturę Krótkiej historii czasu Stephena Hawkinga, którą kupiłem w pobliskim antykwariacie. Miałem wrażenie, że mimo problemów z koncentracją ogarniam umysłem dłuższe fragmenty. Cały czas obserwowałem ulicę i plac. Wolałem być lepiej przygotowany na wizytę estońskich gości niż Aarne Larsson.

Doczytałem Hawkinga do końca, chwyciłem więc Enqvista Powstałego z niczego. Było to dzieło fińskiego profesora fizyki teoretycznej traktujące o budowie Wszechświata.

Komórka zapiszczała, dostałem wiadomość. Od Karpowa.

„Papierosy i gulasz zapłacone. Cena ta sama”.

W innych okolicznościach przynajmniej bym się uśmiechnął po przeczytaniu zakodowanej przez Karpowa informacji, ale tym razem chciałem mieć pewność. Zamknąłem biuro na klucz, obszedłem plac, kupiłem w kiosku kolejną kartę telefoniczną i z ulicznego automatu zadzwoniłem do Karpowa.

- Czy mam przez to rozumieć, że nasz południowy sąsiad został załatwiony? - palnąłem bez ogródek, nie przedstawiając się.

- Zgaaadza się - Karpow przeciągnął odpowiedź.

- Gdzie można go znaleźć? W jednym czy w kilku miejscach? Bo tak się składa, że byłoby cholernie dobrze, gdyby się znalazł właśnie teraz.

- Pojechał po części do beemki - odparł zwięźle Karpow.

- Aha, sprawa jasna - powiedziałem.

Odłożyłem słuchawkę na widelki, poszedłem na plac i wybrałem na komórce numer Korhonen.

- Wypożyczalnia łodzi, Korhonen - warknął policjant.

- Tu Karppa, cześć - zdążyłem burknąć, ale Korhonen od razu mi przerwał: - Ciii, co nagle, to po diable. Jezus nadchodzi, widzieli go już w Keravie. Widziałeś nowy hit, Chrystus zatrzymał się na Teboilu? Karppa, mam właśnie przerwę na lunch. Spiesz ci się?

- W zasadzie to nie. Ale pomyślałem sobie, że to cię zainteresuje: znajdziesz Jaaka na parkingu przed Biltemą, w czarnej lub granatowej beemce. Czeka tam na ciebie cierpliwie, na pewno nigdzie nie odjedzie - rzuciłem, nie dając mu dojść do głosu.

- To nie ja go załatwiłem, znów nie ja. Ale pamiętasz tę sprawę z papierosami: było wielu, którzy chcieli wypchnąć Jaaka z rynku.

Korhonen powiedział, że jak tylko przełknie, rusza na miejsce z karawanem. Na koniec zapytał, czy dużo mam jeszcze trupów w rękawie.

- Choć i to jest jakiś sposób na ograniczenie przestępczości - westchnął.

Ryżkow czekał w mercedesie przed moim biurem. Wszedł ze mną do środka i na wstępie zapalił papierosa.

- Wracam dopiero z Pasili, od samego rana gadała ze mną policja - powiedział przeciągle. - Twój przyjaciel Korhonen wywlókł mnie z łóżka. Wyrwał ze snu. Przygwoździł do ściany w sprawie zabójstwa Aarnego Larssona. A ja go nawet nie znałem, jego żony też nie. Czy tobie mam za to dziękować? To ty mnie w to wrobiłeś?

- Bynajmniej. Wyjaśniłem tylko Korhonenowi, że to Estończycy zabili Larssona. Może facet podejrzewa, że go robię w bambuko i że sam go wykończyłem, na spółkę z tobą. A może chce pokazać, że sprawa jest w toku, choć dobrze wie, kto za tym stoi.

- Ale Jaaka Lillepuu do sądu nie ściągnie. Dowody się raczej nie znajdą, a na dodatek dostałem właśnie informację, że Lillepuu przerobili na gulasz. Korhonen jedzie właśnie po ciało na parking pod Biltemą - powiedziałem.

Zdziwiłem się, że Ryżkow się uśmiechnął. Błysnął złoty ząb.

- Coś na ten temat wiem. I dlatego też Korhonen tak mnie wystraszył tym przesłuchaniem.

Złożyliśmy Jaakowi wczoraj wizytę. Ja, człowiek Karpowa i jeden z moich chłopaków.

Poszliśmy w trójkę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie potrafiłem się nawet zachwycić szybkością i sprawnością akcji. Ryżkow podjął:

- Piękny dom na Westendzie [Westend - nadmorska dzielnica Espoo na granicy z Helsinkami.]. Zdziwiłbyś się, jak szybko się jedzie z centrum, ta Zachodnia [Lansivayla - autostrada prowadząca z Helsinek do zachodniej granicy Espoo.] to jednak dobra rzecz. Taki dom, a takie kiepskie zabezpieczenia... jak na gościa o takiej pozycji.

Zastrzeliliśmy go - stwierdził krótko. - Zawieźliśmy trupa w jego beemce na Trzecią Ramę.

Choć w zasadzie trup nie może mieć auta, ale... Wiadomo, o co chodzi. Poszliśmy do sklepu kupić wycieraczki oraz kapsle na koła i odjechaliśmy innym wozem. Byliśmy pewni, że ktoś szybko rozpozna auto i trup się znajdzie. I tak się rozejdą wieści o śmierci Jaaka Lillepuu. W końcu pełno się tam kręci i naszych, i Estońców.

Dwadzieścia cztery xxx

przez dwa dni w mieście mówiło się

tylko o morderstwach Aarnego Larssona i Jaaka Lillepuu. Popołudniówki starały się połączyć ze sobą obie sprawy, ale Korhonen podsunął mediom teorię o bezwzględnych porachunkach estońskich gangów, w które został mimowolnie wplątany Aarne Larsson, Bogu ducha winny mąż Estonki i prawdziwy patriota.

Gazety przez jakiś czas použíwały sobie także kosztem „zaginionej estońskiej piękności”.

Sirje ze znajomego zdjęcia patrzyła nieśmiało z brudnych ramek przy kioskach. Mnie na szczęście sława ominęła. Najbardziej uspokoiła mnie wiadomość, że znalazł się świadek, który widział domniemanego mordercę Larssona. Mieszkaniec sąsiedniego domu palił papierosa na balkonie, skąd widział Jaaka Lillepuu, który w towarzystwie drugiego młodego mężczyzny wchodził do domu denata.

Mimo to Korhonen zjawił się w moim biurze i zaczął mnie wypytywać. Powiedziałem mu, że zabójców Jaaka Lillepuu ściągnięto z Rosji i że na pewno już ich w kraju nie ma.

- Czysta robota, tak jak sobie życzyłeś.

- Pewnie masz rację - powiedział Korhonen i sycząc przez zęby, zaczął się przechadzać po biurze. Parjanne siedział w aucie przy uchylonym oknie niczym posłuszny

pies na parkingu zakupowego raj. - Ale coś mi tu śmierdzi. Tak się to jakoś dziwnie składa, że wszyscy giną w najodpowiedniejszym momencie, bandyci wybijają się nawzajem jak w podwórkowej zabawie. Tobie w zasadzie też nie mogę niczego zarzucić, ale w tej historii straszy jeszcze ta Sirje - stwierdził Korhonen, robiąc w tył zwrot na starym linoleum.

- Mnie to zastanawiało od samego początku - zapewniłem go. - Aarne Larsson zlecił mi odszukanie żony, ale niczego nie zdołałem ustalić. Lillepuu sugerował, że Larsson wie więcej, niż mówi. Czyżby sam zabił żonę, a potem zatrudnił mnie, głupiego Ruska, żebym próbował ją odszukać? Jeśli tak, to dobrze wiedział, że niczego nie znajdę. Ale dlaczego miałby sprzątnąć własną żonę? Gość był, co prawda, trochę stuknięty, ale rzadko który wariat zabija zaraz żonę.

Korhonen podszedł do okna, wrócił do regałów, zawrócił do okna...

- Ja też tak rozumowałem. Larsson się rozczarował. Może żona wdała się w jakiś romans, a może okazało się po prostu, że wcale nie jest taką rodowodową sztuką, za jaką ją uważał. Może intelektualnie była poniżej jego poziomu. Choć głupota u baby akurat tak bardzo nie razi... Wiesz, jaka jest różnica między mężem a kochankiem? Pół godziny. - Mimo tej filozoficznej uwagi Korhonen miał wciąż zatroskaną minę. - Zaraz na początku sprawdziłem, czy nie miała jakichś skoków w bok, ale nic nie znalazłem. Ty chyba też nie, co? - zapytał. Pokręciłem głową.

- Ale tu i ówdzie słyszałem, że Larsson potrafił się wściekać na żonę i nazywać ją głupią dziwką, z naciskiem na to pierwsze słowo, Ruską i sowieckim pomiotem - podjąłem. - Może w wyborach prezydenckich zagłosowała na

Tarję Halonen. Poznałem trochę Larssona i sądzę, że taki wybór oznaczałby dla jego żony wyrok śmierci.

- Jeżeli nie znajdziemy ciała, nie będziemy niczego pewni. Ale jeśli Sirje żyje, to prędzej czy później gdzieś się pokaże - mruknął Korhonen.

- Moim zdaniem nie żyje - powiedziałem. - Może miałem robić za zasłonę dymną, a może Larsson chciał, abym ją znalazł i go wydał. Jednak Lillepuu zdążył przede mną i od razu wykonał wyrok.

Marja uczyła się do ostatnich egzaminów, ale zdążyliśmy pójść do kina i na piwo, choć za nim nie przepadam. Zapaliłem się też do długich biegów w towarzystwie Marji na rowerze.

- Bardzo dziwny z ciebie gość, inny. Trudno określić, kim ty właściwie jesteś - zastanawiała się. Siedziała na moim łóżku, oparta o bok kanapy, i obejmowała otulone kołdrą kolana.

- Aha - powiedziałem, leżąc dalej na brzuchu z poduszką pod brodą, z zamkniętymi oczami. - Pani magister analizuje - uśmiechnąłem się.

- Zawsze funkcjonujesz i żyjesz w sposób przerysowany względem środowiska, względem innych. Zupełnie jakbyś oczekiwał, że ludzie tego właśnie chcą. Albo jakbyś grał, aby otoczenie widziało cię tak, jak tobie jest wygodnie - Marja mówiła z namysłem. Zamyśliłem się na chwilę. - Ale czy nie wszyscy tak właśnie funkcjonują? W końcu człowieka zawsze określa drugi człowiek i obie strony bezustannie przeglądają się w sobie jak w lustrach.

- Jasne, zgadza się - przyznała. - Ale tu nie chodzi o podstawową komunikację międzyludzką, która ma wiele cech zwierzęcych i tkwi w nas bardzo głęboko. Człowiek informuje innych o sobie i swoich zamierzeniach poprzez znaki, tak samo jak pies informuje o czymś, merdając ogonem. Ale ty to robisz podwójnie: zastanawiasz się, czy powinienś zamerdać ogonem, i jednocześnie - co inni pomyślą o tobie i o tym, że będziesz merdać ogonem.

Obróciłem się na bok i spojrzałem na ścianę. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem dzieckiem, lubiłem wieczorem wpatrywać się w lakierowane panele sufitowe i widzieć w sękach najprzeróżniejsze zwierzęta. Spaliśmy na rozkładanym, drewnianym tapczanie. Aleksiej zasypiał zawsze pierwszy i potem sapał i mówił przez sen. Ja leżałem przytulony do ściany i do późna rozmyślałem, choć to ja byłem przecież młodszy. Wiedziałem, że Marji spodobałoby się to wspomnienie, ale nic jej nie powiedziałem.

Poczochnęła mi włosy.

- Ale nie martw się. Ten prawdziwy Viktor wychodzi czasem spod spodu i z boku, nie jesteś w stanie wszystkiego kontrolować, tak ci się tylko zdaje. A to, co ukryte, podnieca najbardziej. Ale zupełnie spokojnie mógłbyś być po prostu sobą, trochę wyluzować, zaufać innym i sobie. Wystarczy być takim, jakim się jest.

Nawinęła na palec kosmyk moich włosów. Oczy miałem zamknięte, starałem się zrelaksować i tylko słuchać. Marja podjęła:

- Kiedyś na jakimś przyjęciu do Humphreya Bogarta podszedł gość i zaczął mu przygadywać, że na pewno nie jest takim twardzielem, jakiego próbuje udawać na ekranie. Bogart nic nie powiedział, tylko odgryzł kawałek szkła z trzymanej w ręku szklaneczki z grogiem i zjadł go, a potem wypił grog i zjadł resztę szklaneczki. - Po chwili milczenia Marja dodała: - Moim zdaniem to było niepotrzebne i głupie, na pewno Bogart chciał się popisać przed kobietami. Chciał pokazać, że jest twardym samcem. A przecież najbardziej pociągająca w nim była ta wrażliwość czy miękkość, którą czasem potrafił okazać.

- Mieliśmy w wojsku jednego Uzbeka, który zjadał szklanki za niewielką opłatą, więc zrzucaliśmy się z chłopakami na kilkadziesiąt rubli. Ale poza tym miał trochę nie po kolei w głowie. Ale kto to był Humphrey Bogart? - zapytałem niewinnie.

Marja spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a gdy zacząłem się śmiać, uderzyła mnie poduszką i nazwała cholernym gronostajowym królikiem.

wa zięcia pięć gyj.em zaskoczony, gdy do mojego biura weszła Helena Larsson.

- Porządkuję rzeczy pozostawione przez Aarnego. Nie miał w zasadzie żadnej innej rodziny... a i o Sirje nic nie wiadomo. Nie będzie wielkiego pogrzebu, tylko nabożeństwo tu, w Helsinkach, a potem kremacja. Kimmo też tak chciał, a w końcu to jego syn.

Była żona mojego zleceniodawcy wahała się przez chwilę, przygryzając dolną wargę.

- Chciałabym wiedzieć, czy zdołał pan ustalić cokolwiek w sprawie zaginięcia Sirje. I czy Aarne jest panu jeszcze winien jakieś pieniądze? Bo znalazłam w jego rachunkach niezapłacony przekaz na dziesięć tysięcy marek dla pana z adnotacją „Sprawa S. Larsson, rozliczenie końcowe”. Przełałam je Panu, wzięłam z pieniędzy Aarnego. Ale czy to nie za późno, bo termin płatności upłynął w ubiegłym tygodniu?

Helena Larsson przez chwilę znów milczała. - Chciałabym mieć w tym względzie całkowitą jasność. To przykre mówić teraz o sprawach ziemskich, ale Kimmo dziedziczy przecież po ojcu i musielibyśmy wiedzieć coś o Sirje, sąd będzie chyba musiał uznać ją za zaginioną czy

zmarłą. O wielkim majątku nie ma tu mowy, byliśmy na spółkę z mężem właścicielami tego domu, Sirje nie miała w nim żadnego udziału. Ale sklep i domek letniskowy... Zrobi się z tego jeszcze wielki bałagan. Zdażyłem już sobie obiecać, że sprawa Sirje Larsson pozostanie bez rozwiązania. Może właśnie w tej chwili malowała jakiś olej w Södertalje albo gniła w rowie w Hyryli; w myślach złożyłem już teczkę z tą sprawą do segregatora, a segregator zarchiwizowałem na regale. Westchnąłem i poprosiłem kobietę, aby mi zostawiła klucz do domu. Będę musiał go jeszcze raz dokładnie przeszukać. Aarnemu Larssonowi zależało, abym wyjaśnił tę sprawę do końca. I zapłacił mi za to.

Matka od razu usłyszała, że coś mi leży na sercu. - No, co tam, synku...? - podpytywała. Powiedziałem, że nieszczególnie lubię nieboszczyków, a tych ostatnio strasznie się namnożyło. Zapewniłem ją jednak, że nie miałem z tymi morderstwami nic wspólnego. - Nigdy bym cię o to nie podejrzewała. Ale uważaj na siebie. Ja już się w każdym razie śmierci nie boję, to pewne - powiedziała tak powszednim głosem, że aż się wzdrygnąłem. - Ale wierzę, że jeszcze przez jakiś czas nie umrę. Ach, jak tu teraz u nas ciepło! Planujesz tu do mnie kiedyś zajrzeć? Choć to ciężka trasa. Ptaki śpiewają tak cudnie... - Głos matki wypełniał całą słuchawkę.

Zakończyłem rozmowę życzeniami dobrego zdrowia, po czym zamknąłem biuro i po raz kolejny pojechałem na Pakilę.

Dziwnie się czułem, zajeżdżając samochodem pod same drzwi i wchodząc do środka jak człowiek, używając klucza. Celowo trzaskałem drzwiami i poruszałem się głośno, choć kto by mnie tam obserwował. Postanowiłem przeszukać dom systematycznie, otworzyć każdą szufladę i zajrzeć na samo dno.

Po dwóch godzinach pracy musiałem się obejść smakiem; moja wiedza wzbogaciła się tylko o dwa drobiazgi. Apteczka opowiedziała mi kilka nieważnych historii o chorobach mieszkańców domu. Sirje miała alergię na pyłki traw; w szafce znalazłem zyrtec i krople do oczu, kupione - sądząc po terminie ważności - na wiosnę. Aarne Larsson brał leki na obniżenie ciśnienia krwi, ale poza tym małżonkowie dawali sobie radę zwykłymi tabletkami przeciwbólowymi. Pigulek antykoncepcyjnych nie było nigdzie widać, za to w szufladzie stolika nocnego gospodarza znalazłem otwarty kartonik kondomów „Sultan”. Pohańbiłem nieboszczyka myślą, że Larsson rzeczywiście nie wyglądał na erotomana lubiącego testować na żonie eksperymentalne pozycje.

W barku stała zakurzona kolekcja butelek z whisky, koniakami i wódkami. Większości nawet nie otwarto. Larssonowie wyglądali na ludzi żyjących w zdrowiu i trzeźwości, nieprovokujących chemią dodatkowych wrażeń.

Na złość wiszącemu pod sufitem śmigłu ze swastyką siedziałem długo w fotelu Aarnego Larssona, przeglądając jego książki i segregatory sklepu. Pod szyldem antykwariatu Larsson prowadził działalność gospodarczą z ponad milionem marek obrotu: sprzedawał książki, zlecał tłumaczenia dzieł nieznanymi mi europejskimi myślicielami, wydawał je w serii „Książka Wolności” i wypłacał sobie piętnaście tysięcy marek miesięcznego wynagrodzenia.

Działalność była legalna i całkowicie jawna.

Larsson zapisywał również starannie finanse gospodarstwa. Płacił byłej żonie czynsz za wynajem domu, ale pozostałe wydatki były zdumiewająco niskie. Zdrowe życie bezdzietnej rodziny nie kosztowało wiele. Paragony i rachunki nie świadczyły o trudnościach egzystencjalnych; Larssonowie kupowali jedzenie i ubrania w Stockmannie, niedzielne obiady jedli w restauracji, a w podróże jeździli zarówno na Południe, jak i do Europy. Prowadzili po prostu oszczędny tryb życia i nie wydawali dużo.

Ległem jak długi na plecach na małżeńskim łóżku Larssonów, patrzyłem w sufit. Próbowałem sobie wyobrazić, jak się czuła Sirje Larsson, kiedy kładła się spać. Aarne podchodził w swojej piżamie, nakręcał staromodny budzik: naks-naks-naks, plim!, sprawdzał czas budzenia, po

czym kładł się obok niej. O czym rozmawiali, jak komunikowała mu swoje potrzeby? A może ich nie miała? Podwinąłem kołdrę i przycisnąłem do twarzy poduszkę - chyba wyczułem słaby zapach Sirje.

Usiadłem przed telewizorem i sprawdziłem wideotekę. Na kilku nagranych taśmach było to, co wypisano na grzbietach: dokument o berlińskim moście powietrznym, Szklana pułapka 2, Parszywa dwunastka. Larssonowie nie gromadzili filmów, nie mieli też ukrytych pod innymi tytułami pornosów.

Kredensy w kuchni dostarczyły kolejnych dowodów na prosty i zdrowy tryb życia gospodarzy. Płatki owsiane, ale żadnych egzotycznych przypraw, dość drogi komplet patelni, ale bez woka, olej rzepakowy, ale nigdzie śladu czarnych oliwek.

Odkręciłem kran i odczekałem, aż woda schłodnieje, napiłem się. Została mi już tylko piwnica, którą trzeba jeszcze raz dokładnie obejrzeć; wtedy będę mógł powiedzieć, że zajrzałem wszędzie, od dachu po fundamenty. Nagle przyszło mi do głowy, że w domu o tak stromym dachu nad drugim piętrem mieszkalnym musi być jeszcze sporo wolnej przestrzeni, jakiś strych lub poddasze. Wbiegłem na górę. Sufity pokojów były wyrównane panelami i zupełnie gładkie; nigdzie nie zauważyłem włazu na strych.

W garderobie rozsunąłem wieszaki z bluzkami i spodniami Sirje Larsson, stanąłem na krześle i zdjąłem kartony z górnych półek. Bingo! W suficie widniał zamknięty dwoma zasuwami właz na zawiasach.

Przyniosłem niską drabinę, opuściłem zaskakująco grubą od izolacji klapę i wdrapałem się na strych. Musiałem się wspiąć na palce na podeście drabiny, nim zdołałem wywindować się jakoś na łokciach do pasa. W środku pachniało drewnianymi wiórami i było chłodno. Włosy miałem mokre od potu.

Na strychu panował mrok, więc chcąc nie chcąc, znów balansując na palcach, musiałem jakoś wydostać z kieszeni latarkę. Oświetlałem wąskim żółtym snopem sektor po sektorze, aż obejrzałem cały strych. Dom zbudowano na pewno gdzieś w latach trzydziestych, ale niedawno wyremontowano. Podbitka składała się ze świeżych wiórów i warstwy wełny szklanej. Krokwie były ze starego, mocnego drzewa, deski podłogi także wyglądały na oryginalne.

Uśmiechnąłem się. Co ja tu w zasadzie chciałem znaleźć? Właz był tak ciasny i w tak nieszczęśliwym miejscu, że Sirje musiałaby sama wejść na strych po drabinie, bo ciała nie dałoby się tam nijak wsadzić, a na pewno Aarne Larsson nigdy nie dokonałby tej sztuki w pojedynkę. Zamknąłem właz i uporządkowałem rzeczy w garderobie.

Kościoły utraconej Karelii wciąż leżały w prasie na stole w pracowni, czekając na nowy grzbiet. W narzędziach panował wzorowy porządek, jak chyba we wszystkim w tym domu. Nawet przeznaczone na makulaturę stare gazety stały w starannie ułożonych stertach, mocno powiązane sznurkiem.

W kotłowni znajdował się tylko zielony kocioł na olej opałowy i stojące obok siebie dwie pary gumowych kaloszy,

większe czarne i mniejsze czerwone. Nowoczesny plastikowy zbiornik na olej wkomponowano w jedną z wnęk. Garaż był tak samo czysty, jak podczas poprzedniej mojej wizyty. Przy bramie stała szufla do śniegu i miotła. Na hakach wisiały letnie opony, poza tym ściany były puste. Saab nie był zamknięty. Usiadłem za kierownicą i zacząłem się rozglądać jak stary handlarz. Samochód pachniał nowością. Na liczniku miał 44 359 kilometrów; w myślach już zobaczyłem ogłoszenie w prasie z wytłuszczeniem: aaaale okazja, pełna książka serwisowa.

W schowku znalazłem wyciąg rejestracyjny, rachunki z warsztatów, okulary przeciwsłoneczne i twarde cukierki owocowe w blaszanym pudełku. Wziąłem cytrynowego, ale przestał mi smakować, kiedy pomyślałem, że jem landrynki nieboszczyka. Otworzyłem

bagażnik; w środku były aluminiowa szufla do śniegu, zielona plandeka, skrzynka narzędziowa i elektryczna piła do drewna.

Wróciłem do pracowni i zająłem fotel Larssona, choć pamiętałem jego zeszlone oczy, kiedy w nim siedział po raz ostatni, z purpurową twarzą i głęboko wciśniętym w szyję drutem.

Aarne Larsson zdażył zrozumieć, co się dzieje, i rozpoznać swojego mordercę. Może rozmawiali, potem Jaak Lillepuu ogłosił wyrok śmierci i wyobrażałem sobie, że Larsson nie błagał o łaskę. Nie opierał się, gdy człowiek Jaaka stanął za jego plecami, oplótł mu szyję drutem i zaciągnął pętlę. Larsson i Lillepuu patrzyli sobie w oczy, dopóki spojrzenie Fina nie zaczęło gasnąć.

Moje wyobrażenia znacznie oziębiły atmosferę w piwnicy, zacząłem dygotać z zimna.

Wstałem z fotela, podszedłem do zawieszonych na ścianie półek, oparłem się o zamrażarkę i po raz trzeci przeczytałem dokładnie napisy na grzbietach segregatorów

i książek na regałach. Do kłapy zamrażarki przyklejono taśmą kartkę, na której wypisano:

„truskawki a 500 g 15.7."; obok widniały pionowe kreski, pewnie liczba opakowań. Część przekreślono, ale i tak w środku pozostało jeszcze wiele kilogramów. Na liście były też jelenina, ryby i chleb, lecz byłem przekonany, że w zamrażarce panowałby wzorowy ład i bez inwentaryzacji.

Uniosłem pokrywę, zapaliło się podświetlenie. Zdziwiła mnie liczba mrozonek. Odsunąłem na bok pudełka z truskawkami i worki z chlebem. Pod spodem ukazały się torby szarawego plastiku, przez który prześwitywało oszronione mięso. Przesunąłem je, na samym dnie w plastikowych workach leżały guzłowate tusze.

Zastanowiło mnie to, bo na liście na klapie zamrażarki nie było wielkanocnej baraniny, a mięso jelenia sprzedaje się raczej w mniejszych porcjach. Zdarłem taśmę i rozchyliłem worek. Palce zapadły się w coś miękkiego. Zdażyłem się jeszcze zdziwić, dlaczego mięso nie stwardniało na kość, gdy poczułem i zobaczyłem na swoich palcach ciemne włosy. Zmusiłem się, by spojrzeć jeszcze raz, po czym zatrzasnąłem klapę i zwymiotowałem na podłogę. Znalazłem Sirje.

Dwadzieścia sześć xxx

Noc spędziłem u Marji w zasadzie

nie kłóciliśmy się, ale docinaliśmy sobie i marudziliśmy. Rano przy herbacie powiedziałem, że wyskoczę na jeden dzień do Mikkeli. Marja sypała muesli do jogurtu, stała odwrócona plecami do mnie w krótkiej koszuli nocnej, spod której wystawały spodenki. Opierała się biodrem o blat, lewą nogę założyła na prawą.

Nie zapytała, czy może jechać ze mną, a i ja nie dociekałem, jakie ma plany na ten dzień. Nie lubiła, gdy za dużo pytałem. „Jestem taka, jaka jestem, musisz się z tym pogodzić i zaufać mi”, powiedziała raz takim tonem, że nie mogło być mowy o dalszej dyskusji. Z moją przeszłością nie miałem co marzyć o Madonnie, przypominała mi nieraz.

Zdziwiłem się, gdy zdałem sobie sprawę, że jestem zdenerwowany z powodu szemranego zadania, ale staję się niespokojny przy kobiecie. Nie wszystko można kontrolować, powtórzyłem powiedzenie Marji i zdałem sobie sprawę, że o ile sprawa w Mikkeli zależała wyłącznie ode mnie, to na jej zachowanie nie mam najmniejszego wpływu.

Przed biurem czekał na mnie Korhonen. Parjannego zostawił w samochodzie i wszedł ze mną do środka, stanął przy drzwiach i kiwając się na pięcie, palił papierosa, strzepując popiół na podłogę.

- Taki duży chłopak, a porządku się nie nauczył. Ciekawe, czy z higieną osobistą masz ten sam problem - przygadałem mu, stukając popielniczką o blat. - Co tak wcześnie dziś na nogach?

- Coś ci się ostatnio trupy pokończyły - odciął się Korhonen. - Tyle dni bez nowego truchła. Zaczynam mieć powoli objawy odstawienia.

- Tylko mi nie przypominaj. Jestem wrażliwym człowiekiem. Na myśl o Sirje robi mi się niedobrze.

- Wrażliwa to jest twoja matka. Pomyślałem sobie, że będziesz zainteresowany. Te babskie szczątki z zamrażarki to na sto procent Sirje Larsson. DNA i cała reszta się zgadzały. W Estonii znaleziono zdjęcia rentgenowskie jej uzębienia, porównano też z próbkami z sekcji Jaaka. Rodzeństwo. Ojciec musiał jeszcze przyjechać stamtąd na identyfikację. Trudno powiedzieć, które miało bardziej lodowaty uśmiech - Korhonen relacjonował z nieprzeniknioną twarzą, ale widziałem, że u nasady włosów perli mu się pot i papieros drży w palcach.

- Jak została zabita? - wydusiłem pytanie, zmuszając się do wysłuchania odpowiedzi.

- Udużona, zapewne poduszką przyciśniętą do twarzy. Analiza włókien nie dała jednoznacznej odpowiedzi. Potem ciało poćwiartowano piłą elektryczną na miejscu, w garażu. Najpierw pewnie spuścił całą krew do studzienki w podłodze, a potem zakasał rękawy, chwycił za black & deckera i jechane - Korhonen znów uderzył w drastyczny ton. - Potem umył podłogę, plandekę i piłę, ale zawsze zostają jakieś ślady. Idź mi w cholere, paskudna historia.

- A co z ciałem Jaaka? To znaczy: gdzie zostało pochowane?

- Jego ojciec dopiero co tu był w kostnicy i Tallinkiem zabrał trumnę z powrotem. Byłem przy przekazaniu, musi być przy tym ktoś z policji. Jaak też miał gębę rozbitą na miazgę i nie było to przyjemne, prosić ojca o identyfikację. Dziadek próbował grać twardziela, ale było widać, że ciężko to przeżywa - Korhonen westchnął. - A zaraz potem musiał przyjechać po córkę i wieźć do Estonii drugą trumnę.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, jakbyśmy chcieli uczcić pamięć rodzeństwa minutą ciszy. Próbowalem sobie wyobrazić, jak ich matka zniosła stratę dzieci, ale sama myśl była dla mnie zbyt ciężka. Milczenie przerwał Korhonen. Wstał nagle, jakby znudził się do cna becznym siedzeniem, mruknął coś w drzwiach i poszedł.

Po pięciu minutach zaszedł do mnie Ryzkow.

- A ten czego chciał? - warknął bez powitania.

- Powiedzieć tylko, że to na pewno była Sirje.

- I tylko tyle? Świetnie.

Oczy Ryzkova i złoty siekacz błysnęły w krótkim uśmiechu.

- Viktor, szybki wypad do Tallina. Przywieziemy trochę towaru, dwa auta.

- Powinienem dzisiaj jechać do Mikkeli, mam tam do załatwienia jedną sprawę - próbowałem zaoponować.

Ryzkow spojrzał mi w oczy i podszedł zupełnie blisko, wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że poczułem, iż najłżejsze mrugnięcie powieką będzie obelgą. Ryzkow pochylił głowę i ścisnął mnie za policzek jak małe dziecko.

- Witja, Witja - przeciągnął przymilnie, przeniósł dłoń z policzka we włosy i pieszczotliwie założył mi chwyt duszący.

- Kiedy mówię, że mamy sprawę w Tallinie, to wtedy nie ma żadnej innej sprawy. Witja, zawsze cię lubiłem,

masz w sobie coś miękkiego i sympatycznego, bo się chowałeś między kobietami. Ale czasem trzeba ci rozkazywać jak małemu dziecku.

Giennadij składał wyjątkowo długie zdania, a słowa wymawiał miękko jak psychoanalityk w telewizji. Wolno cofnął rękę, pociągnął mnie lekko za włosy. Poczułem lodowate zimno. Przyszedł mi na myśl pies, którego właściciel przed zabiciem głaszcze i zagaduje.

- Weź ze sobą papiery, nic więcej nie potrzeba. Wrócimy wieczorem „Melodią”. [Jeden z nowoczesnych promów przewoźnika Tallink, kursujący na linii Helsinki-Tallin.]

Ryżkow był już za drzwiami. Włożyłem kurtkę, z sejfu wyjąłem pieniądze i paszport. I mój chiński pistolet.

Mercedes stał przed biurem, pomrukując dieslem. Kierowcy nie znałem, choć wyglądał jak klon pozostałych ludzi Ryżkowa: 182 na 85 z dokładnością do dwóch centymetrów i jednego kilograma, dość krótko przystrzyżone włosy, porządna ciemnobrązowa skóra i trochę jaśniejsze spodnie.

Otwarłem tylne drzwi i zdziwiłem się: wpatrywała się we mnie ciekawie ciemnymi oczami drobna kobieta o czarnych włosach. Zrobiła mi miejsce, przesuwając się na środek, na co siedząca z drugiej strony samochodu dziewczynka jęknęła dramatycznie „aia!”, dodając coś niewyraźnie po rosyjsku, chyba narzekała na ciasnotę, pośpiech i otaczającą je zewsząd głupotę. Wyglądała na nastolatkę między dwunastym a szesnastym rokiem życia., miała okulary, starannie rozczochrane włosy, jasne dzinsy i bluzę.

- Żona. z portu odwiezie córkę do szkoły - Ryżkow streścił w paru słowach prezentację i odpowiedź na pytanie, którego nie zdążyłem zadać.

Podaliśmy kobiecie rękę i przedstawiłem się po rosyjsku. Jelena Ryżkowa od razu podjęła rozmowę, za to jej córka Oksana ledwie wymruczała formalne pozdrowienie. Między jej wargami mignął aparat korekcyjny, dziewczynka obróciła się do okna i włożyła do uszu słuchawki. Rytmicznie dudniąca muzyka przebijała słabo i niewyraźnie, a wrażenie było takie, jakby pod tylnym siedzeniem zagnieździło się stado zupełnie niezgranych świerszczy. Zdążyliśmy porozmawiać z panią Jelena zarówno o jej pochodzącej spod Petersburga rodzinie, jak i o postępach córki w rosyjskiej szkole. Oksana kończyła właśnie siódmą klasę, z językami nie miała problemów, ale interesowała się także matematyką, a na zakończenie roku szkolnego miała zagrać na flecie. Miała talent muzyczny, to na pewno po tacie, ale na balet nie chciała już chodzić.

Ryżkow westchnął ciężko, ale zdawał się zaabsorbowany porannym ruchem w mieście. Na skrzyżowaniach obracał głowę i patrzył przez ramię jednocześnie z kierowcą. Ruchy były idealnie skoordynowane, zupełnie jakby obie głowy łączył jakiś mechanizm. Mój szef nie włączył się do toczony na tylnym siedzeniu rozmowy o rodzinie. Nie należał zresztą do mężczyzn, którzy noszą w portfelu zdjęcia swoich dzieci.

Przed wejściem do terminalu Ryżkow i ja wysiedliśmy. On pożegnał rodzinę krótkim „do zobaczenia”, ja byłem nieco wylewniejszy, życząc jeszcze miłego dnia, także córce, choć Oksana nadal siedziała z nosem przy szybie. Ryżkow wyciągnął z bagażnika znajomą torbę Diadory i pomaszerował prosto do środka. Ruszyłem za nim. Prom już wciągał kolejki pasażerów, więc Ryżkow ruszył prosto do kontroli biletowej. Szedłem za nim jak grzeczny synalek, brakowało tylko, żebym trzymał go za brzeg kurtki.

Statek był pełen. Ryżkow znalazł dwa wolne siedzenia naprzeciw siebie po przekątnej, osunął się ciężko w swój fotel, zamknął oczy i zaczął drzemać.

Usiadłem i zamyśliłem się. Obserwowałem go. Spomiędzy powiek prześwitywał wąski pasek oka, kawałek białka i brązowa tęczęwka; podejrzewałem, że mnie obserwuje. Oddychał niby naturalnie, ciężko, od czasu do czasu nawet pochrapywał. Z gardła wydobywały mu się dziwne odgłosy, gdy przez sen charkał i pokasływał. Ja też oparłem się wygodnie, zamknąłem oczy i starałem się rozluźnić mięśnie i nerwy. Lufa pistoletu kłuła mnie w pośladek, ale nie mogłem jej poprawić.

W Tallinie czekał na nas inny mercedes, tym razem całkiem nowa limuzyna klasy S wesołym czarnym kolorze. Ryżkow usiadł z przodu, ja z tyłu. Kierowca powitał go cicho po rosyjsku i o nic nie pytając, ruszył. Był to niski mężczyzna i w jego rękach kierownica mercedesa przypominała bardziej koło sterowe; miałem wrażenie, że musi cały czas wyciągać szyć, aby dostrzec drogę przed sobą. Miał ciemne krótkie włosy, czarną gładką brodę i czarne oczy, a cerę żółtobrązową. Na pewno przyjechał z Kaukazu albo Azji Środkowej. Nie zapytałem.

Jechaliśmy najpierw w stronę Narwy, ale po chwili kierowca zaczął kluczyć w krętych uliczkach i straciłem orientację. Wreszcie dojechaliśmy do terenów przemysłowych, gdzie stały nowe, stalowe hale przedzielone opuszczonymi działkami i starymi, niskimi warsztatami.

Mercedes, kołyszając się, wjechał w podługowate podwórze. Okrągłe kałuże w żwirze wyglądały jak dziury po gigantycznym szydle. Działkę otaczał płot, który spawali na pewno jeszcze radzieccy robotnicy w leningradzkich zakładach imienia Kirowa. „Kirowskij zawód”, pamiętam

trzeszczący komunikat w metrze; mieszkałem blisko tej ogromnej fabryki i leżącej nieopodal stacji metra. Ogrodzenie składało się z pionowych prętów o powykęcanych szpicach, które w bramach układały się w rysunek słońca. Za płotem ciągnął się długi budynek z szarej cegły. Do środka prowadziło wiele wjazdów i wejść: nowoczesne aluminiowe bramy uchylne, przez które można było wjechać ciężarówką, i wąskie niebieskie drzwi z drewna, porozmieszczane w ścianie bez ładu i składu. Nieliczne okna pokrywał szary pył.

Na podwórzu leżały zapakowane w folię sprzęty łazienkowe, sterty zardzewiałych rur i metalowych płyt oraz stosy łysych opon równe wysokości dorosłego człowieka. Spod starej scianii wyczołgał się właśnie chudy mężczyzna w kombinezonie i zaczął rozprostowywać ściernięte członki. Skinął nam głową, ale nie zagadnął i nie podszedł porozmawiać; miał chyba kłopot z przegubem krzyżowym wału, który właśnie wymontował.

Ryżkow otworzył nieopisane drzwi i wszedł do środka, ja za nim. Klatka schodowa była zaskakująco czysta. Gładkie ściany pachniały świeżą farbą, podest na piętrze zamykały drzwi z dymionego szkła. Ryżkow otworzył jedno z nich. Na tabliczce widniał napis: AutoTrans-Baltica.

- Znajdziesz tu kilka znanych ci osób, choć nie wszystkich miałeś okazję poznać osobiście - powiedział Giennadij z krzywym uśmiechem i z przesadną grzecnością przepuścił mnie w prog. Hala była naprawdę niczego sobie: biały volkswagen transporter i mały furgon mitsubishi, palety komórek Nokii, urządzenia do pakowania, pod ścianami beczki, z boku stoły i biurka, dresy adidasa w plastikowych workach, komputery, artykuły biurowe... Usiłowałem skupiać się na wszystkim, tylko nie na dwóch osobach przy biurku: na wysokim, szczupłym mężczyźnie, który stał oparty o stół i rozmawiał przez komórkę, i na kobiecie o ciemnych włosach, niemal pięknej i już na pierwszy rzut oka bardzo podobnej do niego, która siedziała swobodnie w fotelu, obracając się to w jedną, to w drugą stronę. Jaak i Sirje Lillepuu wyglądali wyjątkowo żywo i zdrowo.

W wojsku mi mówiono: „Gornostajew, macie twarz mordercy”. Sam myślałem o sobie raczej w kategoriach sympatycznego, ułożonego faceta; w armii zazwyczaj słyszy się bzdury. Dopiero później zrozumiałem, co moi przełożeni mieli na myśli. Wielu ludzi w trudnej sytuacji wpada w panikę, która uwidacznia się na twarzy. U mnie nie. Czuję buzującą we krwi adrenalinę, czuję strach i kotłujące się w głowie myśli, a jednocześnie umysł staje się dziwnie klarowny, działa szybko i sprawnie - i twarz zastyga w nieprzeniknionej masce. Kiedy towarzysz pułkownik Wikułow powiedział mi, że wysyłają mnie z oddziałem specjalnym do Afganistanu, wysłuchałem go z obojętną miną, wpatrując się w wyobrazony punkt na ścianie, tuż powyżej jego głowy. Nie wybuchnąłem płaczem i nie zacząłem lamentować, powieka mi nawet nie drgnęła. Odpowiedziałem tylko, że żołnierz musi służyć ojczyźnie tam, gdzie ojczyzna najbardziej go potrzebuje. Wikułow podszedł do mnie z kubkiem przy ustach i zaczął mierzyć mnie wzrokiem z odległości trzech centymetrów, wreszcie wybuchnął śmiechem: „Do diabła, Gornostajew, nikt was nie pośle za plecy Lenina, żebyście zginęli gdzieś marnie w górach! Zrobimy z was trenera narciarstwa, który za granicą będzie analizować nie tylko strukturę śniegu”.

Wtedy Wikułow mnie wyciągnął, ale teraz byłem sam po niewłaściwej stronie. Zdołałem zapanować nad twarzą, umysł też miałem jasny. Nie mogłem pogubić się we własnych

myślach, bo w głowie miałem tylko jedną - i waliła mnie w czaszkę jak młotem: wykiwali mnie, i to nie po raz pierwszy.

- Bierz się do ładowania. Komórki pakujemy na ciężarówkę. Do volkswagena idzie inny towar - rozkazał Ryżkow i sam zaczął nosić zafoliowane paki do mitsubishi.

Poszedłem w jego ślady. W jednej pacie było kilkadziesiąt kartoników wielkości cegły. Spod folii przeświecały styropianowe formy. Zauważyłem, że Jaak Lillepuu skończył rozmawiać przez telefon i usiadł na blacie; machał w powietrzu nogami i mówił coś do siostry. Sirje siedziała w milczeniu, zdawała się na coś czekać, mruzczała gniewnie na słowa brata. Mówili po estońsku. Nie słyszałem dobrze i nie rozumiałem. Próbowałem nie gapić się na nich, choć rzadko miałem okazję widzieć obok siebie dwóch nieboszczyków w tak dobrej kondycji.

- Może byś mi tak coś wytłumaczył, co? Kogo tak naprawdę zabiłeś? A Aarne Larsson, załatwił kogoś czynnie? Co to były za ciała? - zapytałem Ryżkova cicho, nie przerywając pracy.

- Sporo pytań. To było takie mołdawskie rodzeństwo. Trochę się naszukali, nim znaleźli ludzi trochę podobnych do Jaaka i Sirje - wyjaśnił rzeczowo Ryżkow. - Włosy dziewczyny trzeba było pofarbować. Taka jedna dziwka i jej prosty brat. Wzięli ich do pracy, ale szybko dostali wypowiedzenie.

Słuchałem. Próbowałem to wszystko pojąć i zarazem nie myśleć o tym, że ci Mołdawianie mieli przecież imiona, że gdzieś mieli ojca i matkę. Skupiłem się na absorbowaniu jednej informacji na raz.

- Policja zrobiła badania komórek i upewniła się co do tożsamości. A w zasadzie jedynie co do tego, że zwłoki należały do rodzeństwa. A policja z Tallina dostarczyła odpowiednie zdjęcia uzębienia.

Ryżkow stanął przy kolejnym kartonie, wyprostował się. Spojrzał mi prosto w oczy, niemal z czułością, i przekrzywił głowę. Mówił więcej niż zazwyczaj w ciągu miesiąca:

- Witja, jesteś inteligentny chłopak, znasz języki obce, nie jesteś prymitywnym bandziorem. Ani ja. Ani ci ludzie tutaj. Z nimi warto trzymać. Robić naprawdę duże interesy.

- Poręczyłem za ciebie. Pracujesz u mnie od dawna. Aarne Larsson też nie wpadł na ciebie ot tak. Sirje chciała się rozwieść z tym wariatem i odeszła. Jaak powiedział szwagrowi, że zna takiego jednego sprawnego detektywa. Potem Aarne zaczął chyba coś kojarzyć i podejrzewać teścia, więc trzeba go było sprzątnąć.

Drzwi hali otwarły się z ostrym zgrzytem i przerwały monolog Ryżkova. Dwaj młodzi mężczyźni, z wyglądu Estończycy, którzy ładowali do volkswagena dresy, rzucili worki i zastygli niemal na baczność. Jaak Lillepuu zeskoczył z biurka, a i Ryżkow obrócił się niczym defilujący przed generałem podoficer.

Zrozumiałem, że przyjechał szef sztabu. Do środka wkroczył stary Lillepuu.

Paul Lillepuu chodził po hali jak na inspekcji sali poborowych. Co rusz się zatrzymywał, stał przez chwilę prosto z założonymi za siebie rękami, po czym przechodził energicznie kolejne kilka metrów i coś mówił. Wyłapałem estońskie i rosyjskie słowa.

Lillepuu przystanął przy nas. Musiał patrzeć na mnie z dołu, ale miałem wrażenie, że bardziej przeszkadza to mnie niż jemu.

- Aha, aha. Witamy na pokładzie. Ładnie, ładnie. Ryżkow wystawił ci dobre oceny. Pamiętaj o naszym zaufaniu - Lillepuu zniżył po męsku głos i raczej się nie spodziewał, bym miał coś do dodania. Odwrócił się i kazał się spieszyć.

Wróciłem do ładowania. Wszedłem na pakę i zacząłem ciasniej ustawiać kartony.

- To podróbki?

- Nie. Nasza robota to tylko je przewieźć.

Ryżkow oparł się o klapę ładunkową, zastanowił się, wreszcie zdecydował się mnie oświecić.

- Telefony są zupełnie czyste. Ale te paki to już całkowicie nasz wyrób. Towar jest w aluminiowych pudełkach, które wkłada się do formy, a potem zalewa styropianem. Potem do

styropianów pakuje się komórki, owija folią i gotowe. Nic nie czuć i nie widać, nie rozwała się. Czysta robota.

- A co za towar? - zapytałem, choć dobrze wiedziałem.

- Mała partia heroiny, jakieś trzy miliony marek. Wartość zależy od tego, jak się uda rozprzedać. Uszlachetniona we własnym laboratorium.

Powiedział to niemal z dumą, kiwając głową na ścianę w głębi hali. Zobaczyłem tam tylko puste półki.

- Jest obok - wyjaśnił. Skinąłem głową i obróciłem się do niego plecami, zacząłem spiętrzać paki w głębi przestrzeni bagażowej. Pomyślałem, że gdyby pułkownik Wikulow zobaczył teraz moją gębę, z miejsca wysłałby mnie do Czeczenii. Byłem pewien, że byle kto wyczytałby teraz z mojej twarzy zdumienie i strach. I za nic nie mogłem pojąć, dlaczego pochwały Ryżkowa i Paula Lillepuu tak bardzo mnie polechwały.

Dwadzieścia osiem xxx

Ruszyliśmy do portu Ryżkow usiadł

obok kierowcy transportera, którym był człowiek Lillepuu o imieniu Kardo. Mieli pierwsi wjechać na prom i pierwsi z niego wyjechać. Wieźli wyprodukowane w Estonii dresy Adidasa i schowane w ładunku płyty kompaktowe. Towar był legalny, ale wyglądał podejrzanie. Jeśli na granicy trafi się nadgorliwy celnik, zainteresuje się raczej facetem o gębie Ryżkowa i tym, co ten wiezie na pace. Ja miałem jechać za nimi eleganckim, czystym mitsubishi i ze swoją uczciwą fińską gębą i fińskim paszportem bez trudu przejechać przez kontrolę.

W porcie dosiadł się do mnie drugi Estończyk, Mart, który miał zejść na ląd przez terminal pasażerski. Jechałem za volkswagenem nieznanymi mi ulicami, ściskając kierownicę i czując, jak dłonie stają się śliskie od potu. Myśl, Viktor, myśl, rozkazywałem sobie.

W porcie stanęliśmy w długiej kolejce tirów.

- Co, trzeba by zobaczyć, czy kobiety nie tęsknią, może przysłały jakiegoś esemesa? - zagadnąłem beztrudnie, choć byłem pewien, że zabrzmiało to sztucznie. Wsunąłem komórkę do lewej kieszeni kurtki, nie blokując klawiszy. Mart zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem. Albo mnie pilnował, albo miał za idiotę.

Ryżkow wysiadł z samochodu i podszedł do mojego okna. Uchyliłem szybę. Oparł się o drzwi, przybliżył do mnie.

- Pod siedzeniem masz pistolet, tak na wszelki wypadek. Sprawdź, czy go znajdziesz.

Pomacałem pod siedzeniem i wyczułem pod palcami zimną stal i radełkowany uchwyt. Przesunąłem pistolet bliżej nóg. Oksydowany dziewięćmilimetrowy FN. Skinąłem głową i wsunąłem broń z powrotem pod siedzenie.

- Viktor. Ten ładunek musimy dostarczyć na miejsce - powiedział Ryżkow poważnym tonem; ścisnął mnie mocno, ale serdecznie za ramię. Skinąłem głową i podniosłem szybę, Giennadij wrócił do transportera.

Włączyłem radio. Mart siedział obok mnie i gapił się

przed siebie. Wsunąłem lewą dłoń do kieszeni i namacałem klawisze komórki. Najpierw wcisnąłem kciukiem

„Menu”, „Wiadomości”, „Wybierz”, „Skrzynka odbiorcza”,

dwa razy w dół i na wyświetlaczu powinno się pojawić

„Utwórz wiadomość”.

Powtarzałem pod nosem polecenia i próbowałem nucić z radiem, żeby Martowi nic nie podpadło.

Ponownie wcisnąłem „Wybierz” i z moich obliczeń wynikało, że teraz mogę już pisać.

Zacząłem wciskać klawisze kciukiem, starając się robić dość długie przerwy między kolejnymi literami. Kląłem w myślach, że każde dziecko z podstawówki zdążyłoby już w tym czasie wysłać tę wiadomość sześć razy.

Tylko spokojnie! - rozkazałem sobie w myślach.

SPRAWA POWAŻNA. MELODIA O SZÓSTEJ. DZWOŃ DO KORHONENA. POWIEDZ, ŻE WIELKI SYF.

I potem znów kciuk na OK, komórka proponuje „Wyślij”, więc ponownie OK. Potem pytanie o numer, więc kciukiem

naciskam raz na duży przycisk, wybierając pierwszą pozycję w książce telefonicznej: numer komórki Marji zapisałem jako AAA-MORE. Nacisnąłem „Wybierz”, telefon pokazuje numer, wtedy jeszcze raz „Wybierz”, po czym na wyświetlaczu pojawia się informacja, że wiadomość wysłana.

Odczekałem trochę i wcisnąłem na dłuższą chwilę przycisk „Usuń”. Odczekałem, aż zdąży się zmienić w „Wyjdź”, nacisnąłem dwukrotnie i uznałem, że jestem w głównym menu.

Spojrzałem jak gdyby nigdy nic na swoją komórkę i zobaczyłem na wyświetlaczu napisy: „Szukaj”, „Więcej”, „Nowy”, „Usuń”. A zatem gdzieś się machnąłem w obliczeniach, choć nie miałem pojęcia gdzie.

I jednocześnie poraziły mnie posępne podejrzenie i gorzka zazdrość, ukłuły mnie boleśnie jak rozblask ostrego światła, gdy człowiekowi pęka głowa. Jeśli Ryzkow i Lillepuu robili mnie w konia jak chcieli i ganiali jak chłopca na posyłki, to może i Marja nie była wcale tym, na kogo wyglądała?

Ryzkow wykupił nam kajutę. I zapowiedział krótko, że przesiedzimy w niej całą drogę do Helsinek. Nie tęskniłem za zjeżdżaniem w plastikowe kulki na placu zabaw, ale uśmiechnąłem się do siebie: głowa do góry, choćby w sercu kamień, powtarzała zawsze matka. Matka. I nagle znów mi odebrało ochotę na żarty.

Siedzieliśmy na dolnych kojach w obskurnej kajucie. Wydeptana, poplamiona od wymuszonych rozrywek tysięcy pasażerów i byle jakiego sprzątanego wykładzina wydzielająca duszący zapach. Ryzkow i Kardo palili, Mart i ja zajęliśmy wygodne, półleżące pozycje.

Nagle moja komórka ożyła i wszyscy zeszywnieli.

Wyciągnąłem nokię z kieszeni.

- Dostałem wiadomość - powiedziałem inteligentnie.

- Dawaj ten telefon - Ryzkow wyrwał mi komórkę i zaraz podał ją Martowi. - Przetłumacz mi, co tu napisane.

Mart przeczytał, uśmiechnął się i przetłumaczył:

- Tu pisze tak: „Tylko nie myśl, że po ciebie wyjdę”. Nadawca AAA-MORE.

Wzruszyłem ramionami i postarałem się o rumieńce.

- Wysłałem Marji wiadomość, że jestem w Tallinie. Bo rano jej powiedziałem, że jadę do Mikkeli. Musiała się lekko wkurzyć.

Ryzkow spojrzał na mnie przeciągle, wreszcie wyjął komórkę z rąk Marta i oddał mi ją.

Potem podniósł z podłogi swoją torbę i wyłożył na stół prowiant: chleb, ser, kielbasę, konserwy mięsne, świeże i kwaszone ogórki, puszki z piwem i lemoniadą, cztery szklanki i butelkę wódki. Zatrzeszczała nakrętka, napełniły się szklanki, które Ryzkow nam podał, po czym spojrzał każdemu z nas prosto w oczy, uniósł swoją i powiedział: „Na zdrowie!”.

Wypiliśmy i zakaśliśmy.

Dwadzieścia dziewięć xxx

pokład samochodowy był niebieski

od spalin diesli. Rumuni, Bułgarzy, Łotysze, Litwini... wszystkie tiry po kolei z rykiem zapuszczały silniki. Obsługa gestami uruchamiała kolejne kolumny pojazdów. Ryzkow włączył silnik; rozjarzyły się tylne światła volkswagena. Po krótkim podgrzaniu świec odpaliło i moje mitsubishi, ruszyłem za Ryzkowem. Siedziałem w samochodzie sam i znów ogarnął mnie niepokój. Gdy tylko wyjechaliśmy przez dziób na dwór, otworzyłem okno i zrobiłem dla uspokojenia kilka głębokich wdechów.

Jechaliśmy powoli w kolejce. Patrzyłem prosto przed siebie, ale oczami lustrowałem przedpole, wodząc powoli z prawej do lewej i z powrotem. Nie dostrzegłem nigdzie policjanta ani celnika, nikogo, kto mógłby mi się teraz przydać.

Dojechaliśmy do budki kontroli paszportowej i cła. Pogranicznik wziął dokumenty od Ryżkowa, usiadł za biurkiem, przejrzał paszport, ale po chwili wrócił, przytknął rękę do daszka i oddał papiery. Pokazałem mu swój fiński paszport, mężczyzna tylko kiwnął głową. Jechaliśmy dalej za ciężarówkami niezdarnie kluczącymi po wąskim torze; dostrzegłem, że celnik otworzył przyczepę ciągniętą przez starą scanię.

Volkswagen przede mną przyspieszył. Wcisnąłem pedał gazu i zakląłem pod nosem, że tak cholernie łatwo wwozi

się heroinę do tego kraju. Wtedy zobaczyłem niebieskie światła i rozjarzone stopy transportera, volkswagen stanął w poprzek drogi i ze środka wyskoczył Ryżkow.

Biegł pochylony truchtem w stronę mojego samochodu. Widziałem, jak wsunął prawą dłoń za pazuchę kurtki. Za transporterem migały koguty dwóch radiowozów, policjanci rozbiegli się za betonowe filary. Zdażyłem się zorientować, że mają pistolety maszynowe i automaty.

Sięgnąłem za pasek po pistolet. Ryżkow szarpnął drzwi mitsubishi, nadziewając się niemal na sporą lufę mojej chińskiej podróbki.

- Oj, Viktor, Viktor, taka dziecinada... Coś ty narobił? - zaczął dobrotliwie, ale głos stopniowo przechodził w syk. Były w nim nienawiść, ból, wściekłość, ale także triumf, niemal drwina. - Teraz masz przesrane. Ładunek jest twój. Ja wychodzę tylnym wyjściem, cicho i spokojnie - uśmiechnął się nieznacznie. Dostrzegłem błysk złotego zęba. - Możesz też oczywiście mnie zastrzelić... - niemal się roześmiał. - Choć nie ufałem ci aż tak bardzo, aby ci dać nabitą broń. Uniosłem oburącz moją chińską podróbkę, celując spokojnie w czoło Ryżkowa.

- Dlatego też nigdy nie ufam cudzym pistoletom - powiedziałem. Uśmiech Ryżkowa zniknął natychmiast.

Jęk i zawroty głowy, pomruk silników i posapywanie pneumatycznych hamulców, energiczne pokrzykiwania policjantów - wszystko to zlało się w jeden niezrozumiały dźwięk, otulając mi głowę grubym kapturem.

Kątem oka rejestrowałem migotanie kogutów, zbliżających się skokami policjantów w granatowych mundurach, rozbiegających się pochylonych kierowców, szukających schronienia za wielkimi kołami ciężarówek. Wszystko to jednak działo się na peryferiach, było niewyraźne

i niejasne. Skupiłem wzrok na oczach Ryżkowa, na krótkim odcinku między nimi, wpatrywałem się w niego po lufie, utrzymując szczerbinkę i muszkę w idealnej linii, która kończyła się w punkcie ponad jego nosem, gdzie skóra na czole zaczyna się marszczyć i łączyć się brwi.

Mierzyłem jak na zawodach olimpijskich, choć z połowy metra był to zbytek dokładności. Dziewięćmilimetrowa kula pozostawiłaby na wejściu czystą dziurę o ostro zarysowanych krawędziach, ale w środku zaczęłaby się rozpląszczać i tracić energię kinetyczną na brutalne przedzieranie się przez tkanki i wychodząc z tyłu, zabrałaby ze sobą połowę potylicy. I połowę mózgu Giennadija Ryżkowa. A wraz z nim wszystkie jego myśli, całą świadomość i duszę, jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

Myślałem o Giennadiju Pietrowiczu Ryżkowie, moim pracodawcy i koledze. Przez głowę przeleciały wspomnienia wspólnych wyjazdów. Przyjemnie było siedzieć z nim w ciepłym aucie, człowiek czuł się ważny i życie miało sens, bo załatwiała się sprawa; nie nazwałbym tego pracą. Zazwyczaj ja mówiłem, Giennadij tylko się uśmiechał i cicho potakiwał, rzadko odpowiadał na zaczepki, a wydając polecenia, prawie nigdy nie podnosił głosu. Pomyślałem o Jelenie Ryżkowej i o jej córce, która jeszcze niedawno nosiła warkoczek i była szczupłą uczennicą szkoły baletowej, dla której tata Giennadij był jedynym tatą. Pomyślałem, że nigdy nie trafiłem do Afganistanu i nie znalazłem się nigdy w sytuacji, w której musiałbym zabić.

Nie zabiłem nigdy człowieka, nawet bezimiennego wroga z dużego dystansu, na sprawiedliwej wojnie i na rozkaz, który ucisza wszelkie skrupuły.

Ryżkow spoglądał na przemian to w czarne oko lufy, to na mnie. Bał się, mrużył powieki, jakby mógł osłonić nimi oczy przed kulą. Jego usta były rozchylone, język zwilżał wargi. Lecz wtem otworzył szerzej oczy i rozluźnił mięśnie twarzy; z jego miny wyczytałem ulgę, a potem triumf, niemal drwinę.

- Jeden pies, nabity czy nie. Nie jesteś w stanie strzelić - Ryżkow prychnął pogardliwie śliną.
- Czytałem twoje papiery. Inteligencja, opanowanie, duża odporność na stres - i niechęć do skrajnych działań. Karppa ma twarz mordercy, takiego wała! Nie potrafisz zabić.

Lufa opadła, celując w grdykę Ryżkowa. Znow ją podniosłem, mierząc między ziewające pogardą i drwiną oczy, ścisnąłem rękojeść i pociągnąłem lekko za spust, kasując luz do zera. Wystrzał zabrzmiał jak huk myśliwca przekraczającego granicę dźwięku w spokojny, letni dzień. Odbite od betonowych ścian budynków echo odkorkowało uszy na zgiełk, krzyki i mlaskanie gumowych podeszew na asfalcie. Czuję się jak postronny obserwator, usłyszałem gdzieś przerażony krzyk uciekającego ptaka.

Wpatrywałem się zdumiony w opadającą lufę mojego pistoletu, spodziewałem się zobaczyć dym. Zacząłem rozumować, że opór spustu musiał być zbyt delikatny i wystrzeliłem niechcący, gdy dotarło do mnie, że to nie ja. Przesunąłem kciukiem bezpiecznik, wsunąłem pistolet ostrożnie za pasek na plecach i z lekko uniesionymi rękoma wyszedłem z samochodu. Ryżkow osunął się na bok, wypinając brzuch; wyglądał jak wielka foka. Usta miał otwarte. Nie widziałem, gdzie dostał, ale spod policzka rozpląwała się plama krwi, czerniąc spłowiwały asfalt.

Wokół jego ciała uwijała się grupka policjantów w granatowych kombinezonach. Obok mnie z piskiem opon zatrzymał się czerwony golf, z przodu zajechał szary mercedes, który przyklekając na przednich kołach, niemal zarył pod zderzak volkswagena. Z golfa wysiadł trzydziestoletni, atletycznie zbudowany mężczyzna o modnie sterczącej grzywce. Przypominał mi jakiegoś angielskiego piłkarza i pomyślałem, że na policjanta jest chyba trochę za niski. Przyszło mu chyba naciągnąć ostatnie milimetry do granic możliwości, żeby spełnić wymogi wzrostu. Patrzył na mnie z niechęcią, niemal z obrzydzeniem.

- Piirainen z Supo, witam. Idziemy, Siemionow. Wyjeżdżasz do Rosji.

Nie podał mi ręki i nie oczekiwał odpowiedzi. Przebierał nerwowo stopami w miejscu i masował sobie dłonie, jakby je namydlął.

- Tak, Arkadij, wyświadczyliscie nam przysługę. Ale następnym razem sami będziemy załatwiać swoje sprawy. Tak to się teraz robi w dzisiejszej Finlandii - powiedział profesorskim tonem Piirainen. Uświadomiłem sobie, że nie mówił do mnie, tylko to mężczyzny, który wysiadł z szarego mercedesa. Samochód miał niebieskie tablice dyplomatyczne, a jego przysadzisty kierowca zamienił już futerko na skórzaną kurtkę, lecz półbuty były te same co wtedy, gdy mnie przyuważał w drzwiach Stockmanna. - Chociaż po co ja to wszystko mówię. Wy dalej będziecie robić, co wam się żywnie podoba. Ruski pierdolone. Jazda mi stąd - zakończył przemowę Piirainen.

Arkadij w odpowiedzi tylko pokiwał głową, jakby słyszał dziecko, które znow suszy mu głowę o coś, czego nie może dostać: „Dobrze, już dobrze, następnym razem, pomyślimy, co się da zrobić”. W ręku trzymał dwa czerwone paszporty. Zajrzał do środka, wybrał jeden i wcisnął mi w dłoń. Paszport dyplomatyczny ze znajomym zdjęciem i personaliami człowieka, który jeździł do Sortavali: Siemionow, Igor Siergiejewicz, urodzony 4.02.1963 w Wołodzie.

Oparłem się o błotnik samochodu i przyglądałem, jak Arkadij wręcza drugi paszport mężczyźnie, który cicho stanął obok mnie. Był to Estończyk Mart, który jechał ze mną na prom, człowiek Paula Lillepuu - a przynajmniej ja tak sądziłem. Teraz słyszałem, jak podśmiewając się, rozmawiał po rosyjsku z Arkadijem. Piirainen podszedł do niego, podał mu

dłoń, a kółko policjantów wokół ciała Ryzkova rozstało się i wyprężyło przed Martem niczym kompania honorowa.

Mart palił papierosa, zaciągał się łapczywie dymem, aż twarz mu czerwieniała. W rękę trzymał drewnianą skrzynkę. Wiedziałem, że wewnątrz ma plastikowy odlew z wnękami na pistolet z długą lufą, pudełko z nabojami, zapasowy magazynek i przybory do czyszczenia. Wiedziałem też, że to on zastrzelił Ryzkova.

Arkadij podszedł do mercedesa, otworzył tylne drzwi i gestem zaprosił nas do środka.

Wyciągnął przed siebie dłoń i czekał, aż oddam mu swój pistolet. W samochodzie pachniało nowością i było cicho. Mart siedział obok mnie i stukał palcami w lśniące wieko skrzynki.

Kiedy odjeżdżaliśmy, dostrzegłem jeszcze otaczającą ciało Ryzkova grupkę w granatowych strojach i psa z ekipy antynarkotykowej, który wskakiwał właśnie na pakę mitsubishi, machając zwinie ogonem. Nieco na boku zobaczyłem opierających się o błotnik swojego golfa Korhona i Parjanego. Korhonen stał z odkrytą głową i trzymał ręce w kieszeniach. Znowu był ubrany z przesadną elegancją: w granatowym wełnianym płaszczu i żółtym szalu bardziej wyglądał na maklera giełdowego niż na policjanta. Odprowadzał nas wzrokiem, usta miał ściągnięte, kręcił nieznacznie głową, bezgłośnie wieszcząc rozczarowanie. Nie wiedziałem tylko, czy był rozczarowany mną, czy raczej tym, że musiał się przyglądać wszystkiemu z boku.

Nie miałem siły więcej myśleć. Arkadij jechał w stronę Ruoholahti. Oparłem głowę o zagłówek i zamknąłem oczy.

i Jechaliśmy w milczeniu ulicą Mechelina, minęliśmy cmentarz, koszary i białe brzozy w parku Sibeliusa, przejechaliśmy wiaduktem nad ulicą Topeliusa i skręciliśmy w Nordenskiölda, a po chwili zatrzymaliśmy się przed Centrum Kultury i Nauki Rosyjskiej. Arkadij wysiadł i za kierownicą zmienił go mniej więcej trzydziestoletni blondyn o wyglądzie Fina. Włosy sterczały mu niezłomnie mimo ciężkiej pracy fryzjerskiej i usilnych starań właściciela. Na szyi czerwieniały dojrzewające pryszcze.

- Grigorij Myszkin jest naszym kierownikiem technicznym - Arkadij przedstawił go nam przez uchylone drzwi. Po chwili dodał, uprzedzając moje pytanie: - Zawiezie was na dwudniowy odpoczynek do Zielenogorska. Potem przyjadę zabrać Viktora z powrotem. Myszkin skinął głową, pozdrowił nas oficjalnie po rosyjsku i ruszyliśmy.

Kolejne słowa z ust Myszkina padły, gdy zatrzymaliśmy się w Vaalimaa. „Granica”, powiedział z wyczerpującą ścisłością. Fińscy pogranicznicy szybko przejrzyli nasze paszporty dyplomatyczne. Rozpoznałem w ich twarzach mieszaninę szacunku i strachu i czając się za nimi drwinę. Ruszyliśmy dalej. Myszkin gdzieś zatelefonował, ale nie zatrzymywał się, kierował i zmieniał biegi, przyciskając

telefon barkiem do ucha. Przy posterunku granicznym po stronie rosyjskiej już czekały na nas otwarte szlabany, straż graniczna pałkami świetlnymi pokierowała nas obok kolejki, nie musieliśmy nawet stawać.

Myszkin zajechał przed sklep bezcłowy, zostawił silnik na chodzie i zrobił szybko zakupy.

Podał nam plastikową torbę. Na gładkich fińskich drogach mogliśmy drzemać, teraz, skacząc na nierównościach i lawirując w ciemnościach między większymi dziurami, jechaliśmy w stronę Wyborga, popijając piwo i jedząc miętową czekoladę. Zamieniłem z Martem kilka słów po rosyjsku, ale nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy jest Rosjaninem z Estonii, Estończykiem z Rosji, czy ma tylko jedną narodowość. I nie chciałem być ciekawski.

Myszkin prowadził doskonale, potrafił przeczuwać wyłaniające się zza zakrętu słabo oświetlone osobówki i zjeżdżał na zachłapanie pobocze przed jadącymi środkiem drogi ciężkimi tirami. Dobrze znałem tę drogę i nawet w ciemności bez trudu się orientowałem w naszym położeniu. „Zielonogorsk”, przeczytałem na głos, a w myślach dopowiedziałem sobie po fińsku, że skręciliśmy na Terijoki. Nie zatrzymaliśmy się i jechaliśmy teraz krętą drogą wzdłuż Zatoki Fińskiej w stronę Petersburga.

W Komarowie Myszkin zwolnił, ale mimo to prawie pomylił podwórze, wreszcie zakomunikował drętwym fińskim z rosyjskim akcentem: - To tutaj, Kellomaki.

Przez wąską bramę zdecydowanie wjechał przed tynkowany jednopiętrowy dom. Niemal świtało. Księżyc był prawie w pełni, powietrze było suche i rześkie. Na ścianie domu wisiało kilka żarówek promieniujących z całą siłą swych czterdziestu watów, ale miało się wrażenie, że nisko przyczajony mrok wsysa światło w siebie; na niebie panował niepodzielnie księżyc. Rozprostowałem plecy, zrobiłem kilka krążeń ramionami, zaciągnąłem się świeżym powietrzem. W rzednącym mroku dostrzegłem plac zabaw, wkopany w ziemię drewniany pociąg, samochody, wyblakłe piłki, przewrócone kregle.

Z domu wyszła starsza kobieta w okularach. Była w pantoflach, głowę przewiązała chustką, na plecy zarzuciła płaszcz; przywitała się z nami, zaprosiła do środka. Powiedziała, że pokaże nam pokoje i zaraz przygotuje coś do zjedzenia. Weszliśmy z Martem do domu. Środkową część zajmował przestronny hol pokryty pofałdowanym mozaikowym parkietem, który musiał być niegdyś przedmiotem rzemieślniczej dumy. Z holu na piętro prowadziły wyścielone czerwonym dywanem schody; za szklanymi drzwiami w obie strony rozchodziły się korytarze.

Myszkin przyniósł nam torby i powiedział, że znajdziemy w nich cały potrzebny sprzęt. Babuszka otworzyła nam pokoje, Martowi ósemkę, mnie jedenastkę. Wewnątrz było chłodno i wilgotno, choć grzejnik był rozżarzony. Na łóżku leżał gruby, zapadający się materac o złamanej linii, na nim śnieżnobiałe, pachnące proszkiem do prania pościele i koce ze sztucznej, elektryzującej wełny. Pokój wydawał się wyższy niż szerszy i dłuższy, okno też sięgało jakby za wysoko. Na biurku stał duży telewizor, a większą część skromnego metrażu zajmowała połyskująca szafa z brązowego drewna.

Babuszka stanęła w progu, zadzwoniła delikatnie kluczami i zaprosiła na posiłek. Poprowadziła nas do zimnej jadalni i podała na stół razowiec, wodniste masło, pokrojoną tłustą kielbasę, gotowane jajka, kwaszone ogórki i herbatę. Przysiadł się do nas Myszkin i powiedział, że wraca jutro. Zjedliśmy, życzyliśmy sobie dobrej nocy i poszliśmy spać.

W łóżku starałem się nie myśleć ani o Marji, ani o pieniądzach na swoim koncie, ani o awaryjnym funduszu w lewej kolumnie głośnikowej, ani o swoim samochodzie i biurze, ani o swoim fińskim paszporcie, który Arkadij mi zabrał, kiedy powiedział, że sam przyjedzie zawieźć mnie z powrotem do Finlandii.

No i matka. „Ech, my, dzieci Sortavali”, mówiła zawsze po fińsku, gdy przeciwności losu zaczynały dokuczać tak bardzo, że człowiek już nie miał siły się nimi przejmować.

Kiedy zbudziłem się rano, miałem wrażenie, że przespałem całą noc bez poruszenia się; nawet moja głowa zapadła w głęboki sen, nie pamiętałem żadnych myśli ani nocnych obrazów. Leżałem na plecach, przykryty po samą brodę dwoma kocami; na twardej pościeli nie powstała ani jedna zmarszczka.

W torbie od Myszkina znalazłem majtki, skarpety sportowe, koszulki z krótkimi rękawami, dres z logiem Umbro, czapkę, ciepłe rękawiczki oraz biegowe najki. Zaopatrzeniowcy ambasady dobrze sprawdzili moją kartotekę, wszystko pasowało. A może ściągnęli dane z głównego serwera w Moskwie? Zerojedynkowy strumień bitów podał właściwą odpowiedź: numer stopy czterdzieści trzy według miary Nike, wysokie podbicie.

Zjadłem śniadanie sam i wyszedłem. Nikt mnie o nic nie pytał, nikt mnie nie pilnował.

Szedłem suchym, sosnowym przesmykiem, który łagodnym stokiem prowadził nad brzeg Zatoki Fińskiej. Nasza gospodyni powiedziała, że mieszkamy w dawnym domu kolonijnym dla dzieci pracowników jakiejś fabryki, który obecnie dzierżawi związek pisarzy z Petersburga i organizuje w nim zebrania i uroczystości, a także pobyty wakacyjne i robocze. W okolicy stały podobne tynkowane i drewniane domy, małe zapuszczone daczki, ośrodki wczasowe i sanatoria.

Zbiegłem na brzeg. Jasny piasek zdawał się ciągnąć kilometrami w obie strony. Na południowym wschodzie dostrzegłem wysokie budynki Kronsztadu i majaczący w tle Petersburg. Fale wyrzuciły na brzeg butelkę polskiego szamponu, grubą linę konopną, styropianowe bójki rybackie, plastikowe zbiorniki z wyblakłymi w słońcu napisami oraz pięknie oszlifowane deski i kawałki belek.

Zawróciłem w stronę kwatery, minąłem dom i drogę, poszedłem wzdłuż nasypu kolejowego. Minęła mnie ze zgrzytem zielona elektryczka. Zaplamione okna pełne były obojętnych twarzy jadących do pracy ludzi. Wyobraziłem sobie przepelnione zimą wagony z okutymi w kufajki wędkarzami, których plecaki pękają w szwach od mormyszek, słoików z larwami much, zawiniętych w papier kanapek i butelek wódki. I wyobraziłem sobie zaraz tych samych mężczyzn, wieczorem już dobrze zawianych lub kompletnie pijanych, wracających na petersburskie osiedla z małymi okonkami na okrasę do zupy.

Tu i ówdzie między starymi daczami i zapomnianymi, zaniedbanymi działkami stały nowe lub budujące się domy. Otaczały je dwumetrowe ceglane mury, w których przy bramach z kutego żelaza widać było klawiatury szyfrowych zamków, kamery i domofony do kontaktu z niewidzialnymi wartownikami. Domy miały osobliwie wyglądające wykusze i wieżyczki, spadziste dachy i ponure okna. Gotyk gangsterski - przypomniałem sobie, że ktoś tak kiedyś nazwał ten styl.

Profesja mieszkających tam ludzi przypomniła mi o Ryżkowie i lepiej było udawać nieszkodliwego, obojętnego przypadkowego przechodnia. Nie chciałem, by z którejś furtki wyskoczył nagle na drogę jakiś kark w skórze

i warknął: „Ej, ja cię chyba skądś znam. Dla kogo pracujesz? I czego tu wieszysz?”.

W domu pisarzy czekał już na mnie obiad: twarda kura, posklejany ryż i kompot na deser. Jadłem sam. Myszkin i jego mercedes na niebieskich blachach rano zniknęli. Po obiedzie zapukałem do Marta. Usłyszałem aprobujący pomruk, zajrzałem do środka. Wsparty na łokciu Mart leżał w ubraniu na łóżku, palił papierosa i pił. Pierwsza butelka była już prawie pusta. Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem, więc powiedziałem mu, żeby sobie nie przeszkadzał. Zamknąłem drzwi.

Arkadij pojawił się już następnego dnia rano, tym razem, dla odmiany, w audi z rosyjskimi tablicami. Nie skończył nawet pukać, a już był w środku. Zaczął bez wstępów.

- Viktor, dostałem z Moskwy polecenie, żeby cię odstawić. Masz tam jakiegoś anioła stróża albo przyjaciela, i to wysoko. Szkoda, wielka szkoda, dla mnie w każdym razie. Byłem przekonany, że jeszcze bardzo mi się przydasz. Choć ta sprawa z Ryżkowem musiała cię trochę zaskoczyć. - Z początku mieliśmy tylko jednego człowieka u Lillepuu i umowę z Finami, że go wystawimy w odpowiedniej chwili, przy okazji jakiegoś większego transportu. Ale Ryżkow niespodziewanie wziął cię ze sobą, a ty spanikowałeś: wysłałeś dziewczynie esemesa, dziewczyna zaalarmowała twój kumpla z policji, o wszystkim dowiedziała się Supo, więc musieliśmy z Piirainenem zadziałać.

Litania Arkadija przypomniła mi piosenkę o dziadku, który miał w zagrodzie różne zwierzęta. Nie mogłem jej sobie dokładnie przypomnieć i trochę mnie to męczyło.

- Dobra, tu masz ten swój papier, trochę pieniędzy i bilet na pociąg. Zbieraj się, dres możesz sobie zatrzymać. -

Arkadij się uśmiechnął, rozbawiła go pewnie własna szczodrość. - Za pół godziny przyjedzie po ciebie toyota, kierowca podrzuci cię do Wyborga i wieczorem będziesz w domu. Ale pamiętaj: masz jeszcze do załatwienia tę sprawę w Mikkelii.

Wręczył mi spięty gumką plik. Tysiąc marek z okładem, sporo pomiętych rubli, bilet Helsinki-Wyborg-Helsinki z wykorzystanym przejazdem w jedną stronę. Wcale się nie dziwiłem, gdy zobaczyłem w swoim fińskim paszporcie stempel z datą sprzed dwóch dni.

- Dzięki... mimo wszystko - zdołałem wykrztusić. Arkadij machnął mi ręką i podszedł pod drzwi Marta, jeśli gość naprawdę tak się nazywał. Powiedział mi na odchodnym, że zabiera go na wakacje nad Morze Czarne.

Trzydzieści jeden xxx

Korhonen siedział okrakiem na krześle w moim biurze, z łokciami na oparciu. Zadawał pytania i co chwila się upewniał, czy dobrze mnie zrozumiał. Co pewien czas wstawał, by rozprostować plecy, podchodził do okna i wracał, popalając papierosa, który tworzył w powietrzu piękne obrazy podświetlane stojącą na biurku lampą. Wreszcie wracał na krzesło, znów rozsiadał się okrakiem i opierał brodę na złożonych na oparciu pięściach.

A ja mu szczerze wszystko tłumaczyłem i starałem się go przekonać, że robiłem dla Ryzkowa tylko wybrane sprawy i nie miałem zielonego pojęcia o Lillepuu i o narkotykach. Zależało mi też na tym, by uwierzył, że byłem wyłącznie przypadkowym pomocnikiem Arkadija, a nie stałym agentem.

- Umówmy się znów, że ci wierzę. Ale jak ta logika zacznie mi gdzieś szwankować, to wrócę, a wtedy zaczniemy badać procesy, powiązania i struktury organizacyjne tak gruntownie, że nie wiem, czy twoja dupa to wytrzyma - Korhonen groził, wymawiając wszystkie „erki” w stosownych miejscach bardzo dosadnie.

- I pamiętaj, Karppa, teraz jesteśmy jeszcze lepszymi kumplami, a w każdym razie: ty jesteś moim. Piirainen z Supo spuściłby się z radości, gdybym mu tylko szepnął, że na Hakaniemi mieszka gość ze zdublowanym obywatelstwem. Proces deportacji byłby prosty jak świński ogon. Tak że zalecam zapuszczenie wąsów, a z tych loczków to najlepiej daj sobie zrobić jakąś modną technofryzurę.

Korhonen wstał, spojrzał na mnie roześmianymi oczami, choć usta miał wciąż zaciśnięte w cienką linię, i zaskoczył mnie płynną angielszczyzną: This could be a beginning of a beautiful friendship.

Skinął głową, miałem wrażenie, że wciąż smakuje własne słowa. W progu zatrzymał się jeszcze: - I słuchaj, już teraz zupełnie prywatnie: mógłbyś mi załatwić taki noktowizorek ruskiej armii w dobrej cenie? Syn ma niedługo konfirmację i czas już myśleć o prezencie.

- Ile ci potrzeba? - zapytałem, wyciągając z regału futerał.

Kartony Marji nie były ciężkie. Pożyczoną od Ruuskanena furgonetkę załadowaliśmy za ledwie do połowy. Miłośniczka stylowej ekobiedy Marja uznała, że łóżko, krzesła i stół z kawalerki na ulicy Salli mogą zostać. Jej największymi gabarytowo ruchomościami okazały się regał na książki, kuchenka mikrofalowa ze stolikiem i krzesło biurowe. Książek, ubrań, naczyń i innych drobiazgów uzbierało się pięć kartonów. Cała przeprowadzka zajęła nam pół dnia.

Z pomocą prawnika bardzo ostrożnie wyjaśniłem kwestię spadku po Ryzkowie. Prawie cała jego działalność opierała się na firmach, w których nie miał oficjalnie żadnego udziału lub które niknęły w tak skomplikowanej sieci powiązań, że nie można ich było wykazać w spisie inwentarza. Zaskoczyła mnie informacja, że kawalerka jest zapisana na Karpowa, ale Walerij nie miał nic przeciwko nowej sublokatorce. Oczywiście zaraz mi oświadczył, że będzie pobierać czynsz w naturze, na co ja odpowiedziałem, że jeśli tylko spróbuje, powieszę go za jaja na ścianie, i to tej od ulicy.

Karpow się zmartwił, że mam tak staromodne i ciasne horyzonty moralne, ale jako mądrzejszy postanowił ustąpić. Pogodził się też szybko ze swoją nową sytuacją biznesową i teraz ekscytował się nowymi planami założenia w Karelii lokalnej stacji radiowej, a w dalszej perspektywie - także telewizji i gazet, całego medialnego imperium.

Powiedziałem Marji, że zostawiam ją sam na sam z jej rzeczami, może je sobie w spokoju składać do szaf. Wybierałem się do biura; wieczorem spróbuję wcześniej się położyć, bo rano wyjeżdżam do Mikkeli.

- Mam tam ciągle do załatwienia tę małą sprawę.

- A, no to w takim razie dam ci to już dzisiaj - powiedziała Marja i wyjęła z torebki paczuszkę w ozdobnym papierze. - Co prawda urodziny masz dopiero jutro, ale wszystkiego najlepszego już dziś.

Przytuliła się i delikatnie mnie pocałowała. Odwinąłem prezent, była to książka: Andrei Makine, Francuski testament.

- To opowieść o człowieku, który dorasta gdzieś w głębi Rosji, ale potem przenosi się do Francji... o zderzeniu kultur i... ach, zresztą sam przeczytaj, myślę, że ci się spodoba. Spojrzałem jej w oczy poważnie i serdecznie zarazem i powiedziałem, że bardzo mi się podoba jej prezent.

Siedziałem w biurze i właśnie wystukiwałem w telefonie numer mamy, gdy zapukał i wszedł do środka z kartonikiem pod pachą człowiek Karpowa. Podał mi grzecznie rękę i zaraz zaczął opowiadać, że właśnie przyjechał

z Sortavali i rano jedzie odebrać z portu nową terenówkę chevroleta swojego szefa.

- Pana matka prosiła o doręczenie panu tej paczki i kazała powiedzieć, że czuje się dobrze. Kazała też życzyć panu z okazji urodzin wszystkiego najlepszego i samych sukcesów - mężczyzna wyrecytował jak mały chłopiec, zabrakło tylko ukłonu na koniec.

Podziękowałem. Po wyjściu kuriera ostrożnie odwinąłem przewiązany sznurkiem brązowy karton. W środku na papierze śniadaniowym piętrzyły się stosy pachnących jeszcze piecem karelskich placuszków.

Ponownie wystukałem numer do mamy.

koniec